

14 N° 219

OBRAZKI SZARE.

OBRAZKI SZARE

POWIASTKI i NOWELLE

KLEMENSA JUNOSZY.

PO BURZY.
POKÓJ PRZY FAMILII.
SUKCESYA PO GOZDAWACH.
CUD NA KIRKUCIE.
„NIE ODCHODŹ!”.

INSTYTUT
BADAN LITERACKICH PAN

ul. Włocławska 72
00-000 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42

WARSZAWA.

Nakład i druk S. Lewentala.

Nowy-Świat Nr. 41.

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Ноября 1889 года.

P O B U R Z Y.

K. Juńcŝa

1

<http://rcin.org.pl>

.

Cicho, spokojnie toczy swoje fale Wisła szeroka,
nad jej brzegiem wierzby szemrzą smutnie... Coraz
to wiatr chłodny dmuchnie silniej i wtedy z giętkich
gałązek pożółkłe, wyschłe listki spadają. I je-
dne kładą się u stóp macierzystej drzewiny, niby
w grobie ogólnym, inne zaś, porwane tchnieniem
wiatru, unoszą się przez chwilę w powietrzu i pada-
ją na toczące się fale.

Dokąd że was los zanieś biedne listki? Czy
woda wyrzuci was przy pierwszym zakręcie na
brzeg piaszczysty, czy też poniesie na falach daleko,
het, aż na morza bezbrzeżne...

Na polach smutno, w lasach smutno. Przyszła
jesień szara, posępna i ze strachu przed nią pomar-
ły różno-barwne motyle, poczerniały kwiaty, poucie-

kały w dalekie kraje ptaszki śpiewające. Nad polami nie dzwonią już skowronki, nie uwijają się jaskółki—po łąkach nie kroczy bocian poważny.

Jesień!

Polą poczerniałe, łąki poczerniałe, lasy jakby uśpione. Nie rozbrzmiewają piosnki ptasząt, nie słybać ludzkich pieśni—tylko na drzewach przydrożnych wrony kraczą żalobnie.

Szare i ciężkie chmury zasłoniły jasną twarz słoneczną, deszczyk mży drobniutki, jak mgła. Niby to deszcz i niby nie deszcz, bo, kropelki jego tak małe, że okiem ich dojrzyć trudno, niby mgła a nie mgła, bo drogi już dobrze rozmoczyła.. ot zwyczajny kapuśniaczek jesienny. Trzy dni pada a jeszcze ze sześć pewnie padać będzie, to już natura jego taka, że jak się zawezmie, to będzie przez dziewięć dni i dziewięć nocy całemu światu psotę czynił, a już najbardziej tym, którym droga daleka w taki czas utraiony wypadnie.

I na człowieka wtedy bieda i na bydłatko bieda, bo kapuśniaczek do kości przejmuje, a droga ciężka, oślizgła, że i pośpieszyć nie sposób.

Jednak kto musi, to musi..

Na drodze, jak okiem dojrzyć, pusto — tylko chłop jeden na piechotę wędruje. Zawinał poły od sukmany, za pas je zatknął i telepie się po gliniastej ścieżce po nad rowem, podpierając się grubym kijem sękatym.

Pod sukmaną ma kozuch, a i sukmana tęga, z samodziału grubego, co mocny jak rzemień—ale co to znaczy? Taki deszczyk to i przez samodział przeniknie, a w oczy kole niby tysiącami igieł. . Do domu jeszcze kawał drogi okrutny, mało nie trzy mile drogi, wedle chłopskiego rachunku, wiadomo zaś jaki to rachunek chłopski — zawsze z dokładkiem.

I ciężko chłopu iść, przykrzy mu się i zagadnąć do kogo nie ma — a jeszcze, jak na biedę, worka ze sobą nie wziął, żeby głowę przykryć i wiatr go szczypie po uszach kaducznie...

Idzie, to pacierze odmawia, to po polach patrzy. Pszenica, żyto zielenieje trochę i nawet pokazuje na niegorszy urodzaj, po łąkach stogi stoją wielkie, czarne, chłop je liczy, dla zabicia czasu, ale oto już policzył stogi, już je minął, nie ma co rachować—więc дума sobie idąc.

Dziwno mu że dużo pola odłogiem leży—ale pomysławszy trochę, powiada do siebie półgłosem:

— Juści niby to dziw, a poprawdzie, nie dziw, kto ma orać kiedy i ludzi trochę przybrakło i pieniędzy jeszcze bardziej. Gdzie gospodarstwo duże, gdziefortuny przódy były, takóś pustka i zniszczenie. Dopust Boga miłosiernego! i tyło.

Wzdrygnął może od zimna, a może od przypomnienia smutnego, przystanął na ścieżce i z całej siły ręce zabijać zaczął, żeby się rozgrzać cokol-

wiek. Potém obejrzał się po za siebie, w nadziei, że może furtkę jaką dostrzeże na drodze.

Chłopskie jego ucho dosłyszało jakiś głos z oddalenia.

Wyraźnie jedzie ktoś, bo pokrzykuje na konie, i nie kto inny jedzie tylko chłop gospodarz, bo woła po gospodarsku, nie jak pański stangret, ani nie jak żyd.

Staął zmoczony chłopisko i oczy wytrzeszczył — i po chwili dostrzegł zbliżający się wóz w parę koni zaprzężony. Umyślił sobie czekać, jeżeli swojak to się z nim zabierze, jeżeli obcy, to choć pójdzie z nim razem koło fury, bo zawsze to w kompani człowiekowi weselej.

Koniki szły powoli, po rozmięklej glinie wóz się toczył z trudnością, bo się glina tłusta oblepiała na kołach — na wozie ktoś, wyraźnie także chłop, skulony siedział, z głową workiem przykrytą, że go i poznać było trudno.

Gdy już blisko nadjechał, ozwał się ten z woza.

— Niech będzie pochwalony! — a wy co tu robicie Michale?

— Na wieki wieków — a to wy Franciszku! Witajcie... a to dziw, że ja odrazu waszych koni nie poznałem!

— Ale dziw! na taką słotę to rodzona matka bydłęcia nie pozna.

— Juści prawda, poszerzeniało biedactwo całkiem.

— Siadajcie Michale, pojedziem, zawdy raźniej jakoś przy kupie, zkađ że wy tak oto na piechotę idziecie?...

— Ot—odrzekł Michał, gramoląc się powoli na furę, chodzioem do powiatu z podatkiem.

— A nie mogliście to jechać?

— Szkodowałem bydłęcia, mój Franciszku, ale widzę, że wy z dużej drogi jedziecie, bo i szkapiny tego obchudzone i wóz jak pod ciężar.

— Ot jeździło się za Wisłę sześć mil.

— Patrzcie, a ja w drugiej wsi siedzący, nie wiedziałem nic.

-- Ja to do drogi zwyczajny, mój Michale, dość się nawłoczyłem po świecie. Byłem ci ja w Lublinie i w Radomiu i w Kielcach, raz to nawet i do samego Krakowa jeździłem.

— Wiadomo, że drugiego takiego wędrownika szukać, ale kto was teraz na taki psi czas wypędził?

Franciszek westchnął ciężko.

— Prawdziwie rzekliście Michale, zem pojechał jak wypędzony, ale musiałem.

— Według zarobku niby?

— Gdzie zaś, mój Michale, według biedy ludzkiej, moi złoci, według frasunku, sieroc-twa ciężkiego, co i opowiedzieć nawet trudno.

Dopust Boży powiadam wam, sprawiedliwie dopust Boży.

— I myślę i myślę i zmiarkować sobie nie mogę, do czego wy to powiadacie.

— Aleście naszego dziedzica znali?

— Oto! co nie miałem znać, albo to się raz w waszjej wsi bywało?

— Ano, skoroście znali, to musicie wiedzieć, że on sam już we świętej ziemi spoczywa; synek jego Bóg wie gdzie się obraca i tylko sama pani z panienkami we dworze została, a teraz oto i jej i tym sierotkom na zły koniec przyszło.

— O!

— A juści, folwark się obniszczył, komorniki przyjechali, co jeno było we dworze posprzedawali, a teraz oto i całą fortunę żyd na licytacyi kupił; trzeba było pójść na bruk im sierotom. Oj Michale, Michale, bywa i chłopu kiepsko na świecie, jak mu Bóg miłosierny zły los da, ale jak na państwo bieda przyjdzie, to jeszcze im gorzej niż najbiedniejszym chłopom.

— To jest prawda—odezwał się Michał—bo czy tak czy siak, choćby się, na to mówiący, chłopu na najgorszy koniec obróciło, choćby mu i rolę i chałupę i dobytek sprzedali, toć mu dwie zdrowe ręce ostaną i niemi się będzie przed biedą oganiał. Wiadomo, moi złoci, bo już takie z mocy Boskiej założenie jest, żeby w chłopie twardość była

jak w krzemieniu, i bez to w nim grzbiet twardy i gnaty twarde i pięść twarda.

— Juźci to tak, sprawiedliwie powiadacie, ale przecie chłop, choć twardzizna sama, czasem na sercu miękkość ma taką, że się omal nie rozplacze jak baba... a powiadam wam, moi złoci, że oni całym domem, a całym rodem rzec można dobre byli.

— Niby państwo.

— A jeno. Nikt u nas w Rudce krzydy od nich nie zaznał, nikt im krzywy nie był. Żyli sobie, oni przy nas, a my przy nich w cichości, spokoju, jak to powiadają bez wody zamącenia. I tak było siła lat, a teraz oto... Pan Bóg taką zgubę dopuścił.

— Moc Boska!

— Wiadomo, ale zawdy człowiekowi żal, zawdy smutno, bo choć niby ona twardość w nas je, ale musi tylko po wierzchu, albo w gnatach, a dusza zawdy duszą...

Zadumali się chłopci, może nad niedolą ludzką, może nad burzą, co niedawno ciche wioski nawiedziła, a może wreszcie nad kombinacją twardości gnatów i miękkością serca w chłopskiej piersi.

Michał czapkę na oczy nasunął. Franciszek coraz batem śmignął nad końmi, ale te pośpieszać z powodu ciężkiej drogi nie mogły i wóz toczył się powoli jak przedtém.

Pierwszy przerwał milczenie Franciszek.

— Dziwno — rzekł — że wy tam w Żabińcu, choć o miedzę prawie od Rudki jesteście, nie wiecie nic, co się u nas dzieje.

— Pod lasem siedzimy, na uboczu.

— Ale zawdy po sąsiedzku.

— Prawda, ale mamy też swojego zatrudnienia dość i mało kiedy na świat wyglądamy, je o tém, że Rudka sprzedana, pierwsze slysę.

— Oj sprzedana i nie wiadomo kto w nią teraz będzie, może licho jakie.

— A cóż, jaki będzie, to będzie, toć tera gospodarze mogą sobie żyć z dworem, albo bez dworu, jak do gospodarza.

— Niby to tak, a przecie zawdy miléj z dobrymi ludźmi, co się ich od małości zna, aniżeli z obieżyświatem jakim do czynienia mieć, bo i to sobie uważcie Michale, że to tylko o miedzę, że i tak i siak wypadnie... Ot, co to gadać, szkoda ich i tyło! Pani przysłała po mnie i powiada; tak i tak, mój Franciszku kochany, pożegnamy się już na zawsze... folwark sprzedany, my wynosimy się do miasta... Zaprzęgajcie, powiada, swoje koniki i odwieźcie nas za Wisłę ku Lublinowi, bo my już swoich koni nie mamy... I poczęła płakać, a ja stoję, czapkę w garści obracam i sam nie wiem co mam rzec, bo mi język w gębie poprostu kołkiem stanął i właśnie jakby mnie kto za grzydkę ścisnął... Swoich koni, powiada, Franciszku nie

mamy, tedy zawieźcie nas... I prawdziwie, żeby po stajni i z latarnią szukać toby ogona kawalka nie znalazł, wszystko wyprowadzone, wyprzedane, zniszczone, jeno że wiater po budynkach chodzi i wróble latają... Niech Bóg broni!

— Los!

— Oj, los... los! mój Michale — mówił dalej Franciszek — ale czekajcie... Tedy jak pani rzekła, żeby jechać, myślę sobie, trudna rada, juści trzeba, i oto zaprząłem swoje szkapiny i pojechałem, a prawdziwie powiadam wam, i po sprawiedliwości świętój, że żeby nawet, nie przykładając, nieboszczyka na cmentarz wywoził, to jeszcze bym tyle markotności nie miał, jak z onemi biednemi kobietami jadący... Bo jak one sobie radę dadzą na świecie? same jedne, w mieście, między taką mocą narodu. Sama pani chuderlawka, słabizna, jeno ciągle dycha i, nie daj Boże w złą godzinę wymówić, ale na księżą oborę patrzy! Panienka starsza także nie siłaczka, delikatna, cienka, zdaje się, że wiatr ją zdmuchnie — a młodsza to prosto powiedziawszy, dziecko, dopiero jęj się na dwunasty rok obróciło. I z czém tu wojować mój Michale.

— Pewno, że im nie będzie na tym świecie lekko...

— Jakeśmy już parę mil odjechali, jak się owe niebożęta trochę utuliły w swoim wielkim lamencie,

tedy rzekłem do pani, żeby mi powiedziała jakie swoje zamyślenie i gdzie się obróci? A, mój Franciszku, powiada, Bóg nad sierotami... do miasta pojedziemy — robota się jaka zdybie. Tedy ja znowu rzekłem, że do roboty zdrowia trza — a ona powiada, Bóg da. Ano, powiadam, juści prawda, że da, jak będzie wola Jego — ale, powiadam, że na mój głupi rozum, to podobnie; byłoby pani z panienkami na wsi pozostać. Tu po niemcu kolonia jest nieduża, możnaby w arendę za małe pieniądze wziąć, parobka sobie przynając i żyć siako tako. Tak powiedziałem po szczerości serca, a pani mówi: wy się na tém nie znacie, mój Franciszku. Może ja się nie znam, powiadam, ale zawdy to wiem, że jak jest ziemi kawalek, to i chleb jest i kartofel i mleka kapeczka i okrasa, przynajmniej choć biednie, to co nieco w gębę można włożyć — a w mieście, na onych twardych kamieniach żyć ciężko. Miałem ja krewniaka co do miasta poszedł, to on mi powiadał jaki tam smak. Tymczasem pani powiedziała, że tak już ma być, że sobie taki los obrała i na tém skutek. Gadaliśmy o nieboszczyku panu starszym, co życie stracił niedawno i o paniczku, co znowu jak kamień w wodę przepadł, i o tym kawalerze, co do starszej panienci niby w zaloty zajężdżał... One poplakiwały, mnie też markotno było... i tak na owém przypominaniu droga nam zesła.

— Dalekoście je zawieźli?

— Za Puławy dwie mile ku Lublinowi, do jakiegoś dworu, gdzie krewniaków swoich mają i tamte znowu krewniaki mają je odesłać dalej. Ot, rzemiennym dyszlem, jak zwyczajnie w biedności. Jak jeno tam zajechaliśmy, pani znów zaczęła lamentować, a ja już na to nie miałem mocy patrzeć, i pożegnawszy one biedactwa, zara wyjechałem z dziedzińca. I tak oto wlokę się po tej drodze ciężkiej, na onym deszczu, i rozmyślam siak i tak i kuczy mi się i markotno mi i żal, że się mało nie skręcę — aż oto was ujrzałem Michale...

— Zawdy w kompanii przyjemniej.

— Pewnie, pewnie i jak się człowiek wygada, to mu i na duszy krzynkę lżej i tak mu się wydaje, jakby na to mówiący, komu połowę żalu oddał.

Długo gwarzyli jeszcze ci dwaj chłopci, a gwarzyć mieli o czem, bo przedmiotów do rozmowy nie brakło. Tu pole nieorane, tam folwark spalony, tu znów las po obu stronach wycięty... Każde prawie drzewo, każdy krzyż przydrożny, był świadkiem różnych wypadków, które głęboko w pamięci wieśniaków utkwiły. Gwarzyli tedy chłopiska, jękami i westchnieniami przerywając gawędę; w kompanii było im jakoś raźniej i droga prędkiej schodziła. A kapuśniaczek ciął w same oczy bez przerwy, bo na dziewięć dni i dziewięć nocy się zabrał... w oddali szumiała szeroka Wisła coraz gniewniej i groźniej, ponure mroki nocy jesienniej ogarniały świat,

zacierając kontury wzgórz, lasów, drzew i chałup
chłopskich — coraz stawały się gęstsze, coraz cie-
mniejsze, aż pokryły wszystko prawie czarnym,
żałobnym całunem.

Wiatr zerwał się niewiadomo z kąd i zaczął szar-
pać smukłe topole nadwiślańskie i przysadziste
wierzby nad wodą, rwał z nich listki i na skrzy-
dłach swych lotnych niósł je w przestrzeń nieprze-
niknioną okiem, czarną, nieskończoną...

Biedne listki!



I.

Za onych czasów (a będzie temu lat dwadzieścia z górą) kraj nie był pokryty tak jak dziś siecią dróg żelaznych i ludzie odbywali podróże końmi. Kto nie miał własnego ekwipażu, puszczał się w drogę ekstrapocztą, dyliżansem pocztowym, albo też lokował się jak mógł w wielkiej bryce żydowskiej, pokrytej płótnem.

Na przebycie drogi z Lublina do Warszawy potrzeba było, przy najlepszej drodze, dwudziestu czterech godzin czasu, a jak przyszły śnieżyce wielkie albo roztopy wiosenne, to nieraz i półtoręj doby zeszło zanim omnibus pocztowy, wyprawiony z Lublina, wtoczył się na dziedziniec Staręj poczty od strony Nowo Senatorskiej ulicy.

Jesienny wieczór był, brzydki, szary, wietrzny. Na ulicy, przed gmachem pocztowym w Lublinie

przy czerwonym świetle naftowych latarni widać było olbrzymi dyliżans, zaprzężony w pięć rosłych, wychudłych koni. Do dyliżansu przystawiona była drabina, po której posługacze stajenni wnosili kufry i walizki podróżnych, aby je na wierzchu wehikułu ulokować.

Pasażerowie zebrani byli w tak zwanym „pokoju dla podróżnych” i oczekiwali sygnału do odjazdu.

Gdy na zegarze pocztowym uderzyła godzina szósta, krępy pocztylion ledwie mogący się ruszać w kożuchu ciężkim i w płaszczu, wgramolił się na wysoki koziół omnibusu i przyłożywszy trąbkę do ust, zaczął z niej wydobywać chrapliwe dźwięki sygnału.

Zaraz też ruszyli się pasażerowie.

Dwaj żydzi, otyli kupcy od zboża, ubrani w ogromne szopy, mający pełno tłumoków i tłumoczków, wcisnęli się w sam kąć, aby najwygodniejsze miejsce zająć, za nimi weszła jakaś dama, cierpiąca na ból zębów i jakiś jegomość, wieśniak widocznie — i o ile przy świetle latarki można było dojrzeć, niemłody.

Na samym końcu, gdy już wszyscy zajęli swoje miejsca, gdy porozsiadali się wygodnie, aby móżdż korzystać z dobrodziejstwa snu w nocy, wsunęła się do omnibusu osoba młoda, szczupła, wysmukła, o bladłej twarzy i dużych czarnych oczach.

Jakby zmieszana, zażenowana towarzystwem

osób obcych, nieznanym, usiadła tuż przy samych drzwiczkach, starając się zająć jak najmniej miejsca i nie zwracać na siebie uwagi.

Obok niej siedziała dama z podwiązaną twarzą, naprzeciw zaś ów pan niemłody, z pozoru wyglądający na wieśniaka.

Czerwonawe światło latarki rozjaśniało nieco ciemność panującą w dyliżansie.

Pocztylion zatrąbił drugi sygnał, śmignął biczem i chude koniska pociągnęły za sobą wysoki, napiętrzony tłómkami dyliżans. Ciężkie koła zadudniły po bruku, latarnie miejskie coraz rzadziej migwały przed oczami podróżnych, aż wreszcie zniknęły zupełnie.

Żydzi rozmawiali z sobą o interesach, lecz po niejakić chwili zasnęli, cierpiąca pani zakryła sobie twarz chustką, tylko ów szlachcic spoglądał na młodą osobę, jakby z zamiarem zawiązania rozmowy.

Dziewczyna jednak unikała jego spojrzeń, wsunęła się w sam kącik omnibusu i udawała, że drzemie. Tak przejechali pierwszą stację. Zaprzęgnięto inne konie i omnibus potoczył się dalej.

Naraz podróżni wydali głośny okrzyk. Żydzi zerwali się ze swoich miejsc, szlachcic siedzący z brzegu, otworzył drzwiczki i w jednę chwilę wyskoczył.

— Niech pani wysiada! — zawołał do swojej sąsiadki — stoimy nad samym rowem i omnibus przewróci się lada chwila.

Młoda osoba wyskoczyła pośpiesznie i wyskoczyła w samą porę, bo w tej chwili pocztylion, chcąc naprawić sytuację, ruszył końmi, ciężar tłumoków przeważył i ogromny dyliżans przewrócił się do rowu.

Krzyków było bez końca.

Konduktor kłął pocztyliona, pocztylion kłął konie i ciemność, żydzi grozili skargą, a cierpiąca na zęby dama jęczała w niebogłosy.

— Cóż zrobić?... — zapytał szlachcic. — Sami takiego ciężaru nie podniesiemy, trzeba do wsi po ludzi posłać.

— Wieś daleko — odezwał się konduktor — bliżej będzie do stacyi. Ja zaraz poszlę pocztyliona konno, a państwo muszą tu trochę poczekać.

— Jakie czekać? co to jest czekać? — wołali żydzi. — Ładny interes czekać na środku szosy, gdzie broń Boże nieszczęście może być!

— Wielka rzecz! — odezwał się szlachcic. — Nie nam się nie stanie, a zresztą musimy poczekać. Na szczęście deszcz ustał.

— My nie chcemy czekać! Kto ma czas niech czeka, my nie mamy czas!

— W takim razie nie czekajcie panowie — odrzekł obojętnie.

— Nu. . a jakim sposobem pojedziemy?

— To już wasza rzecz!

Konduktor zapalił zgaszoną latarnię, cierpiąca pani wydobyła się ze środka landary.

Światło latarni padło na twarz młodej osoby. Wtedy ów siwiejący szlachcic przystąpił do niej i rzekł:

— Wybacz pani moją śmiałość, ale uderzające podobieństwo skłania mnie do niedyskrecyi. Czy pani nie jesteś córką nieboszczyka pana Romana z Rudki?

— Znał pan mego ojca?—zapytała z żywością.

— Byłem jego przyjacielem serdecznym i panią znam również, ale przypuszczam, że nie pamięta mnie pani.

— Istotnie, nie przypominam sobie..

— Nic dziwnego, kiedy po raz ostatni odwiedziłem pani rodziców, pani byłaś dziesięcioletnią... Zosią. Wszak dobrze pamiętam?

— Doskonale!—odpowiedziała z uśmiechem.

— I miałaś pani siostrzyczkę, wówczas jeszcze bardzo maleńką, Helcią ją nazywano.

— I po latach tylu jeszcze pamięta pan imiona takich dzieciaków?

— Jak pani widzi. To nie tak dawno, będzie temu lat. . ośm. Nieboszczyk taki z was był dumny, tyle mi o was naopowiadał, tak się wami cieszył.

— Dobry, poczciwy ojezulek! Czemuż go już nie ma?

— Ha, nieszczęście! W każdej rodzinie są szcerby, każdy prawie oplakuje kogoś, ale przepraszam, poważam się rozmawiać z panią, a nie powiedziałem kto jestem. Otóż przedstawiam się: Józef Kamiński z Zabłocia, na Podlasiu.

— Ach! tyle razy o panu słyszałam.

— A mama pani?

— Biedna mama! Cierpiąca od czasu tych przejść okropnych, znajduje się teraz z młodszą siostrą u krewnych... czasowo naturalnie.

— Jakto czasowo?

— Przecież nie może być im zawsze ciężarem, tembardziej, że teraz wszystkim tak ciężko. Gdzie spojrzeć źle, gdzie się obrócić klęski, niedostatek, żaloba...

— Doprawdy, chciałbym jeszcze o coś spytać, ale już nie mam śmiałości...

— Dlaczego?

— Z każdego słowa pani wieje taki smutek, że boję się, czy zapytaniem nie rozżalę pani bardziej jeszcze, a przytem... przytem obawiam się, czy niedyskrecya człowieka obcego...

— Odpowiem panu szczerze. Rozżalić się już bardziej nie mogę, bo w nieszczęściach, które przesłałam, serce moje stwardniało jak kamień. Wypłakałam wszystkie łzy i teraz spoglądam w przeszłość

suchemi oczami — a co się tyczy niedyskrecyi pańskiej, to rzecz inna...

— Obawiam się, żeby nie była poczytana za złe.

— Nie, panie. Mienisz się przyjacielem mego ojca.

— Serdecznym.

— Nazwisko pańskie słyszałam tylokrotnie... więc tytuł przyjaciela ojca nadaje mu prawo do interesowania się losem wdowy i dzieci. Gdyby mnie kto zapytywał z ciekawości pustej, odpowiedziałabym mu milczeniem, ale ja wierzę w to, że pytasz pan z przyjaźni. Przymtem jestem prawie pewna, że łączy nas powinowactwo nieszczęścia, bo ono takie teraz powszechne.

— O tak! pani, łączy nas ono. I ja poniosłem ciężką stratę. Sam ocalałem, ale w pożarze domu, w pożarze, podczas którego na nieszczęście nie byłem obecny, straciłem żonę. Dwoje dzieciaków chłop z narażeniem własnego życia prawie cudem uratował z płomieni.

— Boże! Boże! cóż za straszne przejścia!

Zamilkli oboje i pogrążyli się w smutnych dumaniach. Wiatr szumiał żałośnie i szeleścił gałęzmi drzew przydrożnych. W cieniach nocnych przewrócony omnibus wyglądał niby cielsko jakiegoś potwora o dziwacznych kształtach. Żydzi otuliwszy się w futra, usiedli na kamieniach przydrożnych, oczekując sukursu, a cierpiąca pani obwiązała gło-

wę szalem i wsunęła się do wnętrza przewróconej budy, aby tam znaleźć ochronę od wiatru.

Przy migotliwym świetle latarki, Zosia spojrzała na towarzysza podróży, który ojca jej przyjacielem się mienił i zdawało jej się, że dostrzeża na jego skroniach siwiznę.

Starcem jej się wydał.

Milczenie jakiś czas trwało, on przerwał je pierwszy.

— Wszak pani miała brata?—zapytał.

— Tak, panie, najstarszy z nas trojga.

— Gdzież jest obecnie?

— O tem wie chyba Bóg jeden—odrzekła—bo my nie. Jak wyszedł z domu przed rokiem, już go od tej pory nikt z nas nie widział.

— I żadnej wiadomości, żadnego listu, nie?...

— Ani słóweczka.

— Boże! Boże... ileż nieszczęść znosić każesz. A któż gospodaruje w Rudce?—spytał po chwili.

— Właściciel.

— Właściciel? przecież ojciec pani nie żyje.

— To pan nie wie? Rudka sprzedana niedawno. Żyd ją nabył.

— Sprzedaliście państwo?

— My nie... Sprzedał ją sąd, towarzystwo, wierzyciele, albo ja wiem kto. Ja się na tem nie znam, panie. Wiem, że zarzucano nas jakimiś papierami, że mama jeździła do różnych adwokatów, starała

się o pieniądze... Sąsiad jeden poczciwy dopomagał w tych staraniach, ale widocznie na nic się to nie zdało, bo Rudkę sprzedali, i my musiałyśmy się wynieść z rodzinnego gniazda... Oto i cała historia naszej niedoli. Jak pan widzi niedługa.

— I nie uratowałyście nic panie z całego majątku?

— Podobno nic!

— Mama zapewne mówiła pani...

— Mówiła, że jej kilkaset rubli zostało i nadzieja sprzedaży kilku pamiątkowych klejnotów, które udało się ocalić przed argusowemi oczami komorników.

— I nic nadto?

— Powiedziałam panu...

— Okropne... okropne położenie! Cóż panie za myślacie robić?

— Mama ciągle płacze, Helcia nie zdaje sobie dokładnej sprawy z położenia...

— A pani?

— A ja, jak pan widzisz, jestem na drodze do Warszawy... jadę, szukać pracy i chleba.

— Ma pani przynajmniej jaką nadzieję?

— W Bogu tylko...

— Czemże się pani zamierza trudnić? Jakiemu zawodowi poświęcić?

— Wzięłabym się chętnie do każdej roboty, pracowałabym w kantorze, w sklepie — słowem

wszędzie, gdzieby się moja praca mogła na co przydać.

— Trudno o posadę w tym rodzaju, zwłaszcza dla kobiety.

— Wiem o tém, ale szukać będę. Coprawda wolałabym zatrudnienie fachowe, wolałabym rzemiosło, ale nie znam żadnego, a na nauczzenie się już zapóźno.

— Dla czego? w wieku pani...

— Tak! ale ponieważ moja praca ma zapewnić byt choréj matce i siostrze młodszéj, to uczyć się już nie pora. Trzeba szukać zajęcia innego. Jeżeli dostanę się do jakiego sklepu, to dobrze, jeżeli nie, będę musiała zostać nauczycielką, chociaż ten rodzaj pracy wydaje mi się najtrudniejszym.

Turkot nadjeżdżającego wozu przerwał tę rozmowę. Oczekiwana pomoc ze stacyi przybyła. Kilku ludzi za pomocą drągów i lewaru podniosło przewróconą budę, pozbierano walizy i tłomoki, konduktor umieścił nową świecę w latarni, podróżni zajęli miejsca i dylizans potoczył się dalej.

Przez chwilę mówiono tylko o doznanej przygodzie. Kupcy ostro krytykowali urządzenia pocztowe i nie mogli zrozumieć jakim sposobem, wzięwszy od pasażera blisko pięć rubli za bilet, można robić takie przykre niespodzianki. Cierpiąca dama ruchem głowy dawała do zrozumienia, że podziela przekonania kupców i że jedynie dokuczliwy ból



zębów wstrzymuje ją od wygłoszenia kilku zdań, dotyczących trzeźwości poczytłiona i oryginalnego sposobu wykonywania obowiązków, do stanowiska jego przywiązanych.

Wkrótce oburzenie ustąpiło miejsca sennaści, nawet ów szlachcic siwiejący, czy siwy, otulił się futrem i przymknął powieki; może drzemał, a może też rozmyślał o ciężkiej sierociej doli, o świeżo przebytych cierpieniach i nieszczęściach.

Panna Zofia drzemać nie mogła. Zawiele myśli cisnęło się do jej pięknej główki. Po raz pierwszy w życiu znalazła się sama jedna wśród obcych. Dotychczas otaczała ją miłość rodzicielska, tkiwość i opieka serdeczna — teraz zmieniło się wszystko, teraz sama stać się musi opiekunką, sama iść w świat szeroki. Los niesie ją niewiadomo dokąd, w przyszłość niepewną, nieokreśloną, a może pełną zawodów i goryczy.

Tak wiatr jesienny igra z listkiem, oderwanym od macierzyńskiego drzewa.

Myśli biednej dziewczyny płaczą się chaotycznie, tysiące pytań ciśnie się do główki, a serce bije trwożnie.

Przed nią świat, ale jaki świat! nie ten cichy, który przecież niedawno uśmiechał się do niej, ale jakiś inny zupełnie, wielki, zimny, obojętny a nieznanym...

Czy zechce ją przyjąć, czy da jej kącik w swojej wielkiej pracowni, czy pozwoli jej żyć dla chorób matki, dla siostry?

Wychyła główkę przez okno i patrzy... dokola ciemność zupełna, ani jednej gwiazdeczki na niebie, zdaje się, że ów wielki wóz pocztowy stacza się w przepaść niezgłębioną, bezdenną.

Nareszcie miga jakieś światełko... jedno... drugie... dziesiąte... To zapewne we wsi.. we wsi! w chłopskich chatach. Tam ognie płoną na kominach, ludzie na spoczynek się zeszli, są u siebie, w domach swoich i nie opuszczają ich ani dziś, ani jutro, nie pójda samotni między obcych na tulaczkę. Tam, gdzie światełka płoną, musi być dobrze i cicho, a jeżeli nie dobrze, to spokojnie przynajmniej... a tam w owym świecie szerokim, nieznanym, pełnym ludzi obcych, cóż jest?..

Cofnęła się, żeby nie patrzeć w ciemność.

Oparła główkę o ścianę dyliżansu i przymknęła oczy. Myśl jej cofnęła się w przeszłość aż do lat dziecinnych. Uplynęły one szczęśliwie, spokojnie, w pieczętotach rodzicielskich, w zabawkach. Potem przyszły lata nauki, także szczęśliwe lata. Ubiegły szybko w gronie rówieśnic, wesółych, hoźych dziewczek.

Powróciła do domu już jako dorastająca, prawie dorosła panienka i wnet serduszko jej uderzyło żywiej. Pokochała młodego chłopca o czarnych wy-

mownych oczach. Był to kuzyn jej daleki, znali się od dziecka, bawili razem.

Towarzysz zabawy został narzeczonym i zaczęły się dla niej najszcześniejsze chwile. Kochająca i kochana, uśmiechała się do życia, do słońca, do kwiatów, ale to szczęście bardzo krótko trwało. Zaczęły się zbierać chmury czarne, potem nastąpiła cisza złowroga, a dalej burza straszna, długotrwała.

I w tej zawierusze, w tych dniach ciężkich, które krwią i pożogą zapisały się w pamięci, ojciec utracił życie, brat przepadł bez śladu, a ten, który miał być jej towarzyszem dozgonnym, rzucony został w świat daleki...

Oto i cała przeszłość dziewczęcia. Sama jedna, z żalobą w sercu i tęsknotą, idzie w świat, między obcych ludzi, aby z bijącym sercem, z nieśmiałością do ich drzwi kołatać i prosić o zatrudnienie, zarobek.

Straszną i długą wydaje jej się ta noc w dyliżansie. Dokoła ciemność zupełna, co jakiś czas dyliżans zatrzymuje się, słychać tupot przyprawdanych koni, głos pocztylionów, chrapliwy odgłos trąbki i znowu pocztowy wóz toczy się dalej.., w ciemność. Gdyby chociaż sen uspokoił ją choć na chwilę, ale nie, sen ucieka od nieszczęśliwych i cierpiących.

Nareszcie zaczyna szarzyć... Po przez chmury ciężkie przebija cokolwiek blady, bardzo blady pas

światła na wschodzie, wynurzają się z ciemności kontury drzew, stojących dwoma rzędami przy trakcie. Walka światła z ciemnością trwa dalej, coraz żywsza, zawziętsza. Światło zwycięża a pokonana ciemność ucieka i odsłania smukłą wieżyczkę wiejskiego kościółka, szeregi chat chłopskich, krzyż przydrożny.

Z wieżyczki dolatuje słaby odgłos dzwonka, ludzie budzą się, żurawie studzienne skrzypią, bydło idzie skubać resztki poczerńiałej trawy na pastwiskach.

Zosia otwarła przymknięte powieki, siedzący naprzeciw niej szlachcic wita ją przyjaznym:

— Dzień dobry!

— Nie spałam wcale—odrzekła.

— Dlaczego?

— Bałam się, otwarcie to przyznaję. Noc taka straszna i ciemna...

— Szkoda, żem nie wiedział, że pani nie śpi, rozmawialibyśmy, byłoby pani raźniej.

— Pan także czuwał?

— Ja przyzwyczajony jestem do nocnych podróży, ale sypiać w drodze nie mogę. Rozmyślałem o swoich własnych troskach, a także i o pani. Po raz pierwszy zapewne znajduje się pani w podróży?

— W takich warunkach po raz pierwszy...

— Cóż więc dziwnego, że doznawała pani uczu-

cia pewnej trwogi!... to całkiem naturalne, lecz trzeba panować nad sobą, dodawać sobie odwagi, a co najważniejsze, nadziei nie tracić.

Zosia westchnęła.

— Ma pani kogo z blizkich w Warszawie?—zapytał.

— Jest tam jedna nasza kuzynka, staruszka, emerytka. Niedawno pisała do mamy i zapraszała mnie bardzo gościnnie. Ma na Starem mieście dwa pokoiki. U niej chwilowo zamieszkać, dopóki sobie obowiązku nie znajdę.

— Pytałem dla tego, że ja w Warszawie mam siostrę, któraby panią z całą serdecznością przyjęła, a może nawet i dopomogła w wynalezieniu miejsca. Zna ona wybornie Warszawę, gdyż mieszka tam od lat kilkunastu, przytém jest bardzo energiczna i obrotna, więc mogłaby być dla pani doskonałą przewodniczką.

— Serdecznie panu dziękuję, ale planu zmienić nie mogę. Tak już umówiliśmy się z mamą i muszę tego się trzymać. Ciocia więc, że ja dziś przyjadę i zapewne oczekiwać mnie będzie na poczcie.

— Nie narzucam mojej rady, ale sądzę, że nie zaszkodzi gdy się pani z moją siostrą pozna. Dobra to bardzo i poczciwa kobieta. Znajomość z nią wyszłaby pani tём bardziej na dobre, że siostra moja sama na siebie pracuje.

— Niezameżna?

— Wdowa od lat dziesięciu. Krótka żyła z mężem, bo coś dwa lata niecałe. Umarł i zostawił ją z dzieckiem. Chłopczyk ten do szkół już chodzi. Gdy siostra owdowiała, chciałem ją wziąć na wieś do siebie. Oparła się jednak stanowczo i powiedziała, że zamierza istnieć o własnych siłach.

— Były nawet z tego powodu nieporozumienia między nami — ciągnął dalej szlachcic — lecz siostra postawiła na swoim i nie żałuje dziś tego. Ma niezależny kawałek chleba, dochody niewielkie, lecz wystarczające, wychowuje syna bardzo dobrze, kształci go, czegoż żądać więcej?

— Istotnie! niech mi pan powie jaką drogą doszła do tego, jaki sobie zawód obrała?

— Bardzo pospolity, proszę pani. Nauczyła się kroju, szycia, a że miała niewielki kapitalik, więc założyła magazyn, z początku bardzo mały, ale z czasem rozwinęła go i dziś zatrudnia, jeżeli się nie mylę, dziesięć czy dwanaście panien. Otóż powiadam, że rada takiej kobiety praktycznej i doświadczonej mogłaby się pani bardzo przydać.

— Najzupełniej podzielam pana zdanie i niezawodnie zgłoszę się do siostry pańskiej, jeżeli...

— Jeżeli?

— Obawiam się, że osoba tak zatrudniona może...

— Zaręczam, że przyjmie panią z otwartymi rękami. Siostra moja ma bardzo dobre serce, zacne-

go charakteru kobieta. Jak tylko przyjadę do Warszawy, opowiem jej o pani i uprzedzę, że pani ją odwiedzi.

— Dziękuję serdecznie — odrzekła, podając mu rękę.

Omnibus zatrzymał się przed stacją.

— Tu — rzekł — postoiemy z pół godziny, a może nawet i dłużej. Poczta jest wspaniałomyślną dla swych ofiar, pozwala im rozprostować zmęczone kości i rozgrzać się herbatą. Niech pani wysiądzie. Znam wszystkie austerye na tym trakcie, mogę więc być przewodnikiem. W tej, do której wejdziemy zaraz, jest nawet oddzielny pokoik dla dam, gdzie pani będzie mogła spocząć i poprawić toaletę... Otóż jesteśmy na progu. Niech pani wejdzie na salę, w te drzwi na prawo, a ja każę tymczasem przygotować herbatę.

W dużej izbie wyklejonej złotem obiciem, był już ruch. Na bufecie stał ogromny, dymiący samowar, z poza którego wychylała się pulchna twarz gospodyni. Rozespany chłopak oczekiwał na rozkazy gości.

W stancyi znajdowało się kilka osób, gdyż lada chwila miał nadejść omnibus z Warszawy; jedni spodziewali się znaleźć w nim miejsce, drudzy oczekiwali na gazety, na listy.

Rudy żydek w wypłowiałym chałacie, ma się rozumieć faktor, zwijał się między gośćmi w nadziei zarobku.

Ściany owej sali przyozdobione były starami

sztynchami i litografiami, pokrytemi kurzem, popstrzonymi przez muchy. Jeden sztych przedstawiał wielkiego Napoleona, w historycznym szarym surducie, z lunetą polową u oka, drugi wyobrażał śmierć księcia Józefa w nurtach Elstry, na innych były Muzy, Gracye i różne postacie mitologiczne. Nad wypłowiałą ze starości zieloną kanapą wisiało lustro duże, w ramach niegdyś zapewne złożonych, pokryte również warstwą kurzu. Żółte stoły jesionowe, czerwonymi serwetami przykryte, dopełniały całości umeblowania tego przybytku, w którym codziennie kilka partyj podróżnych zatrzymywało się, dla wypoczynku i pokrzepienia sił.

Po kilku chwilach panna Zofia, uporządkowawszy swoją toaletę, wyszła do owęj żółtymi obiciami wyklejonęj stancyi i zajęła miejsce przy oddzielnym stoliku obok swego towarzysza podróży.

Dzień już się zrobił na dobre, w stancyi było jasno, więc też nasi podróżni mogli się sobie nawzajem dobrze przypatrzeć.

Oboje czynili ten przegląd w milczeniu. On podziwiał drobne rysy jęj twarzy, nacechowane wyrazem niezwykłej łagodności, ona zaś ze zdumieniem spostrzegła, że towarzysz podróży, który jęj się starszkiem wydawał, wcale na starego człowieka nie wyglądał.

Twarz jego była gładka i niepoorana zmarszczkami, oczy czarne błyszczące, włosy bujne i gęste niegdyś czarne jak heban, lecz teraz tak przypru-

szone siwizną, że się prawie białemi wydawały. Gdy miał na sobie futro, którego duży kołnierz zasłaniał mu pół twarzy, to istotnie owe siwe włosy, wychylające się z pod czapki, nadawały mu pozór człowieka wiekowego. Światło latarki w omnibusie dopełniało złudzenia.

Panna Zofia spojrzała na niego z niedowierzaniem.

Pan mieni się przyjacielem mego ojca?—spytała.

— Istotnie pani! łączył nas stosunek serdecznej przyjaźni.

— Dziwna rzecz—rzekła, jakby w zamyśleniu—mój ojciec musiał być znacznie starszym od pana.

— O całe dziesięć lat, może i więcej nawet, przytem on się ożenił bardzo młodo, a ja zaledwie przed sześcioma laty. Ztąd wynika pozornie duża różnica wieku, bo on biedak umarł i zostawił po sobie dzieci prawie dorosłe — a ja utraciwszy żonę, zostałem z dwojgiem małych dzieci.

— Gdzież są te biedne sierotki?

— Są u mnie, na wsi, pod opieką drugiej mojej siostry. Poczciwa kobieta, ale... matki nikt podobno dobrze nie zastąpi.

— Żona pańska młodo umarła?

— Zginęła w płomieniach... jak męczennica. Straszne to wspomnienia—odrzekł smutnie—lepiej o nich nie mówić. Więc pani do swojej kuzynki się uda?—dodał, chcąc zmienić przedmiot rozmowy.

— Tak panie, trzymać się będę instrukcyj, jakie od mamy dostałam. Zajadę wprost do babci, bo my tę kuzynkę babcią nazywamy i zaraz rozpocznę starania.

Rozległ się dźwięk trąbki pocztowej. Podróżni ruszyli się z miejsc i po kilku minutach omnibus potoczył się dalej ku Warszawie. Podróż w dzień nie wydawała się już Zosi tak przykrą i straszną. Zajmowała ją rozmowa podróżnych, zajmowały widoki okolic i czas uchodził szybko, niepostrzeżenie prawie.

Już było dobrze szaro, kiedy omnibus zaczął się toczyć po nierównym bruku Grochowa.

W oknach licznych domków płonęły światła, z kominów fabrycznych wylatywały iskry. Im dalej, tém dymy gęstsze, światła więcej. Omnibus przejechał przez Pragę, przez most pontonowy i powoli wtaczał się pod górę.

Otóż i Warszawa, pierwszy etap wędrówki sierocój!

Zosia patrzyła z trwogą na to miasto wielkie, na ludzi biegnących szybko po ślizkich, kamiennych chodnikach. Czy wśród tego tłumu znajdzie się kto, co jej niedolę odczuje i możność do pracowania na kawałek chleba poda?... A prawda, przecież jest babcia!...

Omnibus wjeżdża w dziedziniec pocztowy, gromada dorożkarzy ofiaruje przyjezdnym swe usługi,

faktorzy rekomendują tanie zajazdy. Gwar i krzyk. Zosia nie umiałyby się ruszyć w tym zgiełku, ani rzeczy swoich odnaleźć, ale na szczęście zajął się nią towarzysz podróży. Rzeczy odebrał, do doróżki zanieść kazał; byłby nawet chętnie odwiózł Zosię do babki, ale narzucać się nie śmiał.

Uściskał jej tylko rękę na pożegnanie i powodzenia życzył.

Doróżka stanęła wkrótce na Starem mieście. Zosia zeskoczyła, wzięła swoją walizkę i weszła do sieni wązkiej, długiej, o nierównej posadzce kamiennej. Kopcąca lampka naftowa oświetlała wewnątrz tego sklepionego korytarza.

Usłyszawszy, że ktoś chodzi po sieni, stróż wysunął się ze swej kryjówki.

— A do kogo to?—zapytał gburowato.

— Mój człowieku, ja tu przyjechałam do mojej krewniej, pani Burhardt; czy nie moglibyście mi powiedzieć, gdzie ona mieszka?

— E...be! moja panienko, ona daleko tera mieszka.

— Nie w tym domu? czy się wyprowadziła?

— A juści! wyprowadziła się na Powązki.

— Umarła!—zawołała z przerażeniem Zosia.

— A dyć zmarło jej się temu tydzień. Doctory przychodzili, ale co to pomoże! na śmierć doktora nie ma.

— Gdzież ja się teraz podzieję? dokąd pójde
nieszczęśliwa?

— Toć Warszawa niemała...

— Ale ja tu nieznam nikogo!

Stróż się poskrobał po głowie.

— Ja na to nie dochtór — rzekł — jak se pani
przyjechała — tak niech se pani odjedzie, bo tu nie
ma co robić; pani Burkartowa pomarła, rzeczy już
krewne zabrali, a w pokojach jutro malowanie będzie
i zaraz się karta wywiesi... Nie ma tu pani co robić
i tylo...

Zosia załamała ręce z rozpaczy.

II.

W magazynie strojów damskich pod firmą „Władysława”, robota dzienna była skończona. Pracownice porzchodziły się do domu, została tylko starsza panna, główna pomocnica właścicielki. Ta krzątała się jeszcze, to porządkując porozrzucane materiały, to znów zaglądała do dużej książki, w której zapisane były zamówienia i miary klientek.

Magazyn do którego wchodziło się wprost z bramy, łączył się ze skromnem, ale bardzo gustownie urządzonem mieszkaniem właścicielki. Znać było w najmniejszym nawet drobiazgu rękę kobiety pracowitej i dbaliej o porządek.

Mieszkanko składało się z trzech pokoików; w pierwszym z nich chłopczyk w granatowym mundurku siedział nad książką i powtarzał półgłosem

deklinacye łacińskie; w drugim jego matka nakrywała stół do herbaty.

Była to osoba w średnim wieku, ale jeszcze bardzo przystojna. Brunetka o dość regularnych rysach, wysoka, w ruchach i wyrazie twarzy, w spojrzeniu zdradzała stanowczość i energię. Tęj właśnie energii i stanowczości zawdzięczała swoje obecne, niezależne położenie materyalne.

— Leos! — zawołała na chłopczyka — poproś panny Felicyi na herbatę i sam złóż książki i chodź.

Chłopczyk pobiegł, a jednocześnie ktoś zadzwonił.

Sama gospodyni pospieszyła otworzyć. Gościem jej był brat, a towarzyszył podróży panny Zofii.

— Przepraszam cię, moja Władziu — rzekł, podając jej rękę — żem się spóźnił, ale tyle mam różnych interesów do załatwienia. Trzy dni jestem w Warszawie i jeszcze nie koniec. Elżbietka mi wypisała całą litanię sprawunków.

— Ach! Elżbietka... ona zawsze ma tysiące poleceń, ale nie nudź, chodź, samowar już gotów.

— Wujcio! — zawołał chłopczyk radośnie, rzucając się szlachcicowi na szyję.

— Mam tu coś dla ciebie.

— O! niech wujcio pokaże!

— Później, później, jest tu coś bardzo ładnego.

— Psujesz mi chłopca, mój bracie — rzekła pani Władysława — nie jest on przyzwyczajony do zabawek.

— To nie zabawka, to książka.

— Czy panna Felicja idzie?

— W tej chwili, mam, tylko jeszcze ma pozamykać szafy.

— No, chodźcież już raz.

Po chwili brat, siostra i Leos siedzieli przy stole. Niebawem nadeszła panna Felicja, osóbką sucha, zawiedła, mileżąca. Nie wtrącała się też prawie do rozmowy.

Pan Józef opowiadał o dzieciach swoich, które na wsi pod opieką drugiej siostry zostawił, o kłopotach różnych, sprawunkach. Nagle gospodyni rzuciła mu pytanie:

— Powiedz mi, mój Józiu, czy nie spotkałeś gdzie Zosi?

— Córki pana Romana?

— No, tak! tej, o której opowiadałeś mi po przyjeździe. Powiedziałeś, że się do mnie zgłosi.

— Nie była jeszcze?

— Nie!

Pan Józef w czoło cię uderzył.

— Naturalnie! — zawołał — jakże mogła być tu, kiedy zapomniałem powiedzieć jej gdzie mieszkasz.

— A to szkoda, to wielka szkoda. Ja zainteresowałam się bardzo tą panią, tém bardziej, że wiem z jak dobrej i zacnej rodziny pochodzi i chciałam się zająć jej losem.

— Zawsze masz złote serce, moja Władziu!

— Żal mi dziewczyny: Młoda, niedoświadczona, jakąż sobie radę da wśród obcych ludzi?

— Miała zamiar nauczycielką zostać.

Pani Władysława ruszyła ramionami.

— Nauczycielką — rzekła — i cóż będzie mogła mieć z tego? Chce być podporą rodziny, pracować dla matki i siostry młodszej... dużo im pomoże! Widzisz, Józiu, ja dobrze zastanowiłam się nad tem i zdecydowana jestem wziąć ją do siebie. Straci jakiś czas na naukę, to prawda, ale będzie miała za to dobry kawalek chleba w ręku. Czy tu, czy na prowincyi, założy magazynik, boć zapewne został im jakiś kapitałik, a w najgorszym razie można by się postarać, pożyczyć, czy jak. Przy niéj wyuczylaby się i młodsza siostra.

— Istotnie, masz słuszość. Co za szkoda, że jéj nie dałem twego adresu.

— No, to nie straconego, przecież powiedziała ci gdzie stanie.

— U jakiejś swojej kuzynki, na Starem Mieście, ale pod którym numerem, także nie wiem.

— Czemuż się nie spytałeś?

— Proszę cię, nie wypadalo, tem bardziej, że, jak uważałem, chciała unikać pytań.

— Wiesz co, Józiu, a gdybyśmy poszukali jéj sami?

-- Jakim sposobem?

— Stare Miasto nie wielkie, choćby przejść od domu do domu i pytać. Ja jak sobie co postanowię, lubię zaraz wykonać, a do tój młodej dziewczyny nabrałam szczególnój sympatyi. Takie nie-szczęśliwe biedactwo!—godzi się przecież podać rękę, tembardziej, że nasze rodziny żyły niegdyś w dobrych stosunkach. Już ja prędzęj coś poradzę, aniżeli jakaś babcia-emerytka, może najzacniejsza staruszka... ale staruszka.

— Masz słusność, Władziu, wyświadczyłabyś jej prawdziwe dobrodziejstwo.

— Pragnęłabym przynajmniej.

— A no, więc jutro możemy się wybrać na poszukiwania; jeżeli chcesz, będę ci chętnie towarzyszył.

— Jutro?! Mój drogi, jutro od samego rana mamy bardzo dużą robotę, a zresztą ja nie lubię odkładać, co robić, to zrobić zaraz.

— Dziś?

— A tak, w tój chwili jest godzina ósma — jeszcze zatém dość wczesnie. Za pięć minut mogę być gotowa do wyjścia, a z powrotem odprowadzisz mnie.

— Ależ najchętniej!

— Więc wybornie. Panno Felicyo, niech mi pani da kapelusz. Otóż, widzisz Józiu, jak to prędko idzie, bierz palto na siebie i chodźmy, a raczej jedźmy.

— Mamo! i ja bym pojechał — prosił nieśmiało chłopczyk.

— Dobrze, pojedziesz!

Po chwili doróżka wiozła wszystko troje ku Staremu Miastu.

Nielatwo było natrafić na ślad Zosi, bo w którym domu na Starem Mieście nie mieszka jaka emerytka? Rozpytywali stróżów, aż nareszcie po długim poszukiwaniu znaleźli jednego, który mógł coś o przyjezdnej panience powiedzieć.

— Taka cieniuchna? — pytał — chuderlawa na gębie.

— Tak! szczupła... — potwierdził pan Józef.

— Przyjechała deruszką z poczty i miała ze sobą skórzany kuferek?

— Istotnie miała walizkę skórzaną.

— Ano, to rychtyk będzie ta!

— Pokażcież nam, proszę, gdzie mieszka, potrzebujemy się z nią widzieć.

— Albo ja wiem gdzie ona mieszka... jak sobie przyjechała, tak i odjechała.

— Przecież miała stanąć w tym domu u swojej krewnej.

— A juści, właśnie, jeno że się stała taka przygoda, ona krewna pomarła i pochowali ją, a ta panienska wybrała się do nięj w gościnę.

Pani Władysław w spojrziała na brata.

— Jaka to szkoda — rzekła — że nie dałeś jêj mego adresu. Wyobrażam sobie kłopot têtj biedaczki. Cóż zrobiła, do kogo się udała? Musimy się dowiedzieć przecie.

Do sieni wbiegła jakaś otyła jejmość, usłyszawszy kilka słów rozmowy, zatrzymała się.

— A co! — zawołała tryumfująco — ja wiedziałam, że ktoś będzie têtj panienki szukał. Co porządne, to zaraz można poznać z pierwszego wejrzenia. Ja wiem to dobrze, ja się znam, bo ja nie dzisiejsza przecie!

— Pani może powiedzieć nam co o têtj osobie? — spytała pani Władysława.

— Ma się rozumieć, że mogę, ale przecieź nie w sieni. Proszę państwa do stancyi, wszystko rozpowiem — juściż nie będę państwa tu trzymała. Jaka stancya jest, taka jest, ale zawsze stancya. To tu, proszę państwa, obok, w drugim domu. Drogo, drogo, proszę państwa, gospodarz drze, że niech Matka Boska broni, ale co robić, juści trudno na bruku siedzieć, jeszcze z maglami! Bo, proszę pani, ja magle mam, dwa porządne magle, zaraz państwo zobaczą. Na dole moja stancya, bo według magli wysoko mieszkać nie można, a po drugie tera, proszę państwa, służy to wielkie panie! którejby się chciało z tobołem bielizny po schodach chodzić? Oto tu! — rzekła, otwierając drzwi—proszę, proszę,

wszyscyutko opowiem, boć ta panienska, to zapewne krewna państwa.

— Tak! — odrzekła pani Władysława, aby coś odpowiedzieć.

Gadatliwa jejmość wprowadziła gości swych do mieszkania. Składało się ono z dużej izby, w której stało dwa staroświeckie magle i małego pokoiku, będącego widocznie budnarem ich właścicielki. W tym pokoiku było bardzo czysto i porządnie. W oknie kwiaty, na ścianach obrazy, przytem szafa, komoda, parę krzeseł i ogromne łóżko, przykryte białem prześcieradłem.

— Niechże państwo spoczna, proszę bardzo! — mówiła uprzejmie gospodyni — a i ja też siądę, bo jestem podupadła na nogi. W takiej wilgoci, żeby człowiek żelazny był nawet, to by zardzewiał — a cóż dopiero biedna wdowa. Bo juściż wdową jestem, już od siedmiu lat, tak się oto kołacę... ale cóż ja gadam. Miałam o tej paniencie...

— Właśnie, jeśli pani łaskawa, ciekawiśmy bardzo.

— Wierzę, wierzę, drogięj pani, ja sama też dzieci mam i odchowane już Bogu dzięki... tedy, właśnie szłam sobie... po cóż ja to szłam? Boże miłosierny! cóż to za kurza pamięć... po naftę, a tu obok przed kamienicą kupa ludzi. Ciekawość mnie zdjęła, przystanęłam. Patrę panienska jakaś stoi i płacze. Stróż pijany plecie Bóg wie co, stróżka

jeszcze gorzej pijana... gadają, krzyczą, machają rękami—a to biedactwo płacze. Ale, że ja nie dzisiejsza i nie w ciemną bita, tak przepchałam się aż do tej panienci i pytam: a co? a jak? a zkad? Ona powiedziała parę słów i podług tego zaraz zmiarkowałam co jest. Jużciż myślę sobie: niedobrze. Nieboszczkę panią Burchartową znalazłam ja, godna była pani, zawsze przysyłała do mnie do magła, slysze tedy, co się święci, i już chcę gębę otworzyć, żeby coś powiedziéć, aż tu Jankłowa, nie wiem czy ją pani zna?

— Zkadże?

— Szelma z pod ciemnej gwiazdy, żeby ona z piekła nie wyjrzała, powiada: niech się panienska nie martwi, ja paniencie dam śliczny pokoik i tak będzie paniencie dobrze!—jak wiadomo, taka to już wie, co ma mówić, a tu znowuż, nie wiedziéć zkad, wyrwał się jakiś wypłosz, taki fanfaron, w cylindrze, ze szkielkiem na nosie i także się nastrecza z pokojem. Tedy, proszę pani, już nie mogłam ścierpieć! Jak przyskoczę do owego eleganta, jak zacznę po swojemu! Pani kochająca, sam nie wiedział którejdy ma uciekać, a potem do Jankłowej: A ty, powiadam, taka i owaka, to ty tak?! Zaraz rewirowego zawolałam!.. Odszczekiwała mi, bo odszczekiwała, ale się zlekła, bo wie, że ja w gniewie nie pytam i że sprawiedliwość za mną będzie. Dość że przepędziłam żydówkę i zaraz obces biorę tę panienskę za

rękę i powiadam: Nie patrz, panienko, że ja biedna i prosta kobieta, ale jestem stateczna, matka dzieciom, i sierocie krzywdy nie zrobię. A ona popatrzyła na mnie, popatrzyła, nareszcie powiada: „Pójdę z panią!” i poszła.

— Ślicznieś pani zrobiła, bardzo uczciwie, bardzo godnie!—rzekła pani Władysława.

— A! Boże miłosierny, czyż to nie moje psie prawo? A toż chybabym ostatnia już była, żeby takięj sierotki nie poratować w kłopotcie. Przyprowadziłam ją tu, do tęg samęj stancyi, jako i państwa teraz, i powiadam: niech się panienka nie nie boi, ja magle utrzymuję.. jeszcze tylko parę walków przekręcą i będzie całkiem cicho. Ona sobie usiadła na krzeselku, płacze i drży, ale to, powiadam państwu, tak drży, jakby ją frybra trzęsła. O! myślę sobie, źle! rozchoruje się biedactwo i będzie... ale że ja też wypraktykowana, więc powiadam: moja panienczko kochana, nie pytając rozebrać się i kłaść, a ja duchem samowarek nastawię, herbaty gorącej dam i bez to wszystek mróz z panienki wylezie i do jutra będzie panienka zdrowa. Proszę, ma się rozumieć, grzecznie, a ona nie, „dziękuję i dziękuję”. Już mię też i złość wzięła, bo, proszę państwa, poprawdzie mówiąc, trochę prędka jestem...

Pani Władysława uśmiechnęła się.

— Niech się pani nie śmieje, prędkie ludzie złe nie są. Powiadam: co panienka sobie myśli, ja

mam zameźną córkę i ta mnie musi słuchać, a panienka jest, za pozwoleniem, dzieciak—a skorom panienkę tu wzięła, to moje psie prawo uczciwie panienki dopilnować. A może, powiadam, panienka się tego łóżka brzydzi, proszę zobaczyć, jak czyściutko powleczone. Zaraz posłałam porządnie i powiadam: nie stroić grymasów, tylko się kłaść! Nawet przytupnęłam nogą... No, jakoś posłuchała. Ja też zaraz duchem samowarek nastawiłam i trzy pacierze nie wyszło, jak dałam jej herbaty i nawet kapeńkę araku dolałam, bo to do zimna wypędzenia jedyne... Ona nic już nie odzywała się, ale uważałam, że spogląda na mnie dobrze. Zaraz też usnęła. Ja też jeszcze kręciłam się po stancyi, patrzę, a moja panna takich kolorów dostała aż miło. No, myślę sobie, Bogu dzięki, nie będzie jej nic.

— Wierzę, że usnęła dobrze—wtrącił pan Józef—po takiej długiej i utrudzającej podróży.

— A tak! panie, a przytém takie młode stworzenie to śpi, jak na urząd, ja też zrobiłam sobie w kącie posłanie i układałam się. Raniutko, jak tylko zadzwonili u Fary, wstałam, zaświeciłam lampkę, patrzę, moja sierotka otwiera oczy, przebudziła się zdrowa, śmiejąca nawet i dopieroż: a „Bóg zapłać!“ — powiada—a „czém ja pani odplacę..“ — przysiadłam koło łóżka i pytam dopiero: jak? co? z kąd panienka jest? gdzie się chce udać? Oj Boże, Boże, wypowiedziała mi nieboga wszystko, o swojej nie-

doli, o ojcu, o bracie, jak jęj teraz w świat potrzeba iść. Ona się popłakała i ja się popłakałam i tak płakałyśmy obie nad tą niedolą, nad tym losem, nad temi śmierciami. Jak mi zaczęła opowiadać o wsi, jeszcze mi się bardziej rozżaliła, bo ja też nie warszawska rodem...

— Ze wsi?

— A ze wsi, panie, ale mnie los do Warszawy zagnał, tu za mąż poszłam, za woźnego... dobry człowiek był, niech mu Pan Bóg da niebo. Tyle lat tu mieszkam, a przecie zawsze mnie do wsi ciągnie... ale co tam, już mi pola kawalka nie oglądać, chyba raz do roku na świętego Bonifacego w Czerniakowie. Oj, popłakałyśmy się, popłakały obie, ja znowuż samowarek nastawilam i powiadam tak: moja panienczko kochana, moja panno Zofio, bo powiedziała mi jak jęj na imię, rychtyk jak i mojej córce—Bóg nad sierotami, niech się panienka ogarnie, pójdziemy do Fary do Pana Jezusa, wysłuchamy obie mszy świętej, pomodlimy się. Ona z wielką chęcią. Poszłyśmy, akuratnie zaraz się msza zaczęła... Ona tedy panienka wyszła jakoś raźniejsza i zaraz się rwie obowiązku szukać. Ja mówię, niech sobie panienka odpocznie, rozpatrzy się... „Nie, zaraz“, powiada. Pilno jęj było, sierotce, do obowiązku iść. „Moja pani, powiada, musimy się przewidzieć gdzie taki kantor jest, co dla gubernantków obowiązki stręczy“. Ja sama nie wiedzia-

łam, ale mam znajomą sklepikarkę na Zapiecku, bardzo przebiegła kobieta, spekulantna i codzień „Kuryera“ czyta. Poszłam zaraz do niej, powiadam co jest, a ona mi z miejsca powiada: tu kantor, tu kantor, ale każe iść na Krakowskie Przedmieście, bo tam podobno największy. Muie sług do magła nalazło dość, nie mogłam z panienką sama iść, ale kazałam stróżowemu chłopcu, żeby zaprowadził i przyprowadził, bo w Warszawie gorzej niż w lesie, dla takiego, co miasta nie zna. Poszła. Może za godzinę wraca wesół, cieszy się, powiada: „moja złota pani Pętlicka, bo mnie Pętlicka na przezwisko, a po mężu Wincentowa, moja pani Pętlicka, Pan Bóg nas wysłuchał, mam miejsce!

— Odrazu?

— Odrazu, powiadam państwu, godzinki nie zabawiło. Powiada: „mam miejsce za gubernantkę do dwojga dzieci, na wieś. W kantorze mówili, że państwo bardzo bogate i znaczne“.

— Tu w Warszawie?...

— Żeby w Warszawie, tobym choć kiedy niekiedy zobaczyła tę panienkę, bo przyznam się państwu tak mi oto do niej serce przylgnęło, jak do rodzzonego dziecka, otęsknić się nie mogę. Chciałam namawiać, żeby pozostała, że może się jeszcze co trafi, ale nie wypadało nastawać, możeby później żal miała. Podrugie i nie posłuchałaby pewnie, bo zaraz tego samego dnia pojechała, choć bardzo pro-

siłam, żeby została na noc, żeby choć odpoczęła trochę.

— Nie wie pani dokąd pojechała? — spytał pan Józef.

— A no, pocztą pojechała, sztankielerką, czy jak się tam zowie, niby tą co do Brześcia odjeżdża.

— Do Brześcia?!

— Nie do samego Brześcia, ale w tamtą stronę, podobno w Łukowie, czy w Białej miała wysiąść, a potem jeszcze w bok parę mil. Dość, że odjechała wieczorem, sama ją odprowadziłam na pocztę. Dobra, kochana panienka, pokochałam ją jak rodzone dziecko! I oto pamiątkę po niej mam. Dziękowała mi za nocleg, jakby Bóg wie za co... i powiada tak: „Moja pani Pętlicka, za tę przysługę, coś mi wyświadczyła, za twoje dobre serce nie śmiałabym ci ofiarować pieniędzy.” Małom nie wybuchnęła, bo jakże, proszę pani! ale ona nie dała mi przemówić i powiada, że „serce można tylko sercem odplacić,” jak mi Bóg miły tak powiedziała — a zaś mówi: na pamiątkę naszej znajomości przyjmijcie — powiada — książeczkę do nabożeństwa” i położyła paczuszkę na komodzie. Ja nie patrzyłam, bo to i żal mnie zdjął i już naprawdę był czas — dopiero za powrotem spoglądam, a tu książka nowiusienka, śliczności! i jakby dla mnie zrobiona, bo litery wielkie, a ja na oczy nie bardzo. Będę się codzień modliła, żeby Pan Bóg nad tą dobrą panienczką...

— Więc pani nie wiadomo dokładnie dokąd pojechała?

— Mówiła jak się owa wieś zowie, ale co prawda już przepomniałam.

— Szkoda...

— E nie, poczekawszy z tydzień będę wiedziała.

— Zkąd?

— Obiecała, że do mnie napisze.

— Czyby pani nie była tak grzeczna po otrzymaniu listu...

— Dać państwu znać? Dlaczego nie!

— Do téj pani, do mojej siostry — rzekł Kamiński i wymienił adres.

— Owszem, proszę pana z największą chęcią, zaraz, abym tylko odebrała.

— Dziękujemy pani bardzo za objaśnienie, bardzo dziękujemy!

— Nie ma za co... Niech Pan Bóg prowadzi... poświęcę państwu, bo tu u nas w sieni ciemno, jak w piwnicy. Niby się to tli jakiś knotek, ale Boże zmiłuj się, nasz gospodarz to tylko do komornego podnoszenia pierwszy, ale żeby choć piec wylepić, goździk w ścianę wbić!... Dobranoc państwu!... Ostrożnie po schodkach. Ja powiadam zawsze, że dopiero jak on sam nogę złamie, to każe te schodki zreperować... Dobranoc!

Pani Władysława z bratem wsiadła w dorożkę i po upływie kwadransa oboje siedzieli przy stole

w pokoju przyległym do magazynu. Rozmawiali z sobą to o tém, to o owém, nareszcie odezwał się pan Józef.

— Szczególna rzecz jednak, jakie ta Zosia ma szczęście do ludzi, ta maglarka naprzykład...

— O! w tej sferze bardzo często znaleźć można serca bardzo dobre.

— Przecież ty nie należysz do tej sfery, a jednak zainteresowałaś się Zosią także, chciałaś ją zabrać do siebie.

Po ładnie zarysowanych ustach pani Władysławy przemknął uśmiech przelotny.

— Ja mój Józiu — rzekła — jestem przede wszystkim kobieta praktyczna.

— A cóż ma wspólnego praktyczność z losem Zosi?

— Hm!... zobaczylibyśmy to później.

— Nie rozumiem cię, Władziu!

— Tyleś mi o tej Zosi naopowiadał, że przyszłam bardzo łatwo do wniosku, że jesteś nią zajęty...

— Ja!?

— Ty, mój bracie.

— Co mówisz?

— Dla mnie nie ma w tém nic a nic dziwnego.

— Czyż ja się mogę kim zająć? Czy mógłbym się ożenić?

— Mojem zdaniem powinienesz koniecznie.

— A dlaczegoż ty za męża wyjść nie chcesz?

— Bo mi samęj lepiej. Mam pracę, niezależność,

syna odchowanego i dam sobie radę na świecie, ty zaś z dwojgiem małych dzieci nie możesz się obejść bez pomocy kobiecój.

— Przecież Elżbietka!...

— Czyż tobie się zdaje, że ona potrafi dzieci wychować? Nie mój kochany, pod tym względem mylisz się. Nie zapieraj, że owa Zosia ci się podobała, bo ja to widzę. Nie mów mi również o tём, że nie ożeniłbyś się przez pamięć o pierwszej żonie. Wiem o tём, żeś ją kochał, to prawda, ale nie ma jej już. Czas zaciera bolesne rany w sercu, a ty przecież jesteś jeszcze młody.

— I siwy!

— Do twarzy ci z tą siwizną, mój Józiu... Zre-szta, o co się spierać. Nie ożenisz się dziś, to się ożenisz za rok. To nie uchybi pamięci zmarłej. Bardziej uchybiałoby gdybyś żył Bóg wie jak i może wszedł na złe drogi, zaniedbał dzieci. Takie jest przynajmniej moje przekonanie. Mógłby kto zarzuć Zosi, że jest biedna, ale ty biedny nie jesteś i możesz pracować. Panienska z zacnej rodziny, z dobremi zasadami, mogłaby być dla ciebie bardzo odpowiednią towarzyszką życia—naturalnie gdybyś ją, poznawszy bliżej, pokochał.

Pan Józef nie przerywał, siostra mówiła dalej:

— Otóż dla tego chciałam wziąć Zosię do siebie. Przez jakiś rok, lub dłużej, nauczyłaby się pożytecznego zatrudnienia, a ta umiejętność kobiecie

zawsze się przyda. Towarzystwo moje nie wyszło by jęj na złe, a ty, Józiu, znalazłbyś sposobność do bliższego jęj poznania i zawiązania tęg nitki serdecznęj, któraby was połączyła na zawsze. Takie były moje plany... niestety, nie udaly się.

— Nie udaly się...—powtórzył pan Józef obojętnie na pozór, lecz pani Władysławie zdawało się, że słowom brata towarzyszyło ciche, bardzo ciche westchnienie.

III.

Pannie Zofii sprzyjało osobliwsze szczęście.

Odrazu, przyszedłszy do kantoru, znalazła posadę i to stosunkowo dość korzystną. Przyjęła ją też bez wahania i, jak wiemy, pomimo próśb i perswazyi gadatliwój, ale bardzo zacnój Pętlickiej, pojechała zaraz, ażeby objąć obowiązki.

Los rzucił ją na Podlasie, do ludzi uchodzących za bardzo zamożnych, prowadzących dom wystawnie, co nawet wyglądało dość rażąco na tle ogólnej biedy i przygnębienia.

Państwo Kramarzewscy niedawno mieszkali w Lipowie. Nabyli majątek ten przed pięcioma laty i mieli się zaraz sprowadzić, ale odnowienie i wyporządzenie rezydencyi zajęło sporo czasu, a potem przyszły chwile burzliwe, niebezpieczne, uznali więc, że lepiej przepędzić je spokojnie wśród murów miej-

skich. Dopiero gdy burza przeszła, gdy uciszyło się wszystko i powoli do normalnego trybu powracać zaczęło, zjechali do Lipowa z całym dworem, z dziećmi, kuzynką, liczną służbą—i wystawném życiem, elegancją powozów i strojów wprawiali w podziw sąsiadów, którym każdy grosz z nieopisaną trudnością przychodził. Każdy dzień pozostawania pod własnym dachem wydawał się jakby darowanym.

Dokoła, w lasach, które naówczas jedyną deską ocalenia stanowiły, rozlegał się loskot siekier... stare dęby i sosny padały pod toporami spekulantów; dokoła coraz widzieć było można szeregi kolonistów-niemców dążących do objęcia siedzib za bezcen kupionych. Dokoła było tęskno i smutno—a Lipów wyglądał niby oaza na pustyni.

Tam, jeżeli narzekano, to chyba tylko na nudy, jeżeli martwiono się, to z powodu zabawy do skutku niedoszlęj, jeżeli kłopotano się, to tylko z przyczyny obiadu, który mógł się kucharzowi nie udać.

Bo o cóżby innego? Żaden z sąsiadów stu rubli wówczas nie mógłby dostać, bo nawet żydzi lichwiarze zamknęli swoje kasy a do Lipowa grubszy „kupcy“ zjeżdżali się, jak na jarmark, z propozycjami interesów różnych, z gotowością udzielania szerokiego kredytu.

Pan Kramarzewski gospodarzem z zawodu nie był. Kupił Lipów dla rezydencyi, dla stanowiska,

może dla ambicyi poniekąd, gdyż się o mandat rady do Towarzystwa kredytowego ubiegał.

Historya tego pana da się opowiedzieć w kilku słowach.

Ojciec jego był urzędnikiem, podobno na komo-
rze, przez całe życie skąpił, oszczędzał i zebrał spo-
ry kapitał; syna kierować chciał na drogę handlo-
wą, gdyż, jak twierdził, jest to jedyny sposób doj-
ścia do majątku.

Śmierć pokrzyżowała te plany. Stary Krama-
rzewski, powróciwszy pewnego wieczoru z resursy,
gdzie mu karta szła świetnie, zmarł na aneuryzm
i spoczął w rodzinnym grobie na Powązkach,
a uzbierane przez niego kapitały w całości przeszły
na własność jedynego syna, Leona.

Młody człowiek stratę ojca oplakał, ale że miał
się czém pocieszyć, więc lzy mu oschły prędko i roz-
począł życie wygodne, spokojne, bez troski. Uży-
wał go też, nie żałując sobie na przyjemności wszel-
kie, mieszkał elegancko, jadał wykwitnie, ubierał
się u pierwszych krawców, protegował niezmiernie
balet; ale trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że
czynił wszystko z kredką w rękę i chociaż wyczer-
pywał procenta, kapitału jednak ani o jeden grosz
nie uszczuplił.

Nie śpieszył się też z ożenieniem, twierdząc, że
mu samemu jest bardzo dobrze na świecie i że złotą

wolność poświęci jedynie tylko dla osoby, któraby łączyła w sobie zalety majątkowe z wielką dystynkeyą i arystokratycznem pochodzeniem.

Na jednym balu w resursie spotkał taki właśnie ideał. Pochodzenie i dystynkeya nie ulegały żadnej wątpliwości, co do stanu majątkowego informacye były mniej jasne, lecz powierzchowność przeważyła szalę wahania. Na owym balu pan Leon zrobił znajomość z panią baronową Entz, mającą dwie córki. Obie odznaczały się oryginalną pięknoscia, przy matowo białej cerze posiadały pyszne rude warkoczki i oczy koloru fal morskich.

Pan Leon uganiał się za oryginalnością, więc te niezwykle piękności, a raczej jedna z nich, młodsza, zrobiła na nim wrażenie. Po kilku wizytach oświadczył się o rękę młodszój, Anny. Starsza baronówna, Franciszka, skrzywiła się na to, ale małżeństwo przyszło do skutku i odbyło się według wszelkich form, z wykwintnem śniadaniem na sto osób, z podróżą poślubną na południe...

Po kilku miesiącach pan Leon powrócił do kraju, zupełnie podbity przez piękną i dystygowaną małżonkę, myślący jej myślami, słuchający rozkazów z całą uległością. O posagu nie było już mowy, zastąpiła go nadzieja jakiejś wielkiej sukcesyi, która, po czyjemś najdłuższem życiu, spaść miała na mamę Entz.

Pani Anna zauważyła, że nie przystoi, aby jej

maż prowadził życie beczynne, że powinien kupić majątek ziemski z piękną rezydencją i postarać się o jakiś urząd honorowy. Należało to według jej zdania, zrobić dla dobra dzieci i dla ich przyszłości, która rzecz naturalna, powinna być przecież wyjątkowo świetna.

Dzieci tych było dwoje, obie dziewczynki, starsza Leonia (na cześć ojca otrzymała to imię), młodsza Wilhelmina, nazwana tak dla uczczenia pamięci jakiegoś znakomitego przodka Entzów, który jak tradycya niesie, chadzał ongi z Krzyżakami pogańską Litwę nawracać.

Zaczął tedy pan Leon poszukiwać majątku, aż nareszcie, po długim jeźdzeniu i szukaniu, zdecydował się na Lipów. Zaraz po nabyciu tej fortuny przysłano z Warszawy partyę robotników, w celu odrestaurowania i odświeżenia starego pałacu, uprządkowania i upiększenia parku.

Ku wielkiemu niezadowoleniu pani Anny, a zwłaszcza jej mamy, zaszły w kraju wypadki, wobec których przezorność nie kazała porzucać murów Warszawy. Stan taki trwał blisko przez dwa lata. W tym czasie, pani baronowa mama przeniosła się do lepszego życia, pozostawiwszy zięciowi, zamiast sukcesyi, starszą swoją córkę, Franciszkę, która oprócz siostry nie miała już nikogo na świecie.

Pani Leonowa, wybierając się na wieś, postanowiła dom otworzyć, gości przyjmować i uszczęśliwić

którego z młodych sąsiadów białą rączką swój uko-
chanęj siostrzyczki.

Niedługo po przyjeździe i zainstalowaniu się
w pałacu, upatrzyła odpowiedniego kandydata i po-
stanowiła zarzucić na niego siatkę, z dystynkcyą,
wdziękiem i dyplomacyą. Naturalnie panna Fran-
ciszka musiała być wtajemniczona w te plany
i zrećznie zaczęła grać rolę zakochanęj, że jednak
tego rodzaju eksperymenta nie zawsze uchodzą bez-
karnie, więc ani się spostrzegła jak uczucie już nie-
udawane, ale prawdziwe, wkradło się w jęj serce,
jak ją pochłonęło całą, pozbawiło snu i spokoju.

* * *

Tak stały rzeczy w Lipowie w chwili przyby-
cia Zosi.

Pani Anna, ujrzawszy przed sobą młodziutką
ładną i sympatyczną dziewczeczkę, nie ukrywała swe-
go zadowolenia.

Wyznała przed mężem, że guwernantka jest zu-
pełnie dobra i że dziewczynki mogą od nięj skorzy-
stać wiele.

— Bo proszę cię Leonie — mówiła — wszystko
za nią przemawia. Nie wiem, gdzie ją uczono po-
francuzku, ale akcent ma wyborny, bez zarzutu —
gra, słyszałeś jak wczoraj grała?

— Słyszałem.

— I cóż?

— A no, nie źle... wcale nie źle — odrzekł wahając się — nie wiem jak ty uważasz...

— Ja uważam, że gra świetnie. To, proszę, cię, artystka! Była onieśmielona, ale jakie dotknięcie, jaka biegłość.

— Istotnie masz słuszną Andziu, zem też tego odrazu nie zauważył... to szczególne!

— Dziś po obiedzie poproszę ją, żeby co zagrała, przekonasz się.

— Skoro tak powiadasz, to już jestem przekonany, ale posłucham, posłucham z przyjemnością.

— Dzieci bardzo ją pokochały.

— I to dobrze.

— Powiadam ci, że odrazu przyłgnęły do niej jak przylepki, jakoś umiała się im podobać.

— Z tego uważam, że jesteś zadowolona z panny Zofii, Andziu, a skoro ty jesteś zadowolona...

— No tak, dla mnie ma ona jeszcze dwie ważne zalety, przede wszystkim jest dopiero w pierwszym obowiązku.

— A cóż to znaczy?

— Bardzo wiele. Grymasów nie ma, poprzestanie na tém, co jej dadzą i jest zadowolona.

— Może być!...

— Powtóre, a co w moich oczach znaczy najwięcej, pochodzi z rodziny obywatelskiej.

— No...

— Mój Leonie, przeczuwam, że chcesz się wyrwać z jakąś uwagą, a ja tego nie lubię... twoje demagogiczne przekonania schowaj gdzie pod ziemię i w mojej obecności nie popisuj się nimi. Obecnie zwłaszcza, mógłbyś ich nie pokazywać nikomu.

— Przecież nie nie mówię...

— Ale myślisz... to na jedno wychodzi!

— Nie, Andziu!

— Nie protestuj, proszę, znam cię dobrze. Wiem, że udajesz białego, ale w gruncie rzeczy jesteś czerwony, a ja nie chcę, żebyś takim był.

— Przecież gdybym był taki, jak mówisz, nie ożeniłbym się z tobą .. jesteś arystokratka.

— O, to nie dowód, mój panie. Wszyscy jesteście jednakowi, boście wszyscy mężczyźni. Potomek Bayarda zajrzy w oczy lada chłopce, byle tylko była piękna — a najczerwieńszy demagog padnie do nóg księżniczce... żeby go tylko chciała...

— Ależ, droga Andziu...

— Oh! nie przerywaj, o to nie ma sporu, pod tym względem nie może być dwóch zdań.

Gdy tak państwo Leonowie rozmawiali ze sobą. Zosia ukończywszy lekye, zamknęła się w swym pokoiku, aby odpocząć trochę i zanim poproszą do

stołu, chociaż część korespondencyi załatwić. Nie wiele miała do pisania, tylko trzy listy, a właściwie dwa, gdyż trzeci do poczciwój Pętlickiej w rachuchunek nie wchodził i był już napisany. Zosia, wywiązując się z przyrzeczenia, danego swój przygodnój opiekunce, doniosła jój, że zajęchała na miejsce zdrowo i że jest z posady zadowolona. Doniosła poczciwój babinie, że ją ma zawsze w pamięci, i że przy pierwszój bytności w Warszawie, nie omieszka jój odwiedzić.

Inna rzecz z listem do matki, do tój dobrój, strapionej i cierpiaczej...

W tём piśmie chciałaby Zosia wypowiedzieć wszystko, zdać sprawę z każdego dnia, z każdój godziny niemal. Wypowiadać się ze swój tęsknoty do najbliższych i najdroższych sercu, ze wszystkich myśli swoich, rojeń i marzeń. Pragnęłaby opisać najbardziej szczegółowo ludzi, wśród których się znajduje, dzieci, które uczy, zwyczaje domu, w którym przebywa.

Wie ona, że gdyby mogła jakim cudem znaleźć się na chwilę przynajmniej z matką, to pytaniom nie byłoby końca, najmniejszy szczegół pobytu wśród obcych musiałby być opowiedziany.

Siadła przy stoliku i puściła drobną rączkę po papierze. Szeregi małych, zgrabnych literek, niby dwa sznureczki równe, snują się z pod jój paluszków.

Już zapisała kartkę jedną, drugą i trzecią, już arkusik się skończył, a tu jeszcze tyle do powiedze-

nia zostało! Bierze drugi arkusik i ten nie wystarcza, robi więc przypisek i jeszcze odsyłacz. Boć nie tylko o sobie donieść, ale i o kochanych zapytać w liście potrzeba: Co robi mama? co siostra, jak dzień przepędzają, czy zdrowe są, czy myślą kiedy o swojej Zosi, czy rozmawiają o niej?

Dziwią się ludzie długim, drobiazgowym listom kobiecym, wysmiewają obfitość przypisków i dodatków, ale naprawdę nie w tym śmiesznego nie masz. Córka przed matką chciałaby duszę otworzyć, więc też pisze i pisze, bo wie, że dla matki najdrobniejsze szczegóły obojętne nie będą i że zostaną z rozrzewnieniem przyjęte.

Do pisania trzeciego listu zabrała się Zosia dopiero, gdy już w całym pałacu lipowskim światła zagasły, a noc rozpostarła nad okolicą swój wielki płaszczyk gwiazdzisty.

Cicho jest, śpią wszyscy, tylko chwilami szczekanie psów we wsi, lub ostrzejszy poświst wiatru, przerywa spokój i milczenie nocy.

Do ułożenia takiego listu, jak Zosia ma skreślić, potrzeba wyjątkowego spokoju, bo list to niezwykle i do napisania nie łatwy. Zosia pragnęłaby wyrazić w nim uczucia swoje, określić tęsknotę, ale się musi w wyrażeniach miarkować... wyrazy najogledniej dobierać, gdyż każdy silniejszy okrzyk żalu albo smutku mógłby przyczynić cierpień temu, do kogo list jest pisany.

Czyż on tam, zdala od swoich, nie rozzala się i nie tęskni? Czyż można rozjątrzać ranę, jaką ma w sercu... przeciwnie, raczej odwagi, otuchy i wytrwałości dodać mu należy. Powinien list przyjść do niego, niby duch pocieszyciel z promienną gwiazdą u czoła, niby dobra wróżka z gojącym balsamem na rany, niby zwiastun lepszej doli... Nie łatwe to zadanie pocieszać, gdy we własnym sercu żal i smutek nurtuje, koić tęsknotę, będąc samą stęsknioną, mówić o nadziei, gdy jej się w duszy własnej nie ma. I jeszcze w jaki sposób mówić? jakich wyrazów używać? Czy list dojdzie do niego bezpośrednio, czy też pierwiej obce oczy na nim spoczna?

Te względy utrudniały Zosi zadanie, to też litery i wyrazy nie wybiegały z pod jej paluszków tak szybko, jak w liście do matki, lecz kreślone były powoli, z rozwagą. Same półsłówka, domyślniki, przenośnie... A jakżeby pragnęła zerwać te pęta, puścić myśli swobodnie; niechby pofrunęły jak ptaszęta przez pola szerokie, przez rzeki, jeziora i stepy, niechby na skrzydłach swoich tam do krainy lodów zaniosły ciepłe technienie miłości.

Jakżeż daleko, daleko pójdiesz kartko biała, posłanniczko kochającej i stęsknionej! Jak on cię serdecznie do ust będzie przyciskał!

Już było bardzo późno, gdy Zosia skończyła pisanie. Z położonych niedaleko pałacu zabudowań

gospodarskich, słybać było pianie kogutów, a w niektórych chatach we wsi ogień palono.

Zosia spojrzała na zegarek, była już blisko czwarta rano. Zaledwie kilka godzin zostało na sen, gdyż o dziewiątej rozpoczynały się zwykle lekcye z Leonka i Wilą.

Powiedzieliśmy, że pan Leon głównie dla pięknej rezydencyi kupił Lipów i istotnie pod tym względem zadowolnił nawet dość wybredną w gustach swoją małżonkę.

Duży, murowany dwór, który w okolicy powszechnie pałacem nazywano, miał kilkanaście pokoi, a w ich liczbie ładną salę o czterech oknach, z drzwiami, wychodzącemi na taras, z którego po kilkunastu niskich, szerokich stopniach schodziło się do parku.

Od frontu przed pałacem ciągnął się obszerny dziedziniec, otoczony malowniczymi grupami drzew. Z po za lip rozłożystych strzelały wysokie, włoskie topole, a biała kora brzoź ładnie odbijała od ciemnej, prawie czarnej zieleni świerków.

Piękny był też i park w Lipowie. Przerzynała go wązka i kręta rzeczulka, po przez którą rzucono kilka mostków, w grupach starych drzew chowały się altanki, nęcące chłodem i ciszą podczas skwarnych dni letnich.

Folwark znajdował się niedaleko pałacu, nie tak wszakże znów blisko, żeby prozą swęj powszednio-

ści miał razić estetyczne gusta właścicielki. Lipy i topole zasłaniały widok obór i stodół, domagających się gwałtem podpór i reperacyi.

Dopominał się o to rzadca, niemiec, podobno znakomity agronom, sprowadzony z Prus za drogie pieniądze, lecz pan Leon z nakładami nie śpieszył i nawet mówić o tych kwestyach nie lubił.

Upłynęło już kilka tygodni od przybycia Zosi do Lipowa, a stosunek pomiędzy nią a stałemi mieszkańcami pałacu ułożył się jaknajlepij. Małomówna, cicha, z gorliwością obowiązkom swoim oddana nauczycielka, całe dni przepędzała z dziećmi, nie narzucając „państwu“ swego towarzystwa. Przeciwnie, trzymała się zawsze z daleka, wchodziła do salonu wtenczas tylko gdy ją proszono, mówiła, jeśli ją pytano.

Takiem postępowaniem zjednała sobie sympatyę całego domu, prócz panny baronówny, która traktowała ją wprawdzie bardzo grzecznie, lecz ze źle ukrywaną niechęcią.

Pewnego dnia, a było to w jakieś święto, panna Franciszka wstała później niż zwykle i bardzo długo, zamknięta w swoim pokoju, siedziała przed toaletą.

Nie było to bez przyczyny. Tego dnia w Lipowie spodziewano się gości, a w ich liczbie miał się znajdować i ten, którego baronówna pragnęła uszczęśliwić swoją rączką i sercem. Udając z początku

zajęcie się, kokietując go trochę dla zabawki, a więc z wyrachowania, panna Entz ani się spostrzegła, kiedy serce jej zaczęło się dopominać o swoje prawa, a zaimprovizowana komedyjka zamieniła się w istotne, nieklamane uczucie, tém silniejsze, że już i spóźnione trochę.

Panna Franciszka, chociaż wyglądała znacznie młodziej, liczyła już jednak trzydzieści wiosen z górą, a nieubłagane, bezczelne w prawdomówności swojej lustro, szeptało ciągle, że na liliowych jej skroniach rysują się już drobnutki i ledwie, ledwie dostrzegalne zmarszczki. To odkrycie uderzyło baronównę jak piorun. Przyznała zupełną słuszość młodszej siostrze, która dowodziła, że czas już o ołtarzu pomyśleć i zaczęła kokietować upatrzonogo kandydata.

Ów kandydat, którego pierwsza bytność w domu państwa Leonów, wywołana była zrzęcznie koniecznością jakiejś agronomicznej narady, do której pan Leon kilku sąsiadów zawezwał, później zaproszony przez panią Annę, złożył wizytę już jako gość i od czasu do czasu bywał w Lipowie, ani się domyślając, że piękne oczy panny Franciszki pragną mu dużo, dużo mową palących źrenic powiedzieć.

Dotychczas baronówna nie była nikim na seryo zajęta. Kiedy bywała w towarzystwach, na balach, nie zdarzyło jej się spotkać człowieka, któryby zrobił na niej wrażenie.

Stało się to dopiero w Lipowie.

Baronównę zajął bardzo kandydat przez panią Leonową wynaleziony. W oczach tój damy miał on poważne kwalifikacye, jako właściciel dużej fortuny, a choć majątek jego wskutek wiadomych przejść był zniszczony, chociaż ciężary znaczne spadły na niego, było jednak do przewidzenia, że energiczny gospodarz przetrwa złe czasy i wyjdzie z nich cało.

To wszystko wyjaśniła siostrze pani Leonowa, a zarazem usiłowała ją przekonać, że wdowcy bywają zazwyczaj lepszymi mężami aniżeli kawalero-wie, a dzieci po pierwszój żonie mogą się przywiązać do macochy tak dobrze, jak do redzonėj matki.

Panna Franciszka wysłuchiwała bardzo uważnie tych racyj i zaczęła obserwować kandydata z innego stanowiska.

Po pierwszój wizycie uczuła do niego żywą sympatyę, po trzeciój już za nim tęskniła, po szóstój spostrzegła, że go kocha i że życie bez niego nie ma dla nięj żadnėj wartości.

Młoda jego twarz przy zbielałych przedwcześnie włosach wydawała jēj się ideałem męskiěj urody, a opowiadania, jakie o nim krążyły, jego czyny, pełne poświęceń i tragiczne wypadki, które przeżył, otaczały go w oczach baronównėj jakąś świetlaną, pełną uroku aureolą.

Dziś miał on właśnie przyjechać. Cóż więc dziwnego, że baronówna tak długo siedziała przy toalecie? Układała najmisterniej swoje grube, ognistej barwy warkocze, podkreślała oczy, posypywała twarz leciuchną warstwą pudru. Chciała być piękną i cel ten osiągnęła—a gdy weszła do salonu w czarnej sukni, uwydatniającej jej kształtną figurę, pani Leonowa spojrzawszy na nią, zawołała:

— Jakaś ty dziś ładna, moja Franiu! Nieprawdaż mężu?

Pan mąż spojrzał, pomyślał chwilkę i rzekł:

— Siostra zawsze jest piękna, dziś wszakże... przewyższyła samą siebie.

Na twarzy baronówny ukazał się lekki rumieniec zadowolenia.

Goście zaczęli się zjeżdżać wieczorem. Przy oświetleniu sztuczném panna Franciszka wyglądała jeszcze lepiej. Była też wesola i ożywiona. Rozmawiała z nim prawie ciągle, niewiele zważając na resztę towarzystwa.

Zosi nie było w salonie. Wolala siedzieć w swoim pokoiku i nie widzieć obcych twarzy, zupełnie obojętnych dla niej, lecz pani Anna, której szło o popisanie się muzykalnością nauczycielki swych córek, poprosiła ją, aby przyszła do towarzystwa.

Gdy ukazała się w salonie, ze spuszczonej oczyma, onieśmielona nieco na widok liczniejszego

zebrania, ten, z którym panna Franciszka rozmawiała z takim ożywieniem, zerwał się nagle z krzesła:

— Czy mnie wzrok myli?... proszę pani, kto jest ta młoda osoba?—zapytał.

— Która? Ach ta panienka co weszła w tę chwilę?

— Tak!

— Jest to nauczycielka dzieci Leonów. Mówiono mi jej nazwisko, lecz wyszło mi już z pamięci... imię jej podobno Zofia.

Pan Józef Kamiński, gdyż on to właśnie był, nie słuchał dalszych objaśnień. Szybkim krokiem zbliżył się do Zosi, ujął jej drobne rączki i z niezmiernym zajęciem zarzucał ją gradem pytań.

— Państwo się znacie?—zapytała zdumiona pani Leonowa.

— Ależ znamy się doskonale, od czasu kiedy panna Zofia była jeszcze dzieckiem.

Prawie przez cały wieczór pan Józef z Zosią rozmawiał i bardzo wymownie opowiedział towarzystwu nieszczęścia, jakie jedne po drugich rodzinę jej dotykały, mówił o ojcu, o bracie jej, tak, że uwaga wszystkich gości zwróconą została na skromną, cichą nauczycielkę, której obecności w innym razie możeby nawet nie zauważono w salonie.

Panna Franciszka zbladła. Przeczuwając w Zosi niebezpieczną rywalkę, rzuciła na nią coraz wej-

rzenia, z których nic dobrego nie było można wróżyć. W oczach baronówny migotały płomienie.— Zosia nie przeczuwała, że od tej chwili ma śmiertelnego wroga. Biedna dziewczyna, sądziła, że w tym domu spędzi przynajmniej kilka lat w cichej, uczciwej pracy, że zbierze trochę pieniędzy dla starzej matki i dla siostry.

Nie przeczuwała, że te marzenia bardzo pędko zostaną rozwiane—że znowuż będzie musiała znaleźć się na rozdrożu, bez dachu, bez nadziei lepszego jutra...

IV.

Od onego wieczoru zaczęły się dla Zosi dni smutne. Rozmaite drobne udręczenia i przykrości spotykały ją coraz częściej... Złośliwe uwagi, kołące słówka spadały na nią niewiadomo z jakiego powodu... Dziewczyna gubiła się w domysłach, czém się narazić mogła, pilnowała się na każdym kroku. Lekcyę odbywała jeszcze gorliwiej niż przedtém, z dziećmi, powierzonemi jój pieczy, przebywała ciągle, nie odstępując ani na chwilę, do salonu nie weszła nigdy, jeśli jój wyraźnie nie zaproszono. Stała się bardziej jeszcze małomówną i cichą.

Pomimo tych starań i podwojonej gorliwości w wykonywaniu obowiązków, pani Leonowa stała się dla Zosi bardzo chłodną, a siostra jój nieznośną.

Na domiar nieszczęścia, pan Kamiński coraz czę-

ścięj przyjeżdżał i zawsze się o Zosię ze szczególną troskliwością dopytywał. Panie potrafiły ją w takich razach zręcznie usuwać i zwykle podczas obecności Kamińskiego w Lipowie wysyłano ją z dziećmi na przejażdżkę, albo też kazano odbywać jakieś nadprogramowe lekcye.

Zosia poddawała się woli pań bez oporu, przyjmując z łagodnym uśmiechem na ustach wszystkie zlecenia, jakie jej dawano. Przyczyny oziębienia się stosunków nie mogła odgadnąć odrazu. Nie wiedziała o tém, że baronówna na młodego wdowca ma oko, nie wiedziała i tego, że ów wdowiec na nią samą, biedną nauczycielkę, spogląda. Zmiana postępowania, której przykrych skutków nieustannie doznawała, była dla niej czémś niezrozumiałem, niewytłómaczoném zupełnie.

Postanowiła znosić przykrości cierpliwie, dopóki będzie można; nie chciała bowiem porzucać posady względnie korzystnej. Zosia rozumowała sobie, że w Lipowie ma chleb, gorzki coprawda, ale chleb. Gdy obowiązek w Lipowie porzuci, gdzież pójdzie? dokąd się uda?

Do małych swoich uczennic przywiązała się szczerze i potrafiła wzbudzić dla siebie sympatyę w ich serduszkach. Dziewczątka pokochały swoją cichą, dobrą, łagodną nauczycielkę, co bardziej jeszcze rozdrażniało baronównę.

Panna Franciszka pragnęła, aby uczynić Zosię

nienawistną dla całego domu, tymczasem działo się wprost przeciwnie; nawet pani Leonowa, chociaż na prośby i żądanie siostry, okazywała Zosi niechęć, w gruncie rzeczy jednak była przekonana, że nie ma do tego zasady. Pan Leon nie rozumiał dobrze o co chodzi. Słyszał od panny Franciszki, że Zosia dzieci zaniedbuje, a wszyscy znajomi nie mogli się nachwalić, jak szybko dziewczynki postępują w naukach. Radby prosić żony, żeby mu wyjaśniła tę sprzeczność, ale odkładał to z dnia na dzień, obawiając się czy nie wzbudzi jakich podejrzeń, lub nie wywoła niezadowolenia—wolał więc czekać dopóki kwestya nie wyjaśni się sama przez się.

Panna Franciszka zauważyła, że Zosia za często, jak na guwernantkę, pisuje listy i za często korespondencye odbiera.

— Szczególna rzecz!—mówiła raz do siostry—my przecież mamy tak rozległe stosunki, a nie prowadzimy takiej korespondencyi jak ta twoja... panna od dzieci. Ile razy posyła się na pocztę, zawsze są jakieś listy i bileciki do panny Zofii i od panny Zofii. Będąc na twojem miejscu nie pozwoliłabym na to.

— Nie mam racyi, ani prawa zabronić jej tego.

— Dziwię się bardzo! Jesteś przecież panią w tym domu, a ona jest w obowiązku, tak dobrze jak młodsza, szafarka i tym podobne istoty...

— Franiu!

— Dziwisz się? Co do mnie nie widzę najmniejszej różnicy... wolę nawet młodszą, niż tak zwaną guwernantkę, z młodszą albowiem nie potrzebuje jadać przy jednym stole, ani wdawać się z nią w konwersacyę.

— Panna Zofia jest tak małomówna...

— To jeszcze gorzej... to dowodzi, że jest fałszywa i obłudna, ale wracam do listów. Mogłabyś zwrócić jej uwagę, że za dużo czasu traci na przelewianie swych uczuć na papier.

— Robi to w godzinach wolnych.

— A wiem, wiem, nieraz po całych nocach bażgrze i niepotrzebnie światło wypala.

— Czyż jej mogę zabronić?

— Naturalnie, że możesz, bo na tém cierpi nauka twoich dzieci.

— A to jakim sposobem!

— Bardzo prostym... przesiaduje noce z piórem w ręku, więc do lekyi przychodzi niewyspana! zamiast uważać pilnie, drzemie...

— Bywam często podczas lekyi, ale nie zauważałam.

— To ja już spostrzegłam z dziesięć razy, spostrzegłam mimochodem, wypadkiem, bo przecież nie asystuję przy nauce. Zecheiěj tylko obserwować sama, moja Andziu, a przekonasz się jak o wszystkim sądzisz z pozoru! Biedne dziecko tęskni do mamy! Komedya! Najprzód panna Zofia nie jest dzie-

ekiem i niezawodnie liczy już dwadzieścia kilka wiosen, jeśli nie znacznie więcej...

— Ale zkad?!

— Powiadam ci... jej naiwność, skromność, to tylko gra, co prawda, doskonale wystudyowana... a co się dotyczy owych listów, to przysięgnę, że nie są pisane do mamy.

— Do kogoż by więc?

— Jestem przekonana, że kryje się w nich jakiś romansik.

— To być nie może!

— Jak ci się podoba, moja kochana, chcesz wierzyć—nie chcesz nie wierzyć! Ostatecznie nic mnie nie obchodzi jej romanse. Nie odezwałabym się wcale, gdyby mi nie szło o twoje dzieci. Łatwo wierność twoja może wyjść na złe. Osądź sama, bezstronnie... jaki masz powód do ufania osobie, której przeszłości nie znasz, dziewczynie szukającej kariery nie w zawodzie nauczycielskim lecz...

— Ależ!...

— Przepraszam cię, moja siostrzo, pozwól mi dokończyć. Zkądże dowiedziałaś się o istnieniu tej panny? jaką drogą znalazłaś ją?... przez kantor, prawda?

— No, tak.

— Otóż muszę ci powiedzieć, że panienska rzeczywiście uzdolniona, nieposzlakowanej opinii, pochodząca z dobrej rodziny, jeżeli chce znaleźć pra-

cę, nie potrzebuje szukać pośrednictwa kantorów, gdyż z chęcią wezmą ją do swoich dzieci znajomi w najbliższej okolicy, nawet ubiegać się o nią będą. Dlaczegoż jęj nikt nie wziął? Widocznie musiała być jakaś przyczyna.

Pani Leonowa zrobiła gest przeczący i chciała coś powiedzieć, ale siostra nie dała jęj przyjść do słowa.

— Czekajno, czekaj!—rzekła—niedługo skończę tę, przyznam ci się, bardzo niemilą dla mnie rozmowę, otworzę ci oczy, gdyż uważam to za swój obowiązek, a ty postąpisz znów tak, jak ci twój obowiązek dyktuje. Mieszkałyśmy dość długo w Warszawie, miałyśmy liczne znajomości, no i ostatecznie wiemy przecież, co się na świecie dzieje. Nie sekret, że każda z tych panien, które przez różne kantory ofiarują swoje usługi w charakterze nauczycielek domowych, najmniej myśli o uczeniu dzieci... Zwłaszcza, jeżeli która ma gładką buzię, a twoja panna Zofia posiada poniekąd ten przymiot, to głównym celem jęj jest zamążpójście, lub poprostu zrobienie karyery. Szukają też miejsc przeważnie w domach zamożnych i, rozwinąwszy zasób kokieteryi, łowią w sidła ludzi bogatych. Ileż razy zdarza się, że taka osoba, przybyła niewiadomo zkąd, robi los i zostaje panią w całym znaczeniu tego wyrazu... albo też, bo nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego, wchodzi do domu jak zły duch, wnosi niezgodę

między małżeństwo, zrywa związki rodzinne, rujnuje majątek...

— Dość już, proszę cię, dość! moja Franiu wszystko, co powiedziałaś, nie może się stosować do naszej nauczycielki.

— Chciałabym, żeby mogła słyszcć twoje słowa... służyłyby one jęj za wielki komplement, nie w tém znaczeniu, w jakim sądzisz... nie! ale przekonałaby się, że jest skończoną artystką w sztuce udawania.

— Franiu!

— Owszem, moja Andziu, wierz jęj, ufaj, łudz się skromnęm jęj spojrzeniem i minką pensyonarki, która tylko opuściła mury klasztorne... łudz się, łudz, a może prędzję, niż sądzisz ujrzysz u jęj stóp kogoś, co...

— Kogo? mów, proszę cię, otwarcie, bez zagadek i bez domyslników!... Czyś co widziała, dostrzegła?

— Cóżbym mogła dostrzedz?—odrzekła, naśladowując głos siostry—przecież to jeszcze dziecko niewinne, aniołek, jeżeli zaś mąż twój...

— Co! co!?

— Nic... alboż nie można patrzyć na aniołki? patrzyć i zachwycać się niemi? Co piękne, to piękne, a mężczyźni miewają podobno szczególne zamiłowanie do estetyki... Wszak prawda, kochana

siestro? Każdy z nich jest poniekąd artystą i zachwyca się pięknymi pannami.

Rzekłszy to panna Franciszka, pewna, że słowa jej zrobiły pożądany efekt, wyszła.

— Franiu! Franiu, wróć się!—wołała pani Leonowa.

Frania wszakże udala, że nie słyszy.

Pani Anna była niezmiernie wzburzona; zaczęła szybko chodzić po pokoju, stukając energicznie małemi obcasami, do głowy jej cisnęły się najrozmaitsze myśli i uczucia.

— Jakto?—myślała—Leon! ten Leon, który dotychczas był tak posłuszny i pokorny, który jej myślami myślał, jej życzenia spełniał, do jej woli we wszystkiem się stosował... ten Leon—nie to niepodobna, nie sposób... Wiary dać trudno... a przecież...

Podejrzenia zaczęły niepokoić panią Annę i przypominała sobie każdy gest, spojrzenie, każde słowo męża, wyrzeczone do Zosi i rozważała i rozpamiętywała.

Czyżby i on grał tak zręcznie komedię przywiązania i uległości bez granic?

Spojrzała przez okno. Właśnie w tej chwili pan Leon powracał z folwarku. Szedł spokojnie, powoli, z powagą, właściwą ojcu rodziny, obywatelowi kraju i człowiekowi o solidnym majątku... Palił cygaro z takim spokojem, jakby w myśli nie-

miał nic złego, jakby nie knuł czarnej, szkaradnej zdrady względem żony, względem kobiety, która wypełniać powinna dla niego cały świat.

Patrząc na niego, pani Anna pomyślała z oburzeniem, że nie masz na kuli ziemskiej istoty bardziej fałszywej, niż mężczyzna.

Pan Leon, ujrawszy żonę w oknie, uśmiechnął się do niej. Wydało jej się to ostatnim stopniem przewrotności i cynizmu. Podobnym obludnikiem może być tylko skończony łotr. Miała wielką ochotę powiedzié co myśli i zrobić mu awanturę, ale wstrzymała się do czasu.

Postanowiła koniecznie zdobyć jakiś dowód i dopiero na podstawie faktu rozpocząć atak.

Powstrzymała wybuch gniewu, uśmiechnęła się nawet, gdy wszedłszy, ucałował jej białą, wypieczoną rękę.

— Poczekaj!—rzekła w myśli—ty udajesz i ja też udawać potrafię.

— Moja Andziu—odezwał się pan Kramarzewski—przyszedłem cię uprzedzić, że za dwie godziny posyłam na pocztę, jeżeli więc będziesz miała jaką korespondencyę lub przesyłkę, to człowiek może zabrać.

— Dziękuję ci za twoją uprzejmość, nie mam żadnych listów do wysłania... ale *à propos*, ty jakoś bardzo często posyłasz na pocztę... przynajmniej od jakiegoś czasu.

— Posyłam jak zwykle, cztery razy na tydzień.

— Chyba ośm, albo dziesięć.

— Kiedy poczta tylko cztery razy przychodzi.

— Być może, ale od niejakiego czasu...

— Zmienili rozkład poczty na naszym trakcie? nie słyszałem o tém.

— Nie, tylko w naszym domu korespondencya zwiększyła się niepomiernie. Piszemy masę listów i liścików.

— Czy tak?

— Udajesz, że nie wiesz.

— Istotnie pierwsze słyszę... Wprawdzie moja korespondencya jest nieco większa niż dawniej.

— Wierzę bardzo, ale przecież nie załatwiasz jęj wyłącznie przez pocztę...

— Tak, czasem koresponduję przez posłańców umyślnych.

Pani roześmiała się gorzko.

— A czasem oczami!—rzekła.

Pan Leon wziął to za objaw dobrego humoru małżonki.

— Prawda—rzekł śmiejąc się—i to się praktykuje, zwłaszcza, gdy wypadnie siedzieć naprzeciw mojej, zawsze pięknej pani.

Pani Leonowa przeszła swego małżonka groźnym spojrzeniem; on zaś zmieszał się, nie wiedząc o co chodzi, lecz przewidując burzę.

— Uprzedzam pana—rzekła—że widzę wszystko, w pole się wyprowadzić nie dam i bynajmniej nie mam zamiaru służyć za parawan do osłaniania pańskich awanturek.

Kramarzewski wielkie oczy zrobił.

— Wiesz co, droga Andziu...

— O, przepraszam... zdaje się, że już minęły czasy, w których byłam dla pana drogą Andzią. Wobec faktów, które spostrzegam, możemy się obchodzić bez słodkich przymiotników, stanowią one albowiem rażący kontrast z goryczą, jaką przepelnione bywa serce kobiety uczciwej i nieposzlakowanej, zranione śmiertelnie w swojej dumie...

— Jak dzieci kocham, nie a nic nie rozumiem! widocznie zaszła jakaś pomyłka.

— O, zapewne! jeżeli ci się podoba, nazwij to pomyłką, gotów pan jesteś nawet twierdzić, że pomyłka niewinna... Tak! tak! po waszemu to pomyłka, a wiesz pan, że takie pomyłki religia nazywa grzechem, prawo występkiem, a opinia publiczna... nikczemnością.

Pan Leon z krzesła się zerwał, na twarz wybiegły mu rumieńce i pomimo zimnej krwi swojej i całej uległości dla żony, blizkim był gwałtownego wybuchu gniewu. Nawet w najbardziej zawojowanym mężu budzi się czasem energia.

— Tego już zawiele!—zawołał.—Tyle lat byłem dla ciebie unizonym służką, ale od chwili, w któ-

rój zaczynasz mnie krzywdzić bez najmniejszego powodu, zrywam te pęta! Proszę pamiętać, że jestem panem w domu i ubliżać sobie nie pozwolę.

Zdobywszy się na taką energię, Kramarzewski drzwiami trasnął i wyszedł, pani zaś padła na fotel i wybuchęła spazmatycznym płaczem. Panna Franciszka, która całą tę scenę z drugiego pokoju obserwowała, przybiegła do siostry, zadzwoniła na służbę, kazała podać wody, trzeźwila i całowała nieszczęśliwą ofiarę wiarołomnego męża...

Zosia, przechodząc w tej chwili przez pokój, z przerażeniem i z całym współczuciem zbliżyła się do pani Leonowój. Chciała zapytać co jest i czy nie może być w czem pomocną, usłużyć.

— Racz się pani nie troszczyć o to—rzekła panna Franciszka szyderczo—to sprawa czysto domowej natury, najlepiej więc jak załatwioną zostanie w rodzinie, bez udziału obcej interwencji i bez niepotrzebnej ciekawości.

Zosia spojrzała na swoją antagonistkę oczami pełnemi łez i, nie odrzekłszy ani słowa, odeszła do obowiązku swego, do dzieci.

— Tak!—pomyślała w duchu—ta dumna panna ma słusność... Jestem w tym domu obcą zupełnie, płatną najemnicą do uczenia dzieci... nie mam prawa narzucać się z życzliwością, ani z przywiązaniem... tak, nie mam.

Pan Leon zdobywszy się raz na energię, tak się

rozpędził, że kazał zaprządz do powozu i bez obiadu i bez pożegnania, bez opowiedzenia dokąd się udaje, odjechał.

W drodze zmiękł już znacznie i gotów był kazać zawrócić, ale ponieważ do Warszawy interes miał pilny, rozmyślił więc, że lepiej zrobi jak zaraz pojedzie; liczył też na to, że przez kilka dni żona udobruca się i wszystko wróci do dawnego stanu, do miłego spokoju, który flegmatyczny pan Leon nad wszystko przekładał.

Kazał zawieźć się na najbliższą stację, zkąd konie do domu odesłał, a sam własnym powozem, ekstrakcją do Warszawy się udał. Przez całą drogę nad swoją pierwszą awanturą małżeńską rozmyślał i dociec nie mógł, o co żonie chodziło i czém mianowicie gniew jej ściągnął na siebie. Liczył na to, że powróciwszy do domu, zastanie panią w usposobieniu lepszym, że ją w ostatecznym razie przeprosi.

Dla ułatwienia sobie tego zadania kupił bardzo kosztowną bransoletę, brylantami suto wysadzaną. Wiedział, że pani Anna błyskotki takie lubi i spodziewał się, że podarek ułatwi mu zgodę; kupił także i dla panny Franciszki ładny garniturek, bo przy wszelkich układach dobrze mieć zjednanego sprzymierzeńca.

Z najlepszą tedy myślą do domu powracał, ale się przerachował nieborak. Gdyby był dalej w gniewie trwał, a przynajmniej zagniewanego udawał,

pięrszego kroku do pojednania nie robił, to ostatecznie piękna pani, widząc, że góra do Mahometa przyjść nie chce, musiałaby tak postąpić jak turecki prorok i sama przyjść do góry; lecz że zobaczyła uległość i pokorę wielką, więc drożyć się zaczęła.

Na czułe powitania odpowiadała bardzo sztywnym ukłonem a prezentu przyjąć wcale nie chciała.

— Możesz go pan ofiarować komu chcesz, byle nie mnie... — rzekła. — Ja świecideł nie potrzebuję.

Panna Franciszka, choć jej się garniturek bardzo podobał, również ofiary szwagra nie przyjęła, mówiąc, że prezent to za kosztowny dla niej i że nie umiała by go nosić.

Widząc, że *fiasco* zrobił i w dyplomatycznych wyrachowaniach się zawiódł, pan Leon poddał się losowi i zastosował z pokorą do nowego w domu porządku.

Dom w Lipowie stał się nieznośny. Pan trzymał się oddzielnie w swoich apartamentach, pani cierpiała w swoich, do południa grała rolę ofiary w batystach, z rozpuszczonymi włosami, od południa w sukni nieodmiennie czarnej, bez żadnych ozdób i błyskotek. Z mężem widywała się tylko podczas obiadu i to nie codziennie, gdyż migrena nie zawsze pozwalała jej ukazywać się przy stole. Pana Fran-

ciszka miała nieustannie czoło zmarszczone, spojrzenie pochmurne i rozjaśniała je wówczas tylko, gdy przyszła wlewać w serce siostry balsam współczucia i pocieszenia.

Do Zosi prawie nikt się nie odzywał. Była zupełnie odosobniona, samotna, owiewał ją chłód szczególny. Jedyne jej pociechą były dwie, jasnowłose dziewczynki, serdecznie do niej przywiązane; aczkolwiek dzieci jeszcze, dostrzegły jednak, że Zosia ani przez mamę, ani przez ciocię lubiona nie jest—starały się wynagradzać to pieczętami, garnięciem się do nauki, posłuszeństwem. Uczyły się nad podziw dobrze, korzystały bardzo wiele i jedna przez drugą chciały się Zosi przypodobać. One też stanowiły cały światek biednej nauczycielki. Przesiadywały po całych dniach w jej pokoju rozmawiały z nią ciągle, kształcąc nietylko główki, ale i serduszka, w które Zosia umiała rzucać najszlachetniejsze ziarna.

Wydziwić się pani Anna nie mogła z kąd córeczki jej nabrały tyle wiadomości z historii, z kąd wyuczyły się tylu wierszy z najlepszych naszych poetów.

— Czy panna Zofia tak dużo wam zadaje?—pytała.

— Nie, mamó, panna Zofia na lekye zadaje bardzo niewiele. Ona taka dobra! powiada, że nie chce nas męczyć zanadto, że jeszcze jesteśmy małe, aby

godzinami całemi przesiadywać nad lekcją. Ona nas bardzo kocha.

— Zkądże więc tyle umiecie?

— O mamusiu! panna Zofia nam opowiada. Ach! jak ona ślicznie opowiada, żeby mamusia choć raz chciała posłuchać!... Gdy jesteśmy na spacerze, albo podczas niepogody, to w pokoju, o szarłej godzinie, usiądziemy sobie i ona mówi. Mówi o różnych królach, wielkich ludziach, wojnach, a tak zajmująco, tak ślicznie, jakby kto z książki czytał. Potem każe nam powtarzać, pyta czy spamiętałyśmy dobrze, ale ktoby takiego opowiadania nie pamiętał! My bardzo lubimy te opowiadania, ale jeszcze bardziej wiersze. Czasem czyta z książki, a więcej mówi z pamięci, jak śliczna Zosia kurki karmiła, jak Telimena zbierała grzyby, jak regent ciągle się kłócił z asesorem o psy! tacy śmieszni! i jak pan Wojski trąbił na wielkim rogu i przestał trąbić, a w lesie jeszcze echo grało... jak stary żyd Jankiel z siwą brodą grał na cymbałach i w tém graniu była cała historia. Ach! mamusiu kochana, jeszcze nigdy a nigdy w życiu nie słyszałyśmy takich pięknych wierszy. Jest ich cała książka, a panna Zofia prawie wszystko umie na pamięć, ale zobaczy mamusia, że nie długo i my także będziemy umiały. Dla ojca na imieniny przygotowujemy wielką niespodziankę.

— Moje dzieci — spytała pani Leonowa —

i to uczenie się wierszy nie przychodzi wam z trudnością?

— O nie! — panna Zofia powiada, że nie ma takiej nauki, która byłaby trudna... ja wiem, że to prawda... Pamięta mamusia, ja nieraz płakałam nad artymetyką, jeszcze kiedy panny Zofii nie było?... mówiłam, że nie ma nic szkaradniejszego nad rachunki.

— A teraz?

— Teraz śmieję się z tego. Artymetyka jest bardzo łatwa i każde zadanie można zrobić. Panna Zofia tak dobrze umie wytłómaczyć. Kiedy nie mogłam z początku zrozumieć, to ona przyniosła grochu, poukładała ziarnka w szeregi i kazała mi liczyć i wie mamusia, rozumiałam bardzo łatwo, odrazu, teraz już nie boję się rachunków i nie powiadam, że są szkaradne. Owszem, lubię je nawet. Panna Zofia powiada, że każdy, choćby nawet najbogatszy człowiek, powinien umieć dobrze rachować, gdyż...

— Moje dzieci—rzekła panna Franciszka, spoglądając na zegarek — zdaje mi się, że czas na lekcye.

— Ach! prawda ciociu! — zawołały dziewczynki—panna Zofia czeka na nas, biegnijmy, żeby się nie spóźnić!

Po wyjściu dzieci, panna Franciszka przybrała minę bardzo poważną i rzekła:

— Kochana Andziu, naumyślnie wyprawiłam dzieci, bo już nie mogłam słuchać tych pochwał, z których każda szczegółowo wzięta, wystarcza za najgorsze świadectwo dla twojej mądrej nauczycielki i potępia ją ostatecznie.

— Ja ciebie nie rozumiem, Franiu!

— Posłuchaj, a zrozumiesz. Wiesz zapewne, że dawniej, jeszcze przed kilkoma laty, za życia nieboszczki mamy, chciałam sama poświęcić się zawodowi nauczycielskiemu.

— Ach! przypominam sobie ten kaprys, bo przyznasz Franiu, że był to tylko kaprys chwilowy. Gdzieżbyś ty mogła tak nam zakrwawić serca i zostać nauczycielką w cudzym domu!

— Nazwij to jak ci się podoba... kaprys czy nie kaprys, dość, że starałam się zbadać gruntownie przedmiot, któremu się chciałam poświęcić i mam o nauczycielstwie niejaki wyobrażenie. Otóż na tej zasadzie mogę ci powiedzieć, że ta twoja panna Zofia uczy fatalnie.

— Ach! Franiu droga, takie rezultaty! na miłość Boską, mów co chcesz, mów na nią co ci się podoba, ale nawet największy nieprzyjaciół przyzna to dziewczynie, że uczyć umie i że jest...

— Skończoną komedyantką! Ha, ha, ha! wiesz! że gdyby tu nie szło o twoje rodzone dzieci, to można by się ubawić jak w teatrze. To skończona aktorka, doprawdy, na scenie zrobiłaby karierę!

Nawet, wiesz co, przysięglabym, że ona musiała już nieraz występować, ma się rozumiéć na jakiejś scenie prowincjonalnej siedemnastego rzędu... Rutynowana komedyantka, na pierwszy rzut oka można to poznać.

— Moja Franiu!

— Żądasz dowodu?... ależ zaraz go będziesz miała, słyszałaś przecie co dzieci mówiły!

— Słyszałam.

— Gdybyś słuchała uważnie, to przekonałabyś się, że te wszystkie wierszyki i historye, które twoje córeczki jak papużki powtarzają, a z czego ty zdajesz się być dumna, wpakowane im zostały w główki zapomocą oszukaństwa, obłudy, podstęp. Ona powiada: „moje drogie dziateczki, ja was nie chcę przeciążać pracą, bo jesteście jeszcze malutkie, ale będę was zabawiała, opowiadać wam będę! No i opowiada.. zakuwa dzieciom głowy, napycha je jak torby rozmaitemi wiadomościami, datami, faktami i przytępia im umysł.

— Sądziłabym, że rozwija raczej. Ten sposób uczenia jest najnowszy, postępowy, czytałam sama w jakimś piśmie.

— Wierzysz pismom? Dajże pokój! Zagranicą, o ile mi wiadomo, dawno już ta metoda uznana została za najszkodliwszą, a zresztą dość się uważnie zastanowić, ażeby poznać jej ohydę. Jakto? więc do duszy dziecka, do tej jasnej, niewinnej du-

szyczki trzeba przystępować z fałszem, podstępem i obłudą, odrazu działać na nią kłamstwem? Jakto, czy godzi się pod pozorem zabawki osłabiać młodziuchną, zaledwie rozwijającą się inteligencyę i opychać ją różnemi wiadomościami, po to, aby w samym zarodku zabić w niej wszelkie zdolności. A nie, Andziu! w zaślepieniu miłości macierzyńskiej idziesz za daleko i dla próżności, dla popisu przed gośćmi, zabijasz całą intelektualną przyszłość twoich córek.

Pani Anna patrzyła na siostrę wytrzeszczonymi oczami. Grad brzmiących frazesów ogłuszał ją, argumentacya siostry przerażała. Pani Kramarzewska w życiu swoim nie wiele zgrzeszyła myśleniem, nie lubiła się głębiej zastanawiać, a kto mówił głośno i gestykułował, mógł ją o wszystkiem przekonać. Budziła się w niej pewna obawa, przypuszczenie, że siostra może być w błędzie, ale umotywować téj wątpliwości pani Anna nie mogła.

Panna Franciszka starała się spotęgować wrażenie, jakie na siostrze zrobiła.

— A czy ty nie widzisz, biedna Andziu, co się z twemi dziećmi dzieje?

— No, co?

— Czyż to są dzieci? To sawantki przecież! Czyż kiedy widzisz, żeby się gonily po całych dniach, krzyczały, żeby darły sukienki? a wszakże

to są dzieci .. Ale dzięki fałszywej i podstępnej metodzie panny Zofii, przekształciły się na jakieś karykatury. Zobaczysz, że za pół roku zaczną się już wybierać do Zurychu lub Paryża na uniwersytet... winszuję!

— Moja Franiu, pozwól...

— A cóż mam pozwalać?! — rzekła ramionami wzruszając — ty jesteś od tego, żebyś pozwalała na wszystko... niewidzisz co się koło ciebie dzieje! Czasem dziecko samo się wygada, ale i na to uwagi nie zwracasz.

— Co, cóż takiego?

— Ha! ha! a ta niespodzianka na imieniny „ojczulka!“ Cóż to jest? to już przechodzi wszelkie granice... Widocznie szwagierek ma u panny Zofii wyjątkowe łaski. Biedna Andziu, jakżeż cię bardzo żałuję...

V.

Dzień był lipcowy i upalny, promienie słoneczne sypały żar na ziemię. Listki na drzewach opuściły się, jakby przywiędłe, ptaszęta kryły się po krzakach, szukając cienia. Ludzie, korzystając z niedzieli, odpoczywali po pracy, szukając chłodu w ogrodach, pod konarami drzew, albo téż w pustych stodołach, gdzie przewiew wiatru przez uchylone wrota chłodził nieco straszne gorąco dnia.

Pan Kamiński popołudniu do Lipowa się wybrał. Spienione konie z trudnością oddychały, ciągnąc lekki wolant po gościńcu, z karków ich, z szyi, z piersi spadały kłęby białej piany; stangret co chwila spocone czoło ocierał, bo istotnie wytrzymać było ciężko w skwarze słonecznym. Na zachodniej stronie horyzontu zaczęły się ukazywać chmurki.

Pan Kamiński nie zważał na gorąco, nie myślał

o niēm, tak się w dumaniach zagłębił. Piękna i łagodna twarzyczka Zosi stała mu ciągle przed oczami. On wiedział, że tēj dziewczynie u Kramarzewskich źle, ciężko, wiedział ile znosić musi, jak jest traktowana niepocziwie; kilkakrotnie rozmówić się z nią chciał, ale ile razy do Lipowa przyjechał, zawsze ją tak schowauo, że nie tylko pomówić, ale zobaczyć się z nią nie mógł. Bolało go to tēm więcej, że pokochał szczerze ową smutną, bladą dziewczkę, że pragnął, za radą siostry iść, wziąć ją za dozgonną towarzyszkę życia, za przybraną matkę dla swoich sierotek. Przeczował, że byłaby dla nich prawdziwym aniołem opiekuńczym, a dla niego... szczęściem na ziemi. Wszakże jeszcze miał prawo do życia i szczęścia, mógł o niēm marzyć. Zdawało się, że cōż łatwiejszego jak wyznać Zosi swe uczucia i o wzajemność poprosić. Bądź co bądź, dla biednej dziewczyny takie zamażpójście to los, ale Kamiński skromny był, o sobie niewiele rozumiał i uważałby za uchybienie Zosi tak obcesowo miłości od niēj żądać. On widywać ją pragnął, mówić z nią, myśli wymieniać i wierzył, że gdyby go bliżej poznała, to... to wtenczas pokochałaby może. Ale jakże tu mówić, jak myśli wymieniać, gdy biedna nauczycielka trzymana jest jak w więzieniu, gdy jēj nigdy zobaczyć nie można!

Zaprzątnięty smutnemi myślami, spojrział przed

siebie i zobaczył pyszny park lipowski, ogromny, nawpół dziki, nęcący chłodem alei z lip, szpalerów orzechowych, tworzących nad drózkami sklepienia zielone, przez które promień słońca przecisnąć się nie mógł.

— Stój-no Marcinie! — odezwał się do stangreta, który też natychmiast spienione kasztany osadził.—Gorąco straszne; ja przez park pieszo pójdę, a ty pomaleńku ku dworowi jedź... niech konie wytchną, trochę nawet w lipową drogę skręć, to cień znajdziesz.

Stangret odjechał, a Kamiński do parku wszedł. Zaraz na wstępie owiał go chłód przyjemny, rzeczka wiała się pomiędzy drzewami. Przeszedł przez mostek i skierował się w długi, kręty szpaler. Zdjął kapelusz, chciał usiąść na pierwszej napotkanej ławce, odpocząć. Nie spodziewał się spotkać nikogo ze dworu w tej oddalonej części parku, bo istotnie rzadko tu kto przychodził. Gustowne altanki, kwietniki i gazony skupione były w części ogrodu, bliżej palacu leżącój.

Już miał usiąść, gdy zdało mu się, że przez gęstwinę liści za pierwszym zakrętem szpaleru dostrzeżga jakąś postać. Zaciekawiony wstał i powoli poszedł w tamtą stronę; na piasku pokrywającym drózkę gęstą warstwą, nie było słyhać odgłosu kroków. Zbliżał się też widząc, a sam nie będąc widzianym, ani zauważonym i poznał... Zosię.

Siedziała na ławce zamyślona, trzymając książkę w ręku, ale nie czytała, bo i nie mogła, mając oczy łez pełne.

— Pani! — zawołał — panno Zofio!

Przerażona niespodziewaném spotkaniem, zerwała się z ławki... On ją ujął za rękę.

— O! siądź pani, proszę — rzekł głosem, w którym wzruszenie znać było. — Siądź pani!... Ja już tak dawno pomówić z panią pragnę.

— I cóż panu przyjdzie z tego? — rzekła nie wstrzymując, a może wstrzymać nie mogąc, łez dużych, ciężkich, które staczały się po jej czarnej sukience.

— Co mi przyjdzie? dziwne pytanie doprawdy! Czyż w tych stronach obcych, gdzie pani jesteś zupełnie sama, gdzie pani źle... nie przyda się choć jedna dusza życzliwa?

— Alboż mi źle? Obowiązek, jak obowiązek, ma swoje przykre strony, ale nie trzeba na to zważać.

— Nie mów pani tak, widzę ja dobrze, co się tu święci i chciałbym przyjść pani z pomocą.

— Mnie jój nie trzeba, panie...

— Harda dusza w pani, ale proszę pomyśleć, że jest pomoc i pomoc... a ja przemawiam do pani jak przyjaciel jój rodziny, jak brat... Pani tu nie może pozostać, na żaden sposób nie może...

— Muszę!

— A jednak, jeżeli pani mego zdania słuchać

nie chce, to odwołam się do wyższej instancji. W przyszłym tygodniu udaję się w lubelskie...

— Zobaczysz pan moją mamę! siostrę! — zawołała z ożywieniem.

— Zobaczę i opowiem wszystko!

— O! nie krwaw jej pan serca, proszę pana! Nie mów jej nic, bo ona cierpiałaby bardzo, a właśnie nie ma do tego przyczyny.

— Więc trwasz pani przy swoim, utrzymujesz, że ci zupełnie dobrze w Lipowie?

Zosia schyliła głowę i odpowiedziała po namyśle:

— Naturalnie!... Rozczarowań doznać nie mogłam, bom szłam w świat bez złudzeń i, do pewnego stopnia, wiedziałam, a może raczej przeczuwałam, co mnie czeka. Nie mam prawa wymagać od ludzi obcych tej życzliwości i tego ciepła, jakie miałam w domu. Nie mam prawa, aczkolwiek starałam się i staram na życzliwość zasłużyć.

— Wychodzi na to, że pośrednio przynajmniej przyznaje mi pani słuszność i że nie omyliłem się przypuszczając, że masz pani tutaj ciężkie życie.

— Ja tego nie powiedziałam przecież.

Kamiński uśmiechnął się.

— Trzeba widzieć—rzekł—szukać innego punktu wyjścia. Nie będę już wspominał o przykrościach i zmartwieniach. Przypuśćmy na chwilę, że pani tu jest znośnie, a nawet... dobrze, ale w takim

razie czyż jest zabronionem szukać innego otoczenia, otoczenia takiego, w którym byłoby pani nietylko znośnie, ale bardzo dobrze, otoczenia, w którym znalazłabyś pani życzliwość serdeczną, sympatyę i najszczerzą przyjaźń...

— Co pan chce przez to powiedzieć? — spytała Zosia zdumiona.

— Chcę powiedzieć to, o czém już oddawna powiedzieć pani chciałem. Szkoda pani młodości i sił na marnowanie w gorzkim, przykrym, a tak bardzo zależnym, zawodzie nauczycielskim, bo i co panią w nim czeka? Wyszędłszy ztąd, gdzie według pani zdania tak dobrze! — dodał z odcieniem ironii — dostanie się pani do innego domu, gdzie może pani być jeszcze lepiej, gdzie dozna pani jeszcze większych przyjemności. Wieczna tułaczka z domu do domu, nieustanne przykrości, niepewność, brak własnego kąta, w którymby można spokojnie odetchnąć, po pracy wypocząć...

— Dla czego mi pan to mówi? Czyż sama nie wiem, że tak jest, czyż mało leż nad tem wylałam, ale cóż zrobić? cóż zrobić? do czego wezmę się? Ponieważ nie mam uzdolnienia do innego rodzaju pracy, muszę żyć z tego, co umiem i z rezygnacją, z poddaniem się, znośić los istotnie ciężki.

— Nie, nie, panno Zofio! poddanie się, rezygnacja, to smutna konieczność dla tych, co wyczerpali wszystkie siły w życiowych zapasach, co złamani,

zgnębieni zupełnie, nie mają dość mocy, aby zrzucić z ramion ciężar, który ich gniecie. Starość i niemoc poddaje się losowi, młodość z nim walczyć powinna. Powtarzam, że pani nie powinnaś się marnować w tułaczce, w pogoni za marnym a niewdzięcznym zarobkiem...

— Wie pan dlaczego to czynię, wiadomo panu dobrze, jakie obowiązki mam.

— Wiem, wiem i właśnie skorzystałem z pierwszej sposobności, aby przemówić do pani w imię tych obowiązków, jakie pani ma. Racz mnie posłuchać panno Zofio. Zapewne od czasu przybycia do Lipowa nie słyszałaś jeszcze szczerze przyjaznego, życzliwego głosu... Wspominałem już pani o mojej siostrze Władysławie. Po śmierci męża była ona mniej więcej w takim położeniu, w jakim pani jesteś teraz, po stracie ojca, po wyzuciu was z majątku. Dziś ma ona stanowisko niezależne, kawałek chleba pewny, spokój, zadowolenie wewnętrzne, spełnia swój obowiązek wychowując dziecko, jednem słowem, stworzyła sobie mały światek własny, w którym panią jest i pierwszą robotnicą zarazem.

— Szczęśliwa! — rzekła Zosia z westchnieniem.

— I pani może znaleźć to szczęście z łatwością. Opuść pani Lipów, przyjeźdź do Warszawy. Siostra moja przyjmie panią z otwartymi rękami, będzie

pani nauczycielką i przyjaciółką zarazem. Po roku lub dwóch, uzdolniona w zawodzie, znając już wszelkie jego tajemnice, założysz pani pracownię na własną rękę, weźmiesz pani do siebie mamę i siostrę i będziecie razem. Cóż, panno Zofio, czy zechcesz usłuchać rady szczerego przyjaciela?

Zosia miała lzy w oczach.

— O panie! — rzekła, podając mu rękę — rozwijasz przedemną bardzo ładne, bardzo ponętne obrazy. Czegóż więcęj pragnąć, o czem lepszem marzyć bym mogła? Mieć swoje własne mieszkanie, własną pracownię, nie tęsknić do biednej, schorowanej matki, nie drżać w niepewności o jej zdrowie, ale pielęgnować ją osobiście, otoczyć wszelkimi wygodami, to... to doprawdy szczęście, o jakim nawet marzyć nie mogłam! Sama bym się zajęła moją młodszą siostrą, jej wykształceniem. O! doprawdy jakby to było dobrze, jak szczęśliwie, ale...

— Ale co, panno Zofio?

— Marzenie takie nigdy się nie spełni, bo niemożliwe jest do wykonania.

— A to z jakiego powodu? — zapytał ze zdumieniem Kamiński.

— Bo, proszę pana, na naukę czasu trzeba, a ja go nie mam, bo kto się uczy, ten nie zarabia, a ja zarobku potrzebuję dla matki, dla siostry... dla...

— Więc tylko o to idzie?

Zosia spojrzała na Kamińskiego z podziwieniem.

Co chce przez to powiedzieć? Dlaczego wyraża się jakby z lekceważeniem „tylko o to idzie?” a przecież to „tylko“ to jedyny cel jej życia i zabiegów, dlatego „tylko“ ona pracuje, przebywa w obcym domu, znosi wszelkie przykrości i upokorzenia.

— Ja nie rozumiem — rzekła — znaczenia pańskiego wykrzyknika. Śmieje się pan, że mi „tylko o to idzie“, ależ upewniam pana, że tylko i wyłącznie. Innego celu nie ma w mojem smutnym życiu.

— Panno Zofio — rzekł — porozumiejmy się; pozwól mi pani wytłomaczyć tę rzecz bliżej. W mojem odezwaniu się nie było myśli lekceważenia pani najszlachetniejszych intencyj, broń Boże! Ja chciałem tylko powiedzieć, że przeszkoda, o jakiej pani mówi, da się z łatwością usunąć, że na czas pewien może pani być zupełnie zwolniona od swoich obowiązków i spokojna o dach nad głową i kawałek chleba dla swoich najdroższych.

— Jakim cudem?

— Bardzo prostym, najzwyczajniejszym sposobem. Dwór w Zabłociu jest duży, a chleba w nim nie braknie. Przez rok, dwa, czy ile będzie potrzeba, mama i siostrunia pani mogą w nim dysponować. Druga siostra, która u mnie mieszka, przyjmie je z otwartymi rękami.

— Serdecznie, serdecznie dziękuję za tę propozycję, za ten dowód dobroci i życzliwości, ale my byśmy nie mogły przyjąć...

— Za pozwoleniem! to już rzecz pomiędzy mamą pani a mną. Ja to biorę na siebie. Jak nadmienilem przed chwilą, jadę w lubelskie, mamę pani odwiedzę i porozumiem się z nią. Jako przyjaciel ojca pani, jako dawny znajomy, sędzę, że mam prawo niejakię podać wam rękę pomocną. Przypuszczam że potrafię znaleźć dość argumentów, które będą mogły przekonać mamę pani, że plan mój dobry jest dla przyszłości waszćj, a jeżeli mamę przekonam, to czy pani zaakceptuje myśl moją? Czy pani zechce zostać uczennicą i przyjaciółką mój siostry?

Zosia myślała przez chwilę. Kamiński wpatrywał się w jój wdzięczną, sympatyczną postać i z niepokojem oczekiwał odpowiedzi.

Po chwili namysłu Zosia podała mu rękę:

— Dobrze panie! — rzekła — jeżeli się mama zgodzi, to i ja pójdę za pańską radą i rozpocznę nowe życie. W każdym razie tak, czy owak wypadnie, przyjmij pan serdeczną podziękę sieroty za pańską dobroć, życzliwość i za pocziwe chęci, jakie względem nas, biednych rozbitków, okazujesz.

Kamiński pochwycił podaną mu rączkę i do ust przycisnął.

Jednocześnie w gęstwinie parkowój coś zaszeleściło i zdawało się, że jakiś cień przesunął się pomiędzy krzakami leszczyny.

Zosia mimowolnie drgnęła.

— Co pani jest? — zapytał Kamiński.

— Nic!... przestraszyłam się, zdawało mi się, że jakiś cień.

— Cienia pani się lękasz?

— Czy ja wiem, czego się lękać, a czego nie. Tutaj w Lipowie, przyznam się panu otwarcie, ja się głosu własnego boję.

— Ach! więc nareszcie przyznajesz mi pani słusność! więc nie omyliłem się, przypuszczając, że pani tu dobrze nie jest, że cierpisz...

— Nie mówmy o t^ęm panie. Jak mi jest tutaj Bóg widzi, ale znoszę mój los z poddaniem się, bez szemrania i bez narzekań. Jeżeli stanie się wszystko tak, jak pan mówi, jeżeli mama moja przyjmie pańską życzliwą ofiarę, w takim razie opuszczę ten dom bez żalu i bez żalu t^ęż wyrzeknę się nauczycielskiego zawodu. Tymczasem pełnić będę obowiązek jak dotąd, o ile siły pozwolą uczciwie i sumiennie. A teraz godzina mojej rekracyi kończy się, muszę wracać do moich elewek. Jeszcze raz dziękuję panu za życzliwość, za słowo pociechy, za promyk nadziei, jaki mi pan wskazujesz. Gdy pan zobaczy mamę moją i siostrę, niech im pan powie, że kocham je obie stale i niezmiennie, że moja myśl nie odbiega od nich ani na jedną chwilę, a niech pan nie opowiada mamie, że mam tu życie... nie bardzo słodkie, bo ona by się zmartwiła. Niech pan lepij

nie mówi prawdy. Na co zasmucać biedną, schorowaną kobietę?

Zanim Kamiński zdążył odpowiedzieć, Zosia oddaliła się szybko. Znając doskonale park lipowski, pobiegła dróżką najbliższą i zniknęła w gęstwinie.

Kamiński odetchnął głęboko, jakby mu wielki ciężar spadł z serca. Więc nareszcie Zosia wyjedzie ztąd, zamieszka w domu jego siostry, on będzie mógł ją widywać, będzie mógł starać się o jej przywiązanie.

Posiedział jeszcze czas jakiś na ławce, potem powstał i ku dworowi się udał. Nie znając dobrze lipowskiego parku, dość długo szukał głównej alei, tak, że ubiegł z kwadrans czasu, zanim znalazł się w salonie państwa Kramarzewskich.

Sam gospodarz go przywitał, a miał minę dziwnie zakłopotaną. Stracił kontenans zupełnie, przestępował z nogi na nogę, nie wiedząc jak zacząć rozmowę, która widocznie sprawiała mu kłopot.

— Co panu jest, panie Leonie? — pytał gość — co się stało tutaj?... Widzę, że jesteś pan zakłopotany, że zjawiłem się nie w porę...

— A jakżeż można! przecież stare przysłowie mówi: „gość w dom, Bóg w dom”, a jeszcze taki gość jak kochany sąsiad dobrodziej!

— Nie politykuj pan—odrzekł z uśmiechem Ka-

miński—bo to panu nie zbyt zręcznie idzie... oto lepiej powieźć szczerze, może wybieracie się państwo gdzie? Niech was moja obecność nie krępuje, znamy się już od dość dawna i miałbym uzasadnioną pretensją, gdybyście państwo robili sobie ze mną ceremonie. No, szanowny sąsiedzie, proszę bardzo po sąsiedzku, otwarcie...

— Ależ, bo widzi sąsiad, właściwie...

— No, przecież!

— Albo ja wiem co się tutaj dzieje?! Kobiety coś tam mają między sobą... niby moja żona i siostra żony. Jedna zadysponowała konie dla siebie, druga dla siebie, jedna odwołała dyspozycję, druga posłała do stajni z poleceniem, żeby powóz natchmiast był gotów... Przyznam się kochanemu sąsiadowi, że wolałbym trzech wilków w lesie spotkać, aniżeli grymasy kobiece widzieć. Okropnie tego nie lubię, bardzo nie lubię!

— W takich razach najlepiej jest uciekać, gdzie pieprz rośnie — rzekł z uśmiechem Kamiński — zwłaszcza jeżeli się coś przeskrobało, bo jużci nie ulega wątpliwości, że musiałeś sąsiad grubo względem pań przeskrobać, skoro się tak gniewają.

— Ja! cóż ja mogłem im zawinić?

— No, jak jest, to jest, ja sąsiada ocalę... Siadaj pan ze mną i pojedziemy.

— Na żaden sposób, nie mogę przecież zostawić samych kobiet w takiem rozdrażnieniu.

— Ale o cóż poszło tym paniom?

— Alboż ja wiem? powiadam sąsiadowi, że pod tym względem jestem jak tabaka w rogu... a tak pięknie zapowiadał się dzień — dodał z westchnieniem — miał być na obiad chłodnik... wyśmienity chłodnik. Sam dałem kucharzowi informację, uważa sąsiad, sam dałem! a teraz cóż z tego chłodnika? co z całego obiadu? Wszelki niepokój odbiera apetyt, zawsze tego na sobie doświadczam i o ile możliwości unikam niepokojów...

— No szanowny sąsiedzie — odezwał się Kamiński — skoro nie chcesz korzystać z dobrej sposobności i uciekać ze mną przed burzą, to zostawiam pana własnemu losowi...

— Doprawdy! wypowiedzieć nie zdołam jak mi to przykro, ale szczerze mówiąc, ja tu sam jestem winien, nikt więcej.

— Ja też to zaraz powiedziałem.

— A! nie! nie w tym znaczeniu jak sąsiad rozumie, nie! tylko przez niedbalstwo.

— Niedbalstwo?

— Tak! tak! Już oddawna doktorzy mówią, że Andzia jest chora, że ma w wysokim stopniu rozdrażnione nerwy, że potrzebuje wzmocnienia, kuracji; ja co prawda w nerwy nie bardzo wierzę, więc też jednym uchem słuchałem, drugim wypuszczałem... teraz przekonywam się, że źle zrobiłem... ata-

ki są coraz częstsze i coraz gwałtowniejsze, widzę, że doktorzy mieli słuszość.

— No, panie Leonie szanowny, bądź dobrą myśli. Jeszcze nie ma nic straconego, wypraw żonę zagranicę.

— Kiedy i Frania...

— To i pannę Franciszkę. Sam z niemi pojedź, rozerwiesz się trochę, odpoczniesz, a teraz pożegnaj sąsiada dobrodzieja.

— Jak mi przykro, nie uwierzysz pan, jak mi niezmiernie przykro. Taki chłodnik! Sądzę wszakże, że ten wypadek nie wpłynie na zakłócenie naszej harmonii.

— Cóż znowu?!

Kamiński odjechał.

Zaledwie wolant jego zniknął za bramą, wbiegła do salonu pani Anna.

— Wyprawileś go już? — spytała.

— Jak widzisz.

— Spodziewam się jednak, że zrobiłeś to dość zręcznie, żeby go nie obrazić.

— Użyłem całej dyplomacji... mogę się nawet pochwalić, że wynalazłem pozór bardzo zręczny go-dzien Metternicha.

— Ciekawam!

— Powiedziałem... powiedziałem, że ty, moja duszko, masz szalony atak rozdrażnienia nerwów.

Pani Anna wzruszyła ramionami:

— Jeżeli to miało być zręczne, to ciekawam bardzo cobyś nazwał niezręcznym, lecz mniejsza o to, racz się teraz pofatygować do mego buduaru.

— Dobrze, ale moja Andziu, jakże będzie z tym chłodnikiem? Sam dawałem informacje kucharzowi.

— Chłodnik ci nie ucieknie, a tu idzie o ważniejsze sprawy; proszę cię, bądź łaskaw przyjść zaraz i pamiętaj, raz w życiu przynajmniej okaż jakąś energię, bądź mężczyzną.

— Ależ!... o ilu mi się zdaje, droga Andziu...

— Ach, niestety, wiem o tém, tobie się zawsze zdaje i przez to właśnie my z siostrą jesteśmy najnieszczęśliwsze istoty pod słońcem.

VI.

Wszedłszy do buduaru swęj małżonki, powolny i spokojny pan Leon uczuł, że dreszcz przebiega mu po skórze i że zanosi się na coś nadzwyczajnego.

Panna Franciszka, blada jak ściana, siedziała przy oknie; skrzyżowała ręce na piersiach, jakby pragnąc przytłumić gwałtowne bicie serca. Pani Anna stanęła na środku pokoju i spoglądała poważnie i surowo.

— Proszę cię Leonie, zechciój usiąść — rzekła.

Pan Leon spełnił ten rozkaz, oczekując dalszych.

— Mój panie, pomimo różnych a różnych kwestyi, których w tęg chwili wszczynać nie chcę, jednak, jako mego męża i ojca moich dzieci, uważać pana muszę za głowę rodziny i pragnęłabym, abyś pan w tym właśnie charakterze, przynajmniej raz

w życiu, wystąpił z całą energią, na jaką się zdobyć możesz; jeżeli w ogóle energia jaka jest w panu...

— Moja duszko, o cóż chodzi?..

— Przedewszystkiém zwracam uwagę, że od dawna minęły czasy, w których byłem dla pana duszką.

— Ależ aniolku!...

— Tytuł żony będzie, jak sądzę, najwłaściwszy.

— Zatém co rozkażesz, żono?

— Idzie o nauczycielkę naszych dzieci.

— O pannę Zofię?

— Tak jest, o tę pannę Zofię, dla której panowie w ogóle macie szczególne względy... idzie o tę właśnie pannę Zofię. Życzeniem mojem jest, aby ta osoba natychmiast opuściła nasz dom. Ja widzieć jej nie chcę, ty więc, jako pan domu i głowa rodziny, racz się z nią rozmówić, oblicz co jej się należy i każ jej zabierać rzeczy i wyjeżdżać.

— Jakto? dziś!... zaraz? w tej godzinie?

— Jeżeli można, to nawet w tej minucie. Nie życzę sobie przebywać dłużej pod jednym dachem z osobą, która...

— Cóż się stało? co zrobiła panna Zofia? Przecież byłaś z niej zadowolona, mówiłaś, że dzieci dużo z niej korzystają, że się ślicznie uczą.

Byłam wprowadzona w błąd. Frania słusznie powiada, że taka komedyantka każdego potrafi oszukać; nie chciałam wierzyć, ale wobec jawnych

dowodów niegodziwości i przewrotności, otworzyły mi się wreszcie oczy i zostałam przekonana.

— Nic nie rozumiem! Rąbacie mnie w kawalki, siekajcie, zarzynajcie, kolcie szpilkami, jeżeli wiem o co chodzi!

— Racz pan posłuchać co się dziś stało w parku. Sądzę, że ten jeden drobny fackik wystarczy. Naturalnie pomijam mnóstwo innych, ten ostatni albowiem jak sądzę, przekona nawet ciebie. Moja Franiu, bądź łaskawą opowiedzieć szwagrowi to, co widziałś własnymi oczami.

Panna Franciszka zaczęła mówić głosem cichym i z pozorną obojętnością.

— Wyszłam do parku przejść się. Chodziłam w bocznej alei tam i napowrót, wyszukując miejsc najbardziej zacienionych, gdyż nieznośny upał tahomał oddech. Myślałam o tém i o owém, co zresztą do rzeczy nie należy. W tém zdawało mi się, że słyszę jakieś szepty. Spojrzę, aż tu niedaleko na ławeczce kamiennéj siedzi ta panna... gubernanta, a obok niéj nasz dobry znajomy... pan Kamiński. Niech szwagier nie przerywa, albowiem opowiadanie moje skończy się zaraz. Ci państwo siedzieli obok siebie tak blisko i tak byli zachwyceni słodkiem „*tête à tête*,” że nie zauważyli nawet mojej obecności. Nie chcąc im przeszkadzać, cofnęłam się dyskretnie.

— No! i cóż pan na to? — spytała pani Anna.

— Ja? ja, proszę cię, nie... Cóż wielkiego!.. spotkali się w parku, usiedli na ławce i rozmawiali. Przecież Kamiński zna ją od dziecka.

— Więc pan w tém nie widzisz nic złego?

— Daję słowo honoru, nie a nic. Już cię nie podobna zabronić pannie Zofii rozmawiać ze znajomymi.

— Przewidywałam odpowiedź szwagra — rzekła panna Franciszka — i dla tego jeszcze raz proszę cię Andziu o konie. Wyjadę dziś, zaraz, pójdę w świat gdzie mnie oczy poniosą, ale tu, pod waszym dachem, nie pozostanę ani jednéj chwili.

— Nie, droga Franiu — odezwała się pani Leonowa, obejmując szyję siostry — wyjedziemy ztąd obydwie, naturalnie i z dziećmi. Zawsze tak bywa, że porządne kobiety muszą ustępować miejsca awanturnicom i kokietkom...

— I dokąd że panie zamierzacie pojechać, jeżeli wolno zapytać?

— Świat szeroki... Spodziewam się, że jako matka pańskich dzieci, mam niejakie prawo do alimentów.

Pan Leon ramionami ruszył.

— Doprawdy! — rzekł — nie widzę powodu do ucieczki z domu. Zresztą, bez względu na to, czy panna Zofia zawiniła, czy nie, możesz się z nią rozstać.

— Ach! według pańskiego zdania nie zawiniła...
Szczególna pobłażliwość!

— Nie wchodzę w to, powtarzam... możesz ją uwolnić.

— Ja! ja? miałabym z nią rozmawiać, po tém co zaszło? Nigdy. Możesz pan być przekonany, że nawet widzieć jęj nie chcę.

— Więc może cię siostrzyczka wyręczy.

— Nie rozmawiam z tego rodzaju kobietami — odrzekła panna Franciszka z grymasem — zresztą nie jestem jęj pracodawczynią i w ogóle żaden mnie stosunek z tą panną nie łączy.

— Dziwne żądania — wtrąciła pani Anna — bardzo dziwne. Jak możesz wymagać od Frani, żeby załatwiała tak drażliwe sprawy. Najlepięj pójdź sam, zapłać co się tęg pani należy i odeślij ją.

— Ha, skoro sobie tak życzysz.

— Albo nie, czekaj! Trzeba zrobić inaczej. Przypuszczam, że będzie żądała objaśnień, że ze chce tu przyjść. Gotowa zrobić jaką scenę i płakać, spazmować — a ja wcale nie życzę sobie być na takim widowisku.

— Więc cóż?

— Każ zaprządz konie do powozu. Weźmiemy dzieci i pojedziemy z Franią w sąsiedztwo, zabawimy tam do późnego wieczoru, a może i do nocy. Przez ten czas zdążysz załatwić rachunki z panną

Zofią i wyprawić ją z domu, tak, żebyśmy jej nie zastały już za powrotem.

— Drażliwa to sprawa, ale kiedy żądasz tego koniecznie...

— Bezwarunkowo!

— Dobrze, ale cóż jej powiem, gdy mnie zapyta o powód oddalenia?

— Powód oddalenia? Przecież mówiłam ci: romans z panem Kamińskim! romans skandaliczny, który w przyzwoitym i szanującym się domu tolerowany być nie może.

Pan Kramarzewski stuknął się palcem w czoło. Zrozumiał teraz co się święci... Przecież panna Franciszka miała na Kamińskiego widoki. Wobec tego faktu, wiedział, że nic nie poradzi, że nie uratuje biednej dziewczyny, o której niewinności miał głębokie przekonanie. Postanowił zatem zrobić co mu żona zaleciła, ale zrobić w formie możliwie delikatnej, najmniej przykrzej.

Powziąwszy to postanowienie, kazał zaprzędz konie do powozu, a w pół godziny później, gdy już panie odjechały, zapukał lekko do pokoju Zosi.

Zastał ją bardzo zmienioną. Twarz jej była blada jak kreda, oczy zalane łzami, pochyłona nad walizką układała w niej swe rzeczy. Czyżby dowiedziała się co ją czeka?

Pan Leon w pierwszej chwili nie wiedział co ma mówić. Zosia odezwała się pierwsza.

— Wiem po co pan przyszedł—rzekła — i, jak pan widzi, ustępuję.

— Ależ pani! panno Zofio... pozwól mi pani wytłómaczyć się, zapewniam panią na honor, że ja... to jest, że w całym tém zajściu nie widzę nic oprócz nieporozumienia...

— Nie ma tu żadnych nieporozumień — rzekła, podając mu ćwiarteczkę papieru. — Wszak to wyraźne, panie, a czy sprawiedliwe, niech Bóg osądzi!

Pan Leon spojrział na kartkę. Drobném pismem były na nięj nakreślone te słowa:

„Mam nadzieję, że kochanka pana K. znajdzie sobie inną rezydencyę. Atmosfera Lipowa nie sprzyja skandalom“.

F. E.

— Gadzina! — szepnął Kramarzewski i krew nabiegła mu do skroni — w jaki sposób ja panią zdołam przeprosić za to, co ją pod moim dachem spotkało?

Zosia zwróciła ku niemu swe duże, załzawione oczy.

— Przeprosić?! — rzekła z westchnieniem — alboż...

— Pani, ja mam moralne przekonanie, że to wszystko fałsz i niegodziwość. Mnie całe to zajście do głębi duszy oburza!

— Więc pan wierzy w moją uczciwość?

— Wierzę, wierzę!... i słów nie mam na potępienie...

— Dość, panie... Dziękuję za słowo współczucia. Czy wolno mi posłać służącego na wieś, żeby mi wynajął chłopską furkę do najbliższej stacyi pocztowej?

— Ależ co znowu! Czy w Lipowie koni brak? Nie pozwolę na to, abyś pani miała odjeżdżać ztąd wynajętą furmanką.

— Nie mogę przyjmować grzeczności od...

— Odemnie? ależ na Boga żywego! panno Zofio! ja przecież nie obraziłem pani ani jedném słowem, a całe to zajście odczuwam boleśniej, niż się pani zdaje. Niechże mi pani nie robi tego wstydu, żeby miała odjeżdżać na chłopskiej furce.

-- Dobrze, ale w takim razie proszę zaraz o konie, dłużej tu ani chwili pozostawać nie mogę.

— Natychmiast wydam dyspozycyę, lecz mamy jeszcze do załatwienia rachunek.

— Bardzo niewielki.

— Zapewne... Oto w tej kopercie — rzekł podając Zosi pakiet — znajduje się pani pensya roczna.

— Nie należy mi się tyle.

— Pozwól mi pani mieć swoje zdanie pod tym względem. Nie powoduje mną nic więcej nad poczucie obowiązku i słuszności; traci pani posadę nie z własnej winy, takie jest moje moralne przekona-

nie i każdy sąd przyznałby pani całoroczną pensję. Mając obowiązki względem matki, nie masz pani prawa powodować się fałszywą ambicyą i odrzucać tego, co się pani najśluszniej należy.

Kramarzewski, nie czując nad sobą argusowego oka swój małżonki, był szczery i mówił to co myślał. Bolała go krzywda wyrządzona biednej dziewczynie i chciałby ją, o ile możności, naprawić. To też wręczywszy jej kopertę, rzekł z uczuciem:

— Ja panią stokrotnie przepraszam za wszystko złe, jakiegoś pani doznała, twojej dobrej sławy bronić będę wszędzie i zawsze, i pamiętaj pani, że w przykrym ci Lipowie pozostaje człowiek, który cię szanuje i współczuje twojemu nieszczęściu.

Zosia rozplakała się, a pan Leon, nie mogąc nad wzruszeniem panować, uściśnął jej rękę i wyszedł.

Stangret zaprzęgał konie do leciutkiiej bryczki, już miał zajeżdżać, gdy nagle wiatr się zerwał i miotać zaczął tumany kurzawy, a odległe grzmoty zapowiadały burzę, która się przez cały ten dzień upalny zbierała. Wicher szalał, na horyzoncie gromadziły się chmury ciężkie, czarne prawie; piętrzyły się, zachodziły jedna na drugą. Naraz zrobiło się prawie ciemno, błyskawice ślizgały się po niebie, niby ogniste węże, ryk gromów nie ustawał, piorun z przerażającym łoskotem uderzył w jedno z drzew parkowych i rozdarł je na dwoje. Zdawało się, że

przyroda chciała odrazu wyrzucić z siebie cały zapas strasznej, nieobliczonej siły, że niebo chciało ziemię zmiażdżyć i zdruzgotać. Deszcz ulewny spadł z siłą uraganu, tworząc w oka mgnieniu kałuże, zalewając drogi i ścieżki.

Zosia przerażona padła na kolana przed obrazem i gorąco modlić się poczęła. Pan Leon uchylił drzwi, ale ujrzawszy ją na klęczkach, zatopioną w modlitwie, cofnął się...

Ze trzy kwadranse trwał wybuch rozszalałych żywiołów, potem błyskawice stawały się rzadsze, groźny ryk z grzmiotem oddalał się coraz bardziej, aż wreszcie z poza chmur zaczęło się pokazywać lazurowe niebo i od zachodniej strony złocista głowa słońca wychyliła się, rzucając jasne promienie.

Deszcz ustał... a na horyzoncie położyła się tęcza, obejmująca świetnym, siedmiobarwnym łukiem połowę widnokręgu.

Na żądanie Zosi stangret zajechał. Wyniesiono na bryczkę jej niewielki tłumoczek, w progu pożegnał ją pan Leon pełnym uszanowania ukłonem i rękę jej uścisnął, jeszcze raz przepraszając, sumitując się, tłumacząc.

Po chwili dwór lipowski zniknął z przed jej oczu. Znalazła się znowuż sama, sama jedna na świecie, bez dachu nad głową, bez jutra.

Chłodny wietrzyk muskał jej skronie i nabrzmia-

łe od lez powieki, odświeżona przez burzę atmosfera uspokajała ją cokolwiek.

Dokąd iść, dokąd się udać?

Do stacyi pocztowej przedewszystkiem, a ztamtąd gdzie oczy poniosą, aby dalej, aby jak najdalej od tych stron, w których upłynęło tyle chwil bolesnych, ciężkich...

Pan Leon po odjeździe Zosi, zadumał się, był jak nie swój; niesprawiedliwość, wyrządzona biednej dziewczynie, bolała go tembardziej, że nie mógł złemu zapobiedz. Do walki z żoną i siostrą jej sił nie miał, a zresztą do czego by go ta walka doprowadziła? Bezsilnym się czuł zupełnie.

— Jaśnie panie!—rzekł służący, wchodząc.

— Co chcesz?

— Kucharz zapytuje co będzie z obiadem?

— Ach, kucharz — odrzekł pan Leon bezmyślnie—kucharz.

— Tak jest, jaśnie panie, pyta czy podawać chłodnik...

— Chłodnik?

— Tak jest, jaśnie panie panie, chłodnik!

— Hm!... niech poda... albo lepiej! zaczekaj...

— Słucham jaśnie panie!

— Nie będę jadł, każ mi zrobić szklankę mocnej herbaty, gdyż mam szalony ból głowy.

Z jakiem uczuciem w sercu Zosia opuszczała Lipów, łatwo się domyślcć. Rozczarowanie, za-

wód, ból, poczucie krzywdy ciężkiej przygniatały jęj serce jak głazem, a wśród tego żalu i boleści przychodziło jeszcze na myśl pytanie: co robić? dokąd się udać, w którą stronę się obrócić?

Tak niedawno jeszcze jedyny człowiek życzliwy, jakiego na drodze życia spotkała, ofiarowywał jęj życzliwą pomoc swęj siostry, a schorowaną matkę chciał przyjąć pod swój dach gościnnie. Była to ofiara szlachetna i podyktowana przez szczerą życzliwość i sympatyę. Zosia rozumiała to dobrze, ale dziś już nie może z nięj korzystać. Bez wątpienia panna Franciszka nie zostawi całego zajęcia w tajemnicy przeciwnie, rozgłosi je, rozkrzyczy, że by biedną dziewczynę na zawsze zgubić w opinii i potępić. Czyż wobec tego możliwem jest udawać się pod opiekę pani Władysławy? czy sam fakt pobytu pod jęj dachem nie da powodu do nowych plotek i potwarzy? Może kobieta doświadczeńsza, więcej praktyczna i z życiem obyta rozumowała by inaczej, może właśnie przyszła by do wniosków wprost przeciwnych, ale Zosia inaczej zapatrywała się na tę sprawę. Nie chciała, by na jedyny jęj majątek, na pocziwe, niczēm nie skalane imię, nie padał cień najmniejszy i sądziła, że gdy odjedzie daleko, jak najdalej z tych stron, to cel swój osiągnie.

— Zniknę—myślała sobie—zagrzebię się w najodleglejszęj części kraju, jednęj tylko matce donio-

sę gdzie jestem, matce i jeszcze komuś! a gdy zejde ludziom z oczu, to mówić o mnie przestaną, zapomną, zem istniała kiedy na świecie. Niczego też więcej nie pragnę; pracować, zarabiać dla matki, cierpieć i czekać dni lepszych... oto wszystko co mam do zrobienia.

Tak też uczyniła. Przyjechała do Warszawy i udawszy się do kantorów, znalazła posadę nauczycielki w bogatym, żydowskim domu w Kaliszu. Ponieważ sama pani osobiście przyjechała w celu wyszukania przewodniczki dla swych córeczek, a Zosia wymagań wielkich nie miała, przeto porozumienie nastąpiło zaraz.

Zosia napisała serdeczny list do matki, posłała jej prawie wszystkie pieniądze, zapracowane w Lipowie, ale o powodach opuszczenia posady przemilczała dyskretnie, nie chcąc ranić serca schorowanej kobiety. Po załatwieniu tej korespondencji, wsiała do wagonu wraz z swoją nową pracodawczynią i udała się do objęcia obowiązków.

Wypadkowym sposobem dowiedział się pan Kamiński o odjeździe Zosi z Lipowa. Powracając z miasta spotkał pana Leona, który zapewniwszy go, że panie już zdrowe, i że nerwy ich są zupełnie spokojne, zaprosił go do siebie na chwilę.

Istotnie panie wyglądały bardzo dobrze. Pani Anna była w doskonałym humorze, a baronówna wesola i uprzejma jak nigdy. Grała, śpiewała i ba-

wiła gości wesołą, dowcipną rozmową. Kamiński wszakże coraz na drzwi spoglądał, jakby spodziewając się, że wnet nadejść powinna ta, którą tak gorąco widzieć pragnął.

Nie mogąc się przyjścia Zosi doczekać, zwrócił się z zapytaniem wprost do baronówny.

— Proszę pani — rzekł — czy panna Zofia nie będzie dziś widzialna?

Ruda piękność zmarszczyła brwi.

— Przepraszam — rzekła — o kogo panu idzie?... kto jest panna Zofia?

— Dziwne pytanie! nauczycielka pani siostrzeniczek, wszak nie ma innej panny Zofii w Lipowie.

— Wybaczy pan, ale ta osoba nie zajmowała i nie zajmuje mnie wcale. Jeżeli jednak zależy panu co na tej wiadomości, to mogę panu powiedzieć, że owa panna opuściła już Lipów i wyjechała.

— Dokąd? — zawołał zdumiony Kamiński.

— Nie umiem pana objaśnić. Nie byłam w stosunkach przyjaźni z tą damą; nie pytałam jej z kąd przybyła, ani też nie byłam ciekawa wiedzieć dokąd ma zamiar się udać.

Kamiński wargi przygryzł ze złości.

— Ale — rzekł — może pani wiadomy jest powód nagłego wyjazdu panny Zofii?

— Nie wiem, doprawdy... podobno jakiś skandalik, romans, czy coś podobnego.

— To nieprawda! — zawołał z oburzeniem.

Baronówna podniosła się z krzesła.

— Samo oburzenie pańskie — rzekła — dowodzi że to prawda. Te panie mają zawsze swoich rycerzy...

Z temi słowy panna Franciszka opuściła salon.

Kamiński udał się z zapytaniem do pani Anny, ale ta ogólnikami go zbyła i właściwie nie się od niej dowiedzieć nie mógł.

Pozostał jeszcze pan Leon.

Wyszedłszy z nim do ogrodu, Kamiński indagacyę rozpoczął:

— Bo to widzi sąsiad kochany — tłumaczył się Kramarzewski — kto z kobietami dojdzie do ładu? Najmniejsza bagatelka, pozór... coś takiego i o to awantura gotowa! Przywidzenia, halunacye, histerye, a rezultat zawsze niedobry... Przekonany jestem, że to nerwy, daję słowo, nerwy... nic więcej! Nieraz zastanawiam się nad tém, dlaczego właściwie człowiek nerwy posiada? bo rozumiem, że płuca, mózg, serce są to organa ważne, niezbędne do utrzymania życia, ale nerwy!...

To objaśnienie nie wystarczyło Kamińskiemu.

— Proszę pana — rzekł poważnie — nerwy nie mają żadnego związku z przedmiotem, o którym pragnę mówić i ostatecznie nie widzę powodu, dla którego byś pan mógł odmówić wyjaśnienia, o jakie proszę. Wolno paniom mieć swoje, jak pan nazywa, halunacye i histerye, ale my mężczyźni powin-

niśmy mówić spokojnie i trzeźwo. Powiadam pannę, że była nauczycielka pańskich dzieci obchodzi mnie bardzo, że znalazłem blisko jej rodziców, że wreszcie jest to osoba nieszczęśliwa, której należy dać pomoc i opiekę... dlatego też proszę pana i zaklinam na honor, zechciej mi powiedzieć co się z nią stało i gdzie ona jest obecnie?

— Na drugie pytanie odpowiedzi dać nie mogę, gdyż nie wiem dokąd się panna Zofia udała. Odesłałem ją do najbliższej stacyi pocztowej, to jest fakt... Prawdopodobnie pojechała karetką do Warszawy. Przy odjeździe o dalsze zamiary nie śmiałem jej pytać, zanadto była zmartwiona i znębiona. Na pierwsze pytanie odpowiem szczerze i całą prawdę. Zechciej pan usiąść tu na ławce i słuchaj. Dodać winienem, że co się stało, to się stało wbrew mojej woli, że samo wspomnienie tego przejścia przejmuję mnie żalem, ale zechciej pan wejść w moje położenie... musiałem ustąpić, nie mogłem podejmować walki nierównej i nieprowadzącej do celu, bo gdybym nawet użył swojej powagi i postawił stanowcze *veto*, to, przynasz pan sam, w niczem a w niczem nie ulżyłoby ciężkiego losu panny Zofii. Nie mogłaby wytrzymać w tym domu. Słuchajże pan...

Tu Kramarzewski powoli, ze szczegółami wszystkiemi, opowiedział historję owego upalnego dnia, burzy domowej, naturalnej burzy i zmarnowanego chłodnika.

Kamiński, wysłuchawszy relacyi, potrzebował użyć całej siły woli, aby nie dać poznać tego, co się w jego sercu dzieje.

Pożegnał państwa Kramarzewskich z mocnym postanowieniem, że więcej noga jego w Lipowie nie postanie i udał się do domu.

Tam, zaraz drugie konie zaprządź kazał i na całą noc ku Warszawie podążył.

Gmach jego marzeń i nadziei odrazu w gruzy się rozpadał, plan ułożony tracił wartość, cel oddalał się coraz bardziej. Zajście w Lipowie stawiało pomiędzy nim a Zosią trudną do zwalczenia przeszkodę.

Kamińskiemu w głowie huczało jak we młynie, ciągle miał przed oczami bladą twarzyczkę Zosi— Postanowił gonić ją, szukać i znaleźć, choćby na końcu świata... wyznać jej swoje uczucia i wprowadzić ją do swego domu, jako żonę swoją, przybraną matkę dla dzieci... Zakończyć raz jej tułactwo i cierpienia.

Przez całą noc oka nie zmrużył, pomimo, że droga była przykra i nużąca. Układał plany poszukiwań, które pragnął natychmiast rozpocząć; droga wydawała mu się nieskończenie długą.

Sądząc, że kareta pocztową nie dojedzie dość prędko, wysiadł na jednej stacyi i wziął extrapocztę. Przeplacał pocztylionów, aby śpieszyli i nareszcie po kilkunastu godzinach forsownej jazdy, ujrzał

wieżyce Warszawy, nad któremi unosił się, jak zwykle, obłok dymu.

— Tu ją znajdę! — myślał — tu ona być musi... przez tak krótki czas nie zdążyłaby dostać posady.

Przypuszczał, że Zosia zatrzymała się u Pętlickiej, tój pocziwěj kobieciny, u której przed niedawnym czasem schronienie znalazła.

Kazał pocztylionowi wprost na Stare Miasto zjechać.

Na domu, który doskonale pamiętał, nie było już owego szyldziku, wyobrażającego „magiel wiedeński“, a z zebranych naprędce informacyj dowiedział się Kamiński, że Pętlicka magle sprzedała, wyniosła się całkiem z Warszawy i przy dzieciach na prowincyi osiadła.

Trzeba było szukać inněj drogi. Naturalnie, nie trudno się było domyśleć, że Zosia nie inaczej jak za pośrednictwem kantorów posady szukała, natychmiast więc, nie posiliwszy się, nie spoczawszy po drodze, puścił się Kamiński na poszukiwania. Chodził od kantoru do kantoru, dopytywał, badał, aż nareszcie znalazł upragnioną wiadomość.

Postanowił jechać natychmiast.

Pobiegł do hotelu i przebrał się. Głód mu dokuczał; istotnie człowiek ten od dwudziestu czterech godzin nie miał nic w ustach. Zeszedł na dół do restauracyi hotelowěj i kazał sobie obiad podać.

Siedział sam przy osobnym stoliku i rozmyślał o świeżo zaszłych wypadkach, o celu poszukiwań, o tój ślicznej, bladėj dzieweczce, którėj obraz nieustannie miał przed oczami.

Nareszcie wie już gdzie jest... Pojedzie do niėj zaraz, natychmiast, wyzna jėj swoje uczucia, rozpocznie nowe, szczęśliwe życie.

W tėj chwili jednak w duszy jego rodzić się zaczęły pewne wątpliwości... Zkąd pewność, że Zosia wyznanie dobrze przyjmie, że na uczucie uczuciem odpowie, że zgodzi się pójść z nim ręką w rękę, przez całe życie na złą i dobrą dolę. Któż za to zareczy?... a może sama jego bytność u niėj, sama rozmowa z nią stanie się, jak w Lipowie, przyczyną utraty posady, powodem do nowych zmartwień, może tak jak poprzednio, pozbawi ją kawałka chleba i dachu nad głową

— Nie! na to jėj narażać nie można.

Kamiński wybrał inną drogę. Postanowił poprosić siostrę swoją, panią Władysławę, aby pojechała do Zosi, wybadala ją, rozmówiła się szczerze i otwarcie. Pani Władysławie, jako kobiecie, łatwiej to będzie, przytém i wizyta jėj żadnych podejrzeń nie wzbudzi.

Pobiegł natychmiast do siostry, rozmawiał z nią długo i szczerze, a znać trafił jėj do przekonania, gdyż jeszcze tego wieczora energiczna kobieta wybrała się w podróż.

Brat odprowadził ją na dworzec kolejowy, usadził w wagonie, a gdy pociąg ruszył, powrócił do miasta i w największym niepokoju oczekiwał wieści z Kalisza.

Siostra przyrzekła mu najsolennie, zaraz po zobaczeniu się z Zosią, wysłać telegram—tymczasem minęło już dwie doby, a upragnionej depeszy nie było.

VIII.

Ulica była pierwszorzędna, dom okazały, państwo Steinhaus zajmowali apartament na piéwszém piétrze, na dole znajdował się tak zwany kantor, w którym załatwiano rozmaite interesa finansowe, mniej lub więcéj ryzykowne, ale zawsze korzystne, bo szef, domu „Steinhaus et Comp.“ miał nos i lubił się chwalić z tém przed ludźmi. Wiedział co kiedy kupić, co sprzedać, prowadził dom okazale, a chociaż parokrotnie mówiono o nim, że się chwieje, jednak pogłoski nie sprawdziły się i firma istniała.

Pani Władysława wchodziła powoli po wygodnych schodach na piérwsze piétro.

Była godzina piérwsza w południe.

Na odgłos dzwonka otworzył drzwi służący w dość zakurzonym fraku i zapytał.

— Do kogo pani ma interes?

— Chciałabym się widzieć z guwernantką państwa Steinhaus.

Służący spojrział na nią uważnie.

— Zdaje mi się, że wyszła — rzekł — ale pójdę zobaczę...

Po chwili powrócił.

— Guwernantka wyszła z panienkami, ale zaraz wróci. Niech pani pozwoli do salonu, sama pani Steinhaus o to prosi i także zaraz przyjdzie.

— Nie chciałabym samęj pani trudzić, bo mam tylko do guwernantki interes.

— Ale proszę! proszę! — odezwał się głos z sali — dlaczego pani nie ma spocząć? Panna Zofia zaraz przyjdzie. A może pani ma jakie sekreta dla panny Zofii?

— Nie mam jęj do powiedzenia nic takiego, czegobym wobec pani powtórzyć nie mogła — rzekła z powagą pani Władysława. — Osobiście prawie jęj nie znam i proszona jestem tylko, aby zakomunikować jęj niektóre wiadomości od krewnych.

— Ach! więc pani nie tutejsza?

— Mieszkam w Warszawie.

— Przepraszam, że ja panią tak wypytuję, ale rozmaicie bywa, a mając dobrą nauczycielkę, nie chciałabym jęj utracić.

— Nie rozumiem pani; nie mam ani kantoru stręczeń guwernantek, ani nie potrzebuję nauczy-

cielki do własnych dzieci, gdyż mam tylko jednego chłopczyka.

Pani Steinhaus zmierzyła mówiącą od stóp do głów i przegląd ten widocznie wypadł dla pani Władysławy dość korzystnie.

Małżonka finansisty dopytywała o nowinki warszawskie, o teatr, opowiadała przytém o swojém nadwątloném zdrowiu, zamiarze wycieczki za granicę do wód, co wprawdzie bardzo drogo kosztuje, ale przy jej bogactwach nie sprawi wielkiego kłopotu.

Upłynęło z półgodziny na takięj pogadance, a tymczasem Zosia z dziećmi wróciła ze spaceru.

— Teraz — rzekła pani Steinhaus — może pani zobaczyć naszą nauczycielkę... Jan! — zawołała na służącego — zaprowadź panią do guwernantki.

Pokoik Zosia zajmowała maleńki, pokoik po nury, z jednëm oknem, wychodzącëm na podwórze.

Wizytę przyjęła z pewnëm niedowierzaniem, a nawet jakby z niechęcią, ale szczere, serdeczne odezwanie się pani Władysławy wnet rozbroiło dziewczynę. Pierwsze lody zostały przełamane, znajomość zawarta.

— Pani przejeżdża zapewne przez Kalisz? — zapytała Zosia.

— Nie! przybyłam tu naumyślnie i jedynie do pani.

— Jedynie do mnie?

— Tak jest, naumyślnie i jedynie do pani...

Zosia zrobiła wielkie oczy.

— Panno Zofio, mam ci dużo, a dużo do powiedzenia! Przychodzę z dobrém słowem, z sercem, z pociechą, której w twojém położeniu tak bardzo potrzebujesz. Brat mój stał się mimowoli powodem wielu przykrości dla ciebie...

— Istotnie, przecierpiałam bardzo wiele, ale pana Kamińskiego o to nie obwiniam. On chciał jak najlepiej dla mnie... dla mojej biednej matki. Okazał mi tyle życzliwości, tyle dobrego serca, że mu do śmierci wdzięczną pozostanę. Nie jego wina, że źli ludzie...

— To, co pani mówi, dodaje mi otuchy.

— Otuchy?

— Tak!.. Mam dużo do powiedzenia i, jak powiedziałam, przychodzę z życzliwością i z sercem. Może przeprowadzenie misyi, dla której tu przybyłam, wymagało-by pewnej dyplomacyi, ale wybacz... nie jestem na dyplomatkę stworzona, lubię iść prostą drogą, mówić co myślę i jak myślę.

— Doprawdy, zrozumieć nie mogę, co pani chce powiedzieć.

— Zrozumiesz, zrozumiesz pani, tylko poświęć mi chwilę czasu i wysłuchaj. Wszak to do niczego nie obowiązuje. O jedno tylko proszę: szczerłość za szczerłość. Czy zgoda?

Zosia skinęła głową w milczeniu i patrzyła na mówiącą szeroko otwartemi oczami.

— Przedewszystkiem pani, Zosiu, jeżeli pozwolisz się tak nazwać, weź to na uwagę, że ja nie jestem ci tak obca, jak sądzisz. Niegdyś rodziny nasze były z sobą w bardzo dobrych stosunkach, a brat mój, pomimo znacznej różnicy wieku, był serdecznym przyjacielem twego ojca... Gdyby nie nieszczęśliwe wypadki, które wszystkimi i wszystkim tak silnie wstrząsnęły, może spotykałybyśmy się dziś w zupełnie innych warunkach, może-by nas tylko miedza rozdzielała. Stało się. Dziś, ty biedaczko, z żalem wspominasz dawne swoje kąty i tułać się musisz po świecie z nieustanną myślą o chorąg matce, o siostrze...

W oczach Zosi błysnęły łzy, pani Władysława mówiła dalej:

— Dziś łączy nas pokrewieństwo niedoli i nieszczęścia, a takie węzły powinny być silne, silniejsze może od innych. Czy znasz dzieje naszej rodziny, historię mojego brata?

— Wspominał mi w kilku słowach.

— Wierzę, bo on dużo mówić nie lubi, a zwłaszcza o sobie. I ja nie będę ci opowiadała szczegółowo tego ciężkiego dramatu. Utracił żonę w sposób okropny, w płomieniach. Utracił kobietę, do której był szczerze przywiązany i został z dwójkiem dzieci sam jeden. Nie mówię już o stratach

majątkowych, nie mówię o osobistych różnych przejściach, jakie znieść musiał. Nie oszczędzało go życie. Biedny człowiek! tyle musiał przeżyć, tyle przeboleć, przecierpieć — i wierz mi, moja droga, że z tej twardej szkoły nieszczęść, w której niejeden padłby zupełnie złamany, albo puścił się z rozpacz na bezdroża, brat mój wyszedł czysty i pełen mocy ducha...

Powiedziawszy to, pani Władysława umilkła i po dłuższej pauzie ciszej mówić zaczęła:

— Wielkie to były nieszczęścia, ciężkie ciosy, ale, jak ci powiadam, brat mój zniósł je jak na mężczyzną i człowieka z charakterem przystało. W pracy szukał zapomnienia i ulgi i, do pewnego stopnia przynajmniej, znalazł je. Czas jest lekarzem, który goi najboleśniej rany... Mówiłam też zawsze bratu memu, że jest jeszcze młody, że ma prawo do szczęścia, że wreszcie nowy związek nie ubliży pamięci tamtej... nieszczęśliwej, że przeciwnie, da jej sierotom opiekunę. Brat z początku słuchać o tém nie chciał, ale od niedawnego czasu zmienił zdanie. Znalazł osobę, dla której serce jego żywiej uderzyło.

— Więc żeni się pan Kamiński? — zapytała Zosia z ciekawością.

— Przynajmniej marzy o tém... Zmiana, jaka w usposobieniu jego zaszła, zmiana, z której ja, jako

jego siostra, ucieszyłam się szczerze, datuje się od chwili owéj, kiedy, jeżeli przypominasz sobie pani, jechaliście razem do Warszawy omnibusem pocztowym. Odrazu wzbudziłaś w nim sympatyę, która z czasem zamieniła się w trwałe i poważne uczucie.

— Ja? co téż pani mówi?

— Panno Zofio! obiecałaś słuchać cierpliwie zatem wysłuchaj do końca. Nie będę przedłużała téj rozmowy, powiem krótko... brat mój kocha cię, a ja przybyłam umyślnie, aby ci to w jego imieniu oświadczyć i prosić o twoją rękę. Zostań jego żoną, to człowiek uczciwy i godzien szacunku. Będziesz w nim miała wiernego przyjaciela i towarzysza życia. Twoja tułaczka się skończy, będziesz miała przy sobie matkę, którą on kochać będzie jak własną, siostrę, dla której zostanie bratem... Milczysz pani, nie chcesz mi odpowiedzieć...

Zosia miała oczy pełne łez.

— Pani! — odrzekła po chwili namysłu — cóż tu odpowiedzieć?! Dla biednej nauczycielki, sierochy, jest to los, który można przyjąć z wdzięcznością, témbardziej, że brat pani umie wzbudzić sympatyę i szacunek.

— Więc przyjmujesz? — zawołała pani Władysława z radością i rzucając się na szyję Zosi—więc przyjmujesz, moja śliczna, kochana siostrzyczko?

— Nie nazywaj mnie pani tém imieniem. Ja wam, to jest i tobie pani i jéj szlachetnemu bratu,

z całego serca, z całej duszy dziękuję, ja wam będę do końca życia wdzięczna, ale... pozwólcie mi pójść własną drogą, pozostawcie mnie własnemu losowi.

— Dlaczego? na miłość Bożką! dlaczego?

— Szczerłość za szczerłość... wszak o to prosiłaś pani. Gdybym była wolną, nie odrzuciłabym pocziwych serc waszych. Mówią, że miłość na zawołanie nie przychodzi, ale ponieważ żywię dla brata pani głęboki szacunek, więc z całym zaufaniem dałabym mu rękę, gdybym była wolną, jak powiadam.

— Alboż jest inaczej?

— Tak, pani. Ten, który miał być moim mężem, znajduje się ztąd daleko, bardzo daleko, burza porwała go jak liść z drzewa i uniosła w inne strony. Niewiadomo kiedy powróci ztamtąd, niewiadomo nawet czy powróci, ale sumienie nakazuje dotrzymać mu słowa. Patrz pani, ten maleńki pierścionek, z którym nie rozstaję się nigdy, od niego pochodzi. Sądzę, że nie będziesz pani starała się przekonać mnie, że mogę słowo złamać.

— Biedne dziecko — rzekła pani Władysława z westchnieniem — biedne dziecko! a jeżeli on zapomni, już zapomniał, jeżeli znalazł szczęście w innym związku?

— Zdaje mi się, że nie. Wprawdzie, dawno już listu od niego nie miałam...

— A widzisz!

— Jeżeli zapomniał, to jego rzecz — moja zaś dotrzymać.

Tu Zosia opowiedziała pani Władysławie króciuchną sielankę swój bardzo wczesnej młodości, miłość kilku dni słonecznych, które przerwała burza i po której rozpoczęło się jednostajne pasmo dni szarych, posępnych, smutnych.

— Więc z niczém odjadę, droga Zosiu — spytała siostra Kamińskiego — nie będę zwiastunką szczęścia dla niego...

— Zawieź mu pani odemnie serdeczny uścisk dłoni, podziękowanie za dobre serce, jakie okazał sierocie, zawieź mu szacunek mój i przyjaźń, ale sama widzisz, że nie więcej nad to dać mu nie mogę.

Z ciężkiem sercem, a podwójną życzliwością i szacunkiem dla Zosi, opuściła pani Władysława Kalisz i podążyła ku Warszawie, aby zwiastować smutną nowinę bratu.

Zastała go na dworcu kolejowym, gdzie z niecierpliwością oczekiwał na pociąg. Odrazu z wyrazu twarzy siostry poznał, że nic dobrego nie przywozi, przez drogę do domu wysłuchał relacyi spokojnie, nie zdradziwszy nawet jedném westchnieniem ile cierpi.

— Ha, trudno — rzekł całując rękę siostry — widać nie przeznaczono mi szczęścia na tej ziemi.

Dziękuję ci Władziu za trudy twoje i bądź zdrowa...

— Odjeżdżasz już? — zapytała.

— Tak! jadę. Czegóż tu mam siedzieć, moja droga, trzeba do domu. Zagrzebać się w gospodarstwie, w książkach, wegetować, aby dalej, aby dalej, aby z dnia na dzień, z roku na rok. O jedną łaskę cię proszę tylko siostró... utrzymuj stosunek listowny z Zosią. Wiedzmy przynajmniej gdzie jest i w razie potrzeby przyjdziemy jęj w delikatny sposób z pomocą.

Pani Władysława przyrzekła, że to uczyni, a on pojechał.

Przybywszy do domu, zamknął się, przestał bywać w sąsiedztwie, a Kramarzewskiego, którego panna Franciszka z nadzwyczajną misją wysłała, przyjął tak kwaśno i chłodno, że dziedzie Lipowa postanowił dalszych prób zaniechać.

W okolicy zaczęły krążyć pogłoski, mówiono, że Kamiński zdziecinniał, inni twierdzili, że melancholji dostał, ale ani jedno, ani drugie przypuszczenie nie było blizkie prawdy; on tylko zamknął się w sobie, pracą starał się przewyciężyć smutek, pracował dużo, dużo czytał i z domu nie oddalał się wcale. Zawiązał też korespondencyę w celu dowiedzenia się o swym rywalu; nie było to wprawdzie trudne, gdyż w owych stronach odległych miał

wielu znajomych i przyjaciół a nawet i krewniaków, ale list w tamtę stronę szedł kilka miesięcy, w najlepszym nawet razie zaledwie za pół roku można się było odpowiedzi doczekać.

Pobył Zosi w Kaliszu długo nie trwał.

Pan bankier, którego dzieci kształciła, zrobił kilka mniej fortunnych operacyj, a czując, że mu się chwieje grunt pod nogami, wolał się zawczasu z interesów wycofać. Jakoż wycofał się tak zgrabnie, że wierzyciele nie spostrzegli się nawet, jak zniknął pewnej nocy, wraz ze swoją rodziną, zabrawszy wszystkie kapitały i pozostawiwszy jedynie ruchomości.

Zosia naraz znalazła się znowu bez miejsca, ale to trwało niedługo. Zapoznała się z jedną rodziną, wyprowadzającą się za chlebem bardzo daleko w głąb Cesarstwa i przyjęła u niej obowiązek nauczycielki.

Na krótko pojechała do matki, pożegnała ją, oddała jej wszystkie swoje oszczędności, ucałowała jej ręce stokrotnie i ze ściśniętym sercem, tłumacząc, że bardzo niedaleko wyjeżdża, opuściła rodzinne strony.

Do pani Władysławy napisała kilka słów serdecznych i potem już nie dawała o sobie znaku życia.

Tak przeszły trzy lata.

IX.

Pani Władysława kończyła swoją pracę dzienną. Panny porozchodziły się, służąca sprzątała porzucane skrawki i gałganki.

Był wieczór zimowy, mroźny, na ulicach już ruch ustawał, bogatsi siedzieli w teatrach, lub wybierali się na zabawy, ubożsi tulili się w izbach przy piecach, sklepy już zamykano.

Pani Władysława wzięła się do swojej książki rachunkowej, lecz gdy zaledwie zaczęła cyfry podsumowywać, brzęk dzwonka w przedpokoju przerwał jej tę robotę.

— Pójdź-no! — rzekła niecierpliwie do służącej — zobacz kto tam dzwoni i czego chce o tak późnej porze?

Służąca wróciła za chwilę.

— To, proszę pani, siostra przysłała i koniecznie chce się z panią widzieć.

— Jako? panna Elżbieta przyjechała?

— Ale nie! siostra, proszę pani, prawdziwa siostra... powiada, że ze Świętego Ducha.

Pani Władysława zerwała się z krzesła i wprowadziła przybyłą do pokoju.

Była to siostra miłosierdzia, w szaręj grubęj sukni, w czepcu w wielkiem skrzydłami.

— Wybacz pani — rzekła, spuszczać oczy ku ziemi — że niepokoję, a może pracę przerywam, ale przysłała mnie osoba, której chwile może są już policzone.

— Na Boga! o kim pani mówisz?

— Od tygodnia leży u nas w szpitalu młoda osoba, bardzo nieszczęśliwa, nie pod względem materialnym, gdyż złożyła fundusik na opłatę za oddzielny pokój, lecz nieszczęśliwa pod innymi względami. Z małemi przerwami jest prawie ciągle nieprzytomna, a z tego, co bredziła w gorączce, możnaby sądzić, że ją jakieś wielkie nieszczęście spotkało, mówiła o pogrzebie matki..

— Jak się nazywa? — spytała pani Władysława.

— Nie pamiętam doprawdy, wiem, że ma imię Zofia, miła blondyneczka z niebieskimi oczami.

— Ach! to już wiem kto! Natychmiast śpiemy do niej siostró, nie tracąc ani chwili.

— O! niech pani pośpieszy. Właśnie przed godziną biedaczka odzyskała przytomność, przyzwała mnie do siebie i rzekła: Jedną mam tylko ży-

czliwą istotę w Warszawie (tu wymieniła nazwisko pani i adres), jedź, powiada, siostró, poproś ją do mnie... kto wie, co mnie czeka, może już jutro skończą się moje cierpienia“.

— Czy istotnie tak groźna choroba?

— Zapewne, doktorzy z powątpiewaniem kiwają głowami, ale Pan Bóg może poratować.

— Masz słusność, siostró, w Nim tylko nadzieja.

— Modłę się też codzień o zdrowie dla tój biedaczki... W drugim dniu choroby, gdy miała przytomność, wypytywała mnie o warunki przyjęcia do naszego zgromadzenia, mówiła, że pragnie siostrą miłosierdzia zostać. Tłómaczyłam jęj, że ma zbyt wątłe zdrowie i siły do tego obowiązku... Później gorączka się wzmogła i już nie mówiłyśmy o tём.

Ta rozmowa prowadzoną już była w doróźce, która niebawem zatoczyła się przed gmach szpitalny.

Ze ściśniętém sercem, ze łzami w oczach szła pani Władysława przez długie kurytarze szpitalne, poprzedzana przez siostrę miłosiedzia.

Piérwszy raz znajdowała się w takim przybytku boleści i niemocy, zdawało jęj się, że blade widmo śmierci przechadza się po tym wielkim gmachu i czycha na swe ofiary. Zdawało jęj się, że przez drzwi, koło których przechodziła, słyszy westchnienia i jęki.

Spotkała kilka zakonnice, jak przesuwały się cicho po kurytarzu, w swoich białych czépcach skrzydlatych, oraz młodego studenta, który biegł rażno, nucąc półgłosem aryę z najnowszej operetki... Widziała także posługaczów apatycznych, sennych, przyzwyczajonych do widoku cierpień i śmierci.

Zdawało się, że długie kurytarze nie mają końca, że ten przybytek jęków, to niby olbrzymi labirynt, z którego wyjścia nie ma.

Nareszcie doszły do celu.

Zakonnica otworzyła drzwi bez szelestu i skinęła na swą towarzyszkę.

Weszły.

Zosia leżała na łóżku z przymkniętymi oczami, tylko miarowe wznoszenie się i opadanie piersi świadczyło, że życie z niej jeszcze nie uciekło. Piękna jej twarzyczka o delikatnych rysach wyglądała jakby wyrzeźbiona z kararyjskiego marmuru. Nad białem czołem wiły się sploty jasnych włosów, rozrzucone w nieładzie. Ręce jak u dziecka drobne i wychudłe skrzyżowała na piersiach.

Pani Władysławie łzy zakreśliły się w oczach.

— Zosiu! droga Zosiu! — szepnęła.

Odpowiedzi nie było.

— Usnęła... — rzekła zakonnica szeptem — ale się zaraz przebudzi; sen ma przerywany, krótki. Niech pani siądzie tu przy niej... Ot tak, do światła, żeby panią lepiej widzieć mogła.

Istotnie chora westchnęła i otworzyła oczy.

Na widok przybyłej błysnął w nich promyk radości. Wzięła rękę pani Władysławy i przycisnęła ją do ust.

— Byłam pewną, że pani przyjdzie — rzekła — byłam pewną, chociaż nie zasłużyłam na tyle dobroci.

— O, moje dziecko, czemuś nie dałaś znać weześniej?... Byłabym cię wzięła do domu, pielęgnowała z całą troskliwością... Nie mogę pozwolić, żebyś leżała tu. Jutro, jeżeli doktorzy pozwolą, zabiorę cię do siebie.

— O nie! nie trzeba!... mnie tu dobrze. Siostra Zofia jest dla mnie prawdziwym aniołem opiekuńczym, bo ona także Zofia... ma takie imię jak ja i taka sierota jak ja... i matkę straciła niedawno... także jak ja. Nie bierz mnie pani ztąd, tu dobrze, spokojnie, cicho...

— Nie mów tak dużo, Zosiu, to cię męczy.

— Masz pani słuszość, doktor to samo powiada, ja też długo pani nudzić nie będę. Tu pod poduszką są papiery, weź je pani do siebie. Jeżeli powrócę do zdrowia, oddasz mi je... jeżeli zaś umrę, spalisz...

— Ależ ty żyć będziesz, drogie dziecko, na szczęście własne i drugich.

— Bóg to wie jeden... weź pani te papiery,

przeczytaj je, one ci powiedzą i wytłomaczą wszystko, powiedzą więcej niż ja sama, bo nawet i mówić mi trudno.

— Nie wysilaj się też, nie mów, próbuj usnąć, może cię sen pokrzepi. Biedne dziecko, potrzebujesz nabrać sił.

— Sił! — rzekła ze smutnym uśmiechem Zosia — tak, sił! Zdawało mi się, że mam ich wiele, bardzo wiele, a jednak, gdy mi serce zakrwawiono, życie złamano, gdy w jednym prawie dniu utraciła wszystko, co miałam najdroższego na ziemi, pokazało się, że moje siły były tylko złudzeniem, że wątpiła i słaba zламаłam się odrazu pod tym ciężarem... Sił fizycznych zabrakło... a dusza!

— Bóg dodaje mocy cierpiącym i pomaga nieść krzyże, które na nich zsyła — odezwała się siostra miłosierdzia — błogosławieni którzy cierpią...

— O tak! — odrzekła Zosia, wznosząc śliczne swe oczy ku górze — błogosławieni, którzy cierpią, masz słuszność siostrzo, prawda, prawda... Cierpienie ma swoją poezję i swoje uroki; ale ja bym wolała nie cierpieć... Wolałabym być przy matce mojej oprzeć głowę na jej ramieniu, wyzalić i wypłakać się... wolałabym ludzię się do końca życia, czekać do końca życia i wierzyć.

Mówiąc to, chora przymknęła powieki; na twarzy jej wykwitły silne rumieńce, usta były suche, wychudłe białe paluszki poruszały się nerwowo.

— Znów gorączka — szepnęła zakonnica, po-

chylając się nad chorą. — Niestety, znowu gorączka.

— Powiedźcie mi wy... — szeptała Zosia — powiedźcie ludzie mądrzy... uczeni tego świata, powiedźcie czy to prawda, że są takie mrozy, które mogą serce wyziębnić, pamięć odebrać, serce wystudzić i w bryłę lodu je zamienić? Czy są?... Ja wiem że są... Gdzieżeś matko moja? Tam wysoko, wysoko... prawda, że tam nie ma ani łąz, ani zawodów... ani boleści? Weź mnie do siebie, weź mateczko, zabierz dziecko twoje. Tyś mnie porzuciła, on zapomniał, nie ma już dla mnie nic na tej ziemi, weź mnie matko do siebie...

— Zawsze tak, rzekła zakonnica — leży cicho, bez jęku i skargi; gdy zaś w gorączkę zapadnie, wnet o matce, lodach i mrozach opowiada. Musiała biedna wiele przecierpieć.

— Co doktorzy mówią? — spytała pani Władysława — co mówią? Proszę o szczerą odpowiedź.

— Robią, co mogą; młodość choréj, jéj siły, oto cała nadzieja.

Pani Władysława przypatrywała się bacznie choréj, którój usta poruszały się ciągle. Był to jednak szept tak cichy, że najbystrzejszy słuch nie mógł pochwycić pojedynczych wyrazów.

— Niech pani jedzie do domu — rzekła zakonnica — ja tu będę czuwała przez noc całą. Jutro pani może zajrzy.

— Ależ i jutro i pojutrze i codzień... Nawet mam szczerą ochotę zabrać ztąd tę biedaczkę do siebie.

— Nie radzę pani, przynajmniej dopóki polepszenie nie nastąpi. My czuwać nad nią będziemy, w domu saméj jednéj pani byłoby trudno.

— Droga siostrzo, szczególnéj opiece twojéj ją polecam. Na wszelkie wydatki fundusz dam, co tylko będzie potrzeba. Ratujcie ją tylko, ratujcie. O gdybyś wiedziała... jak komuś drogiem jest to życie zagrożone, o gdybyś wiedziała...

— Wierzę pani, ale zapewniam zarazem, że bez próby pani będziemy jéj strzegły jak oka w głowie — to obowiązek nasz i jedyny cel życia.

— Szlachetny, piękny obowiązek! Siostrzo, wszak chora nie obudzi się, jeżeli pocałuję ją w czoło? powiedz jéj jutro, jak przytomna będzie, żem ją pożegnała jak siostra... jak siostra, proszę pamiętać.

— Wszakże to zapewne krewna pani?

— Tak — rzekła po chwili wahania się — tak! ona jest bliska memu sercu, bardzo bliska.

Siostra miłosierdzia przeprowadziła panią Władysławę napowrót przez długie kurytarze szpitalne, aż do przedsionka.

Téj nocy pani Władysława nie spała zupełnie. Rozwinęła papiery, dane jéj przez Zosię i pograżyła się w czytaniu.

Wszak była upoważniona do tego, a owe papiery miały zastąpić właśnie opowiadanie choréj.

Była to paczka listów, ułożonych kolejno, podług dat. Widocznie były one odczytywane niejednokrotnie i niejednokrotnie wywoływały łzy, bo w kilku miejscach atrament był jakby zmyty.

Listy te pisane były jednakowym charakterem i widocznie wszystkie wyszły z pod pióra jednego i tego samego autora. Sądząc według dat, korespondencya ciągnęła się przez lat cztery z górą—i urwała się nagle... tak nagle... z takim dysonansem niemilym, że pani Władysława zerwała się z krzesła... i nie mogła mimowolnego okrzyku powstrzymać.

W pierwszych listach, kreślonych widocznie zaraz po rozstaniu się, widać było żal, tęsknotę i szczerę, głębokie uczucie.

„Każdy twój list, moja Zosiu—pisał—to promyczek słońca, wpadający do ciemnicy i rozpraszający mroki. Łatwiej się znosi cierpienie, łatwiej pokonywa tęsknotę, gdy się ma takiego anioła pocieszyciela, jak ty! Czém zasłużyłem na to przywiązanie, czém zdobyłem je sobie.”

„Dziękuję Ci za drobny, polny kwiatek, który mi w liście przysłałaś! Biedna, mała roślinka tyle drogi przebyła, aby mi przynieść pozdrowienie od Ciebie i od tych pól szerokich, na których wyrosła. Kto Ci podszeptał myśl, żebyś mi kwiatek przysłała? Ani się domyślasz, jaki to drogi dar dla mnie... Ucałowałem go tysiąc razy... ach! czemuż nie mogę ucałować twych białych rączek“.

„Ty, droga Zosiu — pisał w innym liście — robisz dla mnie więcej niż możesz. Wyrzucona z pod rodzinnej strzechy, poszłaś do obcych ludzi na najniewdzięczniejszy z niewdzięcznych chleb nauczycielki. Ja wiem, że masz całe dnie zajęte, a jednak znajdujesz jeszcze czas na pisanie długich, serdecznych listów. Domyślam się, że czynisz to nocami z krzywdą własnego zdrowia. Nieraz chcę Ci powiedzieć: nie rób tego, oszczędzaj siły, nie psuj tych ślicznych oczu, którym może jeszcze danem będzie szczęście oglądać; nieraz chcę Ci to powiedzieć, ale jednocześnie budzi się we mnie egoizm i myślę z trwogą, co by moje biedne życie było warte bez wymiany myśli z tobą, bez tej pociechy, którą mi prawie każda poczta przynosi“.

„Znowuż kwiatek! kwiatek i listek. Fijołek! Zkąd tam u was biorą się kwiaty tak wcześnie? Ucierpiał w drodze bardzo, zwiądl i prawie szczer-
niał, ale zachował swój zapach przedziwny. Czém Ci odplacę ten dar?²⁴“

„Piszesz, ażebym był cierpliwy, wlewasz mi w serce otuchę, że złe czasy przejdą, że zajaśnieją jeszcze dni spokoju i szczęścia. Każesz mi być silnym i wytrwałym. Ciężko to! Gdyby przynajmniej wiedzieć, ile czasu potrwa rozłączenie? Niepewność nad wszystko gorsza. Dręczy ona strasznie, jak robak toczy serce i odbiera spokój. Po co ja to piszę? Na co zatruwam Ci życie gorzkie

i ciężkie? Alboż ja wiem? Zdaje mi się, że jak wypowiem co mam na sercu, wypowiadam się przed Tobą, wypłaczę, to mi lżej jakoś. Samolubstwo to, egoizm!“

„Donoszę Ci — pisał znów w innym liście— że znalazłem zajęcie. Cieszę się z tego niewymownie, bo prędkiej będzie czas schodził, tém bardziej, że owo zajęcie miało dla mnie zawsze pewien urok... w domu uważałem je za rozrywkę, tu oddam mu się dla zarobku. Zamierzamy w kilku czynić wyprawy myśliwskie. Zmęczenie fizyczne i trudy podobno dobrze działają na cierpienia duszy... Zobaczmy!“

Dalsze listy były coraz krótsze i coraz mniej podobne do poprzednich. Różnica uwydatniała się stopniowo, nietylko w treści samej, ale i w formie, w sposobie wyrażania się, w zwrotach mowy. Pisane były one pośpiesznie, jakby autor ich nie miał czasu, lub chęci, na dłuższą pogadankę.

„Powiadam ci Aniele, że nie masz się o co gniewać. Mówisz żeś zapomniał o Tobie—nie, niezapomniałem. Tylko, że dawniej siadywałem więcej w domu, a dziś to tu, to tam, ciągle w podróży! Czasem to i dwa tygodnie atramentu nie widzę, a Ty się Zosiu gniewasz, że nie pisuję do Ciebie. Nie otrzymałaś listu dziś, to otrzymasz go jutro, nie jutro to pojutrze, ale zawsze otrzymasz. Ty tęsknisz i ja tęsknię“.

„Dziwię się kochanie co ty widzisz w mych listach nienaturalnego. Pisuję je zwykle z pośpiechem, bo mi brak czasu, a przytém i ręka odwykła od pisania. Przysłałaś mi książki do czytania dziękuję ci za nie, będę je czytywał w wolnych chwilach od pracy. Kiedyż my się zobaczymy? Bóg wie... lecz cóż robić, czekaliśmy tyle, przeczekamy resztę”.

„Mam nowe mieszkanie, wprowadziłem się do niego przed trzema tygodniami; pokoik ciepły, wygodny—gospodyni dobra kobiecina, podobno wdowa po majorze — młoda jeszcze, ma dwoje małych dzieci i trochę pieniędzy; mieszka w własnym domu, a i w miasteczku ma drugi dom. Pokoik mój jest przy jój mieszkaniu. Ona pochodzi ze stanu kupieckiego i ma bogatych krewnych“.

Pani Władysława z uwagą i zajęciem wielkiem odczytywała te lisy.

Lampa dopalała się już, płomyk jój bladł coraz bardziej, gasł już prawie. Czytająca nie zważała na to i z gorączkowym pośpiechem wzięła do ręki list ostatni.

Ten był najkrótszy ze wszystkich.

„Nie gniewaj się na mnie za to, o czém ci tu donoszę. Czas już było zakończyć troski i ustalić życie. Myśmy się kochali to prawda, ja i dziś jeszcze kocham ciebie—lecz cóż robić, tysiąc wiorst między nami! Głową muru nie przebijesz, a człowiek się

starzeje. Ożeniłem się więc z moją gospodynią, to bardzo dobra kobietka i z grosiwem. Radzę więc i tobie wyjść zamaż, bo im później tём będzie trudniej. Życzę ci szczęścia i wszystkiego dobrego, a i żona moja zasyła ci ukłony“.

Na tym liście kończyła się korespondencya.

Był jeszcze w papierach jeden dokument — depesza o śmierci matki. Data listu zbiegła się z datą depeszy.

Biedna dziewczyna śpieszyła na pogrzeb, ale nie mogła przenieść tylu wrażeń i złamana, bezprzytomna walczyła między życiem a śmiercią.

X.

Kilka tygodni upłynęło od chwili, w której siostra miłosierdzia wezwała panią Władysławę do Zosi, kilka tygodni niepewności, walki młodych sił życia z niszczącą siłą śmierci.

Młodość zwyciężyła, przemogła chorobę, a na bladłej twarzyczce Zosi zaczęły się ukazywać ledwie dostrzegalne rumieńce.

Pani Władysława była codziennym gościem chorej, otaczała ją najtroskliwszą opieką, czuwała nad nią, jak matka nad dzieckiem rodzoném.

Gdy już lekarze pozwolili Zosi opuścić łóżko, pani Władysława rzekła do niej:

— Droga moja, teraz zabieram cię do siebie. Nie protestuj! Chcesz, czy nie chcesz, ale wezmę cię ztąd.

— Pani...

— O! dajże pokój... Tylem się namartwiła przez czas twojej choroby a teraz, już jesteś blizką wyzdrowienia, miałabym cię opuścić? Nie, Zosiu, tego nie będzie.

— Ja mam przed sobą drogę wytkniętą...

— Istotnie masz ją, moje dziecko. Jak na teraz twoja droga to cisza, wino i wzmacniająca dyeta. Słyszałaś przed chwilą co powiedzieli lekarze.

— Prawda, ale...

— Nie ma ale, żadnego ale nie ma.

— Jabyłm pragnęła.

— Ciekawam co...

— Jabyłm pragnęła wstąpić do zgromadzenia. Nie mam już nikogo z bliskich...

— A siostra?

— Przygarną ją krewni... ja zaś będę służyła nieszczęśliwym!

— Siostrą miłosierdzia chcesz zostać?

— O tak! to moje jedyne pragnienie!

Pani Władysława roześmiała się.

— Śliczna myśl i trzeba ją wykonać jak najprędzej. Taka kolosalna kobieta jak ty, taka silna, będzie mogła czuwać po całych nocach, dźwigać chorych... Wszak prawda? Pokaż no ręce! A widzisz, takimi rękami głazy mogłabyś podnosić.

— Siły wróca! — szepnęła Zosia.

— Ano, nareszcie przyszliśmy do punktu, na którym możemy się porozumić. Siły wróca, dobrze,

niech wróca, ale tymczasem, póki ich nie ma, nie możesz być ani nauczycielką, ani siostrą miłosierdzia, musisz zatem pozostać moją pupilką i jechać do mnie. Później rozporządzisz sobą, jak sama zechcesz.

— Czém ja się pani odwdzięczę?

— W tym razie tylko pośpiechem. Pomogę ci się ubrać. Kareta oczekuje na dole.

— Kareta? po co takie zbytki?

— Moje dziecko, takiego Herkulesa jak ty, inaczej przewieźć nie można, powiew wiatru może ci zaszkodzić.

— Ja pani będę ciężarem.

— Jeżeli go biorę dobrowolnie... Zresztą, pozwól mi mieć swoje fantazyje... ja cię kocham, moja droga, i mam nadzieję, że i ty mnie z czasem...

— Ja panią już bardzo pokochałam...

— Więc jedźmy!

— W tej chwili...

— Uprzedzić cię jednak muszę, moja Zosiu, że przygotowałam dla ciebie niespodzianę.

— Dla mnie?

— Tak jest! Szczególna to niespodzianka, o której się uprzedza, ale z choremu trzeba ostrożnie.

— Czy niespodzianka przykra? — spytała Zosia z uśmiechem.

— O nie! Będiesz nią zachwycona, tylko

przrzecz mi naprzód, że będziesz panowała nad wzruszeniem.

— Tyle już wzruszeń przesłam!

— To, o którym mówię, będzie wzruszenie radosne.

Kareta zatrzymała się, pani Władysława ujęła Zosię za rękę i wprowadziła do mieszkania.

— Oto, moja Zosiu, jest twój pokoik — rzekła. Urządziłam go jak dla rekonwalescentki. Jest sporo kwiatów i dość powietrza, a przytém zupełna cisza, żaden zgiełk nie dochodzi tutaj, chyba szmer maszyn do szycia z pracowni, ale do tego można się przyzwyczaić. W szafie znajdziesz książki, jeżeli czytać zechcesz. Jest ich tam sporo... Przebędziesz w tym pokoju dotąd, dopóki do zdrowia nie przyjdiesz. Siły ci powrócą, myśli swobodniejsze a wtedy postanowisz, co dalej uczynić.

— O, moja pani, czémże ci się odwdzięczę?...

— Sercem się płaci za serce! Już mówiłyśmy o tém... Kochaj mnie, a będziemy skwitowane zupełnie. Jeszcze słowo! Wraz ze zdrowiem wróci twoja wolność, ale ponieważ przypuszczałam, że samą będzie ci smutno, przeto postarałam się o towarzyszkę dla ciebie.

— Ah!...

— Tak i to jest właśnie niespodzianka, o której ci mówiłam. Twoja towarzyszka jest młoda

i bardzo miła dziewczeczka... Pokochacie się od pierwszego wejrzenia... Jestem nawet pewna, że się już kochacie.

— Czy ją znam?

— Zdaje się... ale już ukrywać nie będę. Istotnie miałam zamiar, nie nie mówiąc, nie uprzedzając cię wcale, przyprowadzić ją tutaj, lecz obawiałam się, że nagle wzruszenie mogłoby ci zaszkodzić, lepiej więc będzie, gdy powiem... Zosiu, twoja siostra jest tutaj i ona będzie twoją towarzyszką.

— Helenka! Helenka! Ona tu? nie! to niepodobna!... prowadź mnie pani do niej.

— Jestem, jestem! — zawołała, wbiegając do pokoju młodziutka osoba w czarnej sukni, obszytej szerokim szlakiem krepowym — Zosiu! Zosiu moja!

Obie siostry z płaczem rzuciły się sobie w objęcia, pani Władysława wyszła dyskretnie.

— Zkąd się tu wzięłaś, moja serdeczna — zapytała Zosia, patrząc w oczy siostrze — zkąd się wzięłaś Helenko?

— Wezwana zostałam listownie... Ta poczciwa kobieta w najogłędniejszych wyrazach doniosła mi, żeś chora i prosiła o rychłe przybycie. Czy mam ci opowiadać, jak spieszyłam, jak pragnęłam w jednej chwili być przy tobie, Zosiu. Ty biedaczko, tyś moja opiekunka... teraz jesteśmy same tylko, dwie nas z całej rodziny...

— Biedna mama!

— Zgasła bez cierpień... Ostatnia jęj myśl była o tobie, ostatnie wyrazy zawierały błogosławieństwo dla ciebie. Umarła na mojem ręku. Mówiła, że jedynem jęj cierpieniem jest to, że ciebie niema, że cię nie może ucałować, pożegnać. Były to ciężkie chwile, moja siostró. Gdy matka umarła, wysłałam natychmiast depeszę. Opózniliśmy pogrzeb, czekaliśmy. Sądziłam, że depesza nie doszła, wysłałam drugą do twoich pracodawców z zapytaniem. Nadeszła odpowiedź, że już wyjechałaś... Możesz sobie wyobrazić moją rozpacz, gdy upłynęły trzy, cztery dni, tydzień, a ciebie widać nie było. Pochowaliśmy mamę na cmentarzu, w miejscu, które sobie sama za życia obrała. Jeszcze nie mogłam przyjść do siebie po takiej ciężkiej stracie, po takim ciosie bolesnym, a już ugodził w moje serce drugi... Zaczęłam ciebie oplakiwać, Zosiu.

— O! i miałabyś słuszny powód do tego, gdyby nie Opatrzność Boża, która mi tę złą kobietę zesłała.

— Tyś w drodze zachorowała, Zosiu?

— Tak! Zaraz po otrzymaniu depeszy byłam jak oszołomiona, jechałam do Warszawy prawie nieprzytomna. Jak rozmawiałam, sama nie wiem. Majaczył mi się świst lokomotywy, brzęk dzwonek pocztowych, jakieś miasta, wsie, ludzie, drogi... wreszcie w Warszawie utraciłam zupełnie siły, przytomność. Ktoś się mną zajął, przypuszczam, że chyba

rządca hotelu, w którym stanęłam. Dość, że zawieźli mnie do szpitala. Życie moje wisiało podobno na włosku... ale już przeszło złe... Widzę ciebie moja najdroższa i jestem szczęśliwa... Jakaś ty wyrosła, wypiękniała, Helenko!

— I ty się zmieniłaś, moja Zosiu.

— Po takich przejściach...

— Po przejściach została ci tylko bladość twarzy, ale w oczach zmieniłaś się bardzo!

— W oczach?

— O tak! ja pamiętam przecież dobrze twoje oczy z przed laty, takie zawsze jasne, pogodne... a teraz...

— Znajdujesz w nich zmianę?

— Smutek w nich widzę i żal, a oczy są obrazem duszy... ztąd wniosek, że dusza twoja cierpi.

— Cierpi, moje dziecko, bardzo cierpi.

— Pociesz się, cierpienie to przeminie, przejdzie, nastaną jeszcze dni szczęścia.

— Szczęście... — powtórzyła Zosia z bolesnym uśmiechem na ustach — szczęście... moja droga, gdzie ono? gdzie go szukać... Dla mnie przynajmniej wszelkie nadzieje zniknęły...

Pani Władysława przerwała tę rozmowę.

— O czém siostrzyczki mówią? — zapytała, wchodząc.

— Ciągłe mówimy... — odezwała się młodsza.

— I jeszczeście nie powiedziały sobie setnej części tego, co powiedzieć pragniecie. Wszak prawda, Zosiu?

— Pokazuje się, że nas pani zna wybornie.

Pani Władysława rozśmiała się.

— Czy was znam!? Boże drogi! Przecież i ja byłam kiedyś młoda i miałam swoje marzenia, pragnienia, miałam przyjaciółki serdeczne, przed którymi spowiadałam się ze wszystkich myśli swoich... Nieraz, gdyśmy się zeszły, to końca gawędce nie było... a cóż dopiero mówić o was, o dwóch siostrach, które spotkały się po długim niewidzeniu, po takich ciężkich przejściach. Zdaje się, że przez rok cały miały byście przedmiot do rozmowy.

— Istotnie! — odezwała się Helenka — to prawda.

— Jabym wam nie przeszkadzała, ale obowiązek gospodyni każe mi prosić was do stołu i poetyczny urok waszjej rozmowy przerwać zwyczajną, powszednią prozą życia. Chodźcież się posilić panielki.

Gdy już wszystkie trzy zasiadły przy stole, Zosia odezwała się nieśmiało:

— Jaka ja jednak jestem niedobra i niewdzięczna...

— Dlaczego się tak oskarżasz?

— Doznałam od pani tyle dobrego, tyle poświęcenia a dotychczas zajmowałam panią tylko wyłącznie swoją osobą — nie zapytałam nawet jak się miewa brat pani?

— Mój brat? Dużo-by o tém można powiedzieć. Dziś miał odjechać i zapewne, że odjechał. Może przed półgodziną opuścił Warszawę — dodała, na zegarek spojrzawszy.

— I nie przyszedł pożegnać się z panią?

— Owszem, pożegnaliśmy się na ulicy, w domu u mnie nie był.

— Dlaczego?

— Wiedział, że mam gości i nie chciał im przeszkadzać.

— Ah! doprawdy — zawołała Helenka — to już zbyt uczynna delikatność. Jaki? więc dlatego, że my tu jesteśmy brat pani nie może odwiedzić?

Zosia spuściła oczy.

— Mój brat — rzekła z westchnieniem pani Władysława — jest dziwny człowiek, od niejakiego czasu zwłaszcza, unika ludzi i pędzi życie samotne.

— Dlaczego? — spytała Helenka — cóż mu ludzie złego wyrządzili?

— Złego? nic! ale takie usposobienie, zawsze smutny, zamyślony...

— Przecież pani sama mówiła, że od niejakiego

czasu. Musiała być więc jakaś przyczyna niezbyt dawno.

— Nie wiem...

— Czy bywa brat pani w Lipowie? — zapytała Zosia.

— Od czasu twego wyjazdu, o ile mi wiadomo, nie był ani razu, ale ja wiem co się tam dzieje.

— Dziewczynki zapewne podrosły, były to bardzo milutkie i sympatyczne dzieci. Kochałam je bardzo.

— I miałaś wzajemność... W Lipowie wogóle zmiany niewielkie. Państwo Kramarzewscy wyjeżdżali zagranicę z całym dworem i powrócili niedawno. On doskonale wygląda, ona utyla, a panna Franciszka...

— Ach! panna Franciszka!

— Żali się na losy i dokuczają całemu otoczeniu... Wiesz sama jaki to słodki cukierek...

— Niech jej Bóg przebaczy!... ja staram się zapamiętać.

— Cóż ona ci zrobiła Zosiu? — zapytała Helenka.

— Nie ma o czém mówić... Wyrządziła mi przykrość.

— Czy tylko przykrość! — zawołała pani Władysława — ona ci wyrządziła krzywdę... Taką krzywdę, jakiej nie zapomina się nigdy.

— Powtarzam pani, żem już zapomniała.

— Złote masz serce. Ale ona została ukarana za swoją złośliwość.

— Ukarana? jakim sposobem?

— Choćby tym, że nie osiągnęła celu do którego dążyła, że niegodny postępek nie przyniósł jej żadnej korzyści.

XI.

Przez kilka tygodni, podczas których Zosia znajdowała się ciągle w domu pani Władysławy, Kamiński nie zajrzał do siostry ani razu. Nie chciał się narzucać, wolał pozostać zdaleka i cieszyć się nadzieją, że z czasem, gdy wrażenia bolesne pod wpływem czasu złagodzone zostaną, gdy Zosia uspokoi się cokolwiek — będzie mógł podjąć na nowo starania...

Wolał oczekiwać, aniżeli przyjść w porze niewłaściwej i stracić nadzieję na zawsze... Była ona zbyt drogą dla niego, ażeby ją mógł na jedną kartę postawić.

Zdaleka się więc trzymał i czekał, ufając, że czas najlepszym i najwierniejszym sprzymierzeńcem mu będzie.

W Warszawie bywał często i o ukochanej swojej najbardziej szczegółowe miał relacye. Wiedział, że zdrowie jej z każdym dniem powraca, że na twa-

rzy zaczyna się pokazywać delikatny rumieniec, biała rączka coraz mniej szczupłą, mniej przezroczystą się staje...

I o t \acute{e} m wiedział tak \acute{z} e, \acute{z} e Zosia ju \acute{z} nie płacze tak cz \acute{e} sto, nie zamyśla się jak dawniej godzinami całemi, i \acute{z} e o listach, które pani Władysławie do scho- wania powierzyła, nie wspomina wcale. Były to wiadomości pocieszające, a siostra utrzymywała go ciągle w nadziei, \acute{z} e z czasem cel jego marzeń zosta- nie spełniony.

On ją tak kochał, tę wątłą, bladą dziewczkę, która w sam \acute{e} m zaraniu \acute{z} ycia wyrzucona z rodzin- nego gniazdka, na tułaczkę pomiędzy obcych pójść musiała, która przecierpiała i przeboleła tak wiele. Dotychczas była związana słowem, była narzeczoną innego — dziś zmieniły się rzeczy, tamten stosunki zerwał, porzucił ją na zawsze, c \acute{o} ż wi \acute{e} c na przeszkodzie stać mo \acute{z} e? a jednak Kamiński miał pewne oba- wy. O sobie niewiele rozumiał, w \acute{a} tpił, czy potrafi wzbudzić przywiązanie i uczucie.

W miarę jak Zosi przybywało zdrowia, budziła się w ni \acute{e} j dawna energia. — Nie taka energia, jak ją zwykli ludzie rozumieją, hałaśliwa, głośna, rzuca- jąca się, lecz przeciwnie, cicha i zrezygnowana, ła- godna a wytrwała.

— Dość ju \acute{z} spoczynku! — mówiła sama do siebie — nie mogę być dłu \acute{z} ej ci \acute{e} żarem t \acute{e} j zacn \acute{e} j,

szlachetnej kobiecie, nie mogę jeść jej chleba zapracowanego ciężko... nie!

Upatrzwszy chwilę, kiedy pani Władysława sama się w swoim pokoju znajdowała, Zosia weszła pocichu, ujęła rękę swęj chwilowęj opiekunki i ucałowała ją.

— Zosiu! a to co?

— Podziękować ci przyszedłam, droga pani, za twoją dobroć, za wszystko, co uczyniłaś dla mnie, za opiekę... prawie że za życie, bo gdyby nie twoja pani opieka, kto wie, czy nie znajdowałabym się teraz na cmentarzu, pod ciężką mogiłą.

— Nie bądź-że dziwną, moje dziecko, życie Bóg daje, a nie ludzka opieka...

— Bóg daje wszystko, i takie serca dobre, jak twoje, pani, jest Jego najpiękniejszym darem.

— Po co ty to mówisz, moje dziecko?

— Aby ci podziękować pani i aby cię pożegnać zarazem...

— Ach! co za duch niespokojny! — zawołała pani Władysława z uśmiechem — dokądże cię znów ciągnie jakiś chochlik? Czy znów na cygańską włóczęgę między obcych...

— A cóż mam robić? Pójdę, postaram się o miejsce, dzieci znów uczyć będę...

— I znów zachoruję, znów utracę zdrowie, które cudem prawie wróciło i zmarnuję życie zdaleka

od swoich, w otoczeniu ludzi obojętnych, nieznanym...

— Jeżeli taki jest mój los!

— Moje dziecko, najgorszy bywa ten los, jak sobie sami przeznaczamy. Zkąd ty możesz wiedzieć, że taki jest twój los?

— Tak mi się zdaje przynajmniej.

— A mnie zupełnie zdaje się inaczej. Czy możesz poświęcić mi chwilę czasu? Czy będziesz mogła mówić spokojnie, chociaż-bym nawet poruszała jakieś zagrzebane popioły...

— Starać się będę...

— Usiądź więc i posłuchaj. Kiedy przed laty młodziutka, prawie jeszcze dziecko, oddałaś komuś swoje uczucie, zdawało ci się wówczas, że przeznaczeniem twojem jest być najszczęśliwszą istotą na ziemi. Kochać, być kochaną, spędzić życie wśród pól, łąk i lasów, w ukochanej wiosce rodzinnej, w tym malutkim świątku, któryby ci jednak był za cały świat wystarczył. Przypomnij sobie, moje dziecko, czy nie takiem wydawało ci się wówczas twoje przeznaczenie.

Zosia westchnęła zamiast odpowiedzi.

— A później, później, gdy grom bił za gromem, cios uderzał za ciosem, klęska za klęską, gdy utraciłaś ojca, brata i jeszcze kogoś... gdy przed oczami krwawiły ci się luny pożarne, gdy dom wasz przestał być waszym domem, a schorowana matka

z młodszą twą siostrą nie miała dachu nad głową, gdy musiałaś pójść w świat, na przykrości, na niedolę — wtenczas zdawało ci się, że twojém przeznaczeniem jest tylko cierpieć, płakać i czekać.

— Czyż nie miałam słuszności?

— Wcale nie... Przeznaczeniem twojem nie było cierpieć i dręczyć się, gdyż ja sama osobiście przynosiłam ci, jeżeli nie szczęście, to przynajmniej spokój i wytchnienie po latach ciężko przeżytych. Odrzuciłaś jednak.

— Pani, pani! wszak odkryłam wtedy przed tobą największą tajemnicę mego serca, wszak powołałam się na twój sąd... Czyż mogłam postąpić inaczej?

— Bynajmniej, nie ganię twego postąpienia, przeciwnie, byłam i jestem z całym uznaniem dla twój szlachetności i stałości. Odmowa, którą otrzymałam wtedy, zabolala mnie bardzo ze względu, że zraniła zacne, a tak blizkie mi serce, ale taż sama odmowa, droga Zosiu, postawiła cię w moich oczach bardzo wysoko. Ja cię pokochałam już wtenczas, kiedy mi brat opowiadał o tobie, pokochałam ujrzawszy cię, ale po rozmowie w Kaliszu, oprócz miłości zjednałaś sobie mój szacunek. Przedstawiłaś mi się jako kobieta o silnym duchu i szlachetném sercu... i cierpiałam bardzo na myśl, że cię muszę utracić. Nie przerywaj, droga Zosieczko, słuchaj dalej, dosłuchaj się wszystkiego do końca. Od chwili, kiedy wyjechałaś daleko i zniknęłaś nam

z oczu, oboje z bratem moim cierpieliśmy bardzo. Co się działo w jego sercu, tego ci opowiadać nie będę, bo nie potrafię. Zmienił się do niepoznania... ja jedna wiedziałam tylko, jak mu ciężko i gorzko na świecie. Nareszcie nadszedł ów wieczór, którego nigdy nie zapomnę, ów wieczór, w którym siostra miłosierdzia przyniosła mi wiadomość, że ty jesteś w Warszawie... ciężko chora, zawieszona między życiem i śmiercią. Czy pamiętasz?

— Mogłażbym zapomnieć?

— Wtedy, gdy siedziałam pochylona nad twojem łóżkiem i z biciem serca wpatrywałam się w twarz twoją, nacechowaną ciężkiem cierpieniem, wtenczas, przypomnij sobie, otworzyłaś oczy i w chwili krótkotrwałej, przelotnej przytomności, dałaś mi do przechowania zwitek papierów.

— Tak! Do przechowania i do przejrzenia zarazem.

— Powiedziałaś, że z nich dowiem się o wiele więcej, aniżeli z opowiadania twego.

— Czytałaś je pani?

— Cóż za pytanie? Przeczytałam wszystkie jednym tchem... od początku do końca i oblałam je łzami. Tak! tak, moja droga Zosiu, popłakałam się nad cichym dramatem twego życia... Powiedziałaś, że po przeczytaniu mam te papiery zachować

i jeżeli wyzdrowiejesz, zwrócić ci je, jeżeli zaś Bóg zrzędzi inaczej, to spalić. Nie upominałaś się o nie dotychczas, są u mnie... ale, droga Zosiu, popełniłam niedyskrecyę, którą mi musisz wybaczyć.

— Niedyskrecyę?

— Tak jest! Z treścią tych papierów zapoznałam mego brata.

— O! na co?

— Sama nie wiem na co... Zdawało mi się, że to przyniesie mu przynajmniej jakiś cień nadziei. Pokazało się wszakże, że treść owych listów nie była mu obca.

— Co pani powiedziała?

— Brat mój znał doskonale twoją historję. Przeprowadził ze znajomymi korespondencyę o nim... wiedział o każdym jego kroku... a wiesz jaki miał w tém cel? Oto, chciał poruszyć wszelkie sprężyny, aby go powrócić i tobie oddać, aby cię uszczęśliwić. On tak cię kocha, ten mój brat... Wiadomości jednak, jakie ztamtąd otrzymał, sparaliżowały najszlachetniejsze zamiary. Pokazało się, że przedmiot ukochania twego zmienił się zupełnie, że znalazł szczęście tam daleko, a o tobie zapomniał.

— To prawda! — rzekła Zosia z westchnieniem. O mnie zapomniał, o wszystkim zapomniał... ha! niech mu Bóg przebaczy!

Pani Władysława objęła Zosię z czułością.

— Słuchaj — szeptała do niej — ciebie już dziś nie nie wiąże... jesteś wolna, niezależna, możesz rozporządzać sercem swoim, jak zechcesz. Zostań więc tu u mnie i pozwól, aby mój brat rozpoczął starania o twoją rękę.

— Pani! — rzekła Zosia poważnie — to niepodobieństwo.

— Dlaczego? dlaczego? Na miłość Boską dlaczego?!

— Wytłomaczę się pani. Ja wysoko cenię pani brata, uwielbiam jego zacny i szlachetny charakter, ale... — tu przerwała i zamyśliła się smutnie.

— Ale co? co za przeszkoda? — nagliła pani Władysława.

— Przeszkoda i duża przeszkoda, droga pani. Cóżbym mu w zamian przynieść mogła za jego przywiązanie i szlachetność? co? Złamane życie, duszę zbolełą!... Brat pani wart lepszego losu i znajdzie go niezawodnie.

— A jeżeli on właśnie ten najlepszy los widzi w związku z tobą?...

— To mi go żal... Ja nie jestem stworzona do szczęścia i nie potrafiłabym uszczęśliwić nikogo.

— Ty dziecko jeszcze jesteś, moja droga Zosiu.

— Masz pani słuszną, istotnie jestem dziecko niedoli i smutku.

— A czy on nie jest dzieckiem niedoli? Czy nie przeszedł chrztu nieszczęść, czy nie szedł w życiu przez ciernie kolące. Jego dotknął los bardziej, aniżeli innych?

— To prawda! — szepnęła Zosia — to prawda...

— I tobie i jemu... obojgu wam należy się jaśniejsza chwila od losu... Dlaczegoż własnymi rękami ją odpychać?

— Pani! — odezwała się Zosia, mając oczy łez pełne — w związku, który projektuje pani, są szanse nierówne. Brat pani chce mi dać nazwisko swoje, majątek, zapewnić mi życie wygodne i spokojne... a ja cóż mu ze swęj strony ofiarować mogę... Co? powiedz pani sama... Jestem biedna, sierota, życie moje złamane...

— Ach! złamane... złamane! w twoim wieku ludzie się nie łamią, a zresztą, moja Zosiu, zastanów się, czego ja od ciebie żądam, o co cię proszę? Czy zmuszam cię, abyś wbrew przekonaniu własnemu i uczuciom została żoną mego brata? Czy każę ci udawać przywiązanie, którego nie czujesz? Nie, moja Zosieczko, tego nie wymagam od ciebie. Jedynie tylko o to cię proszę, nie opuszczaj mego domu, nie odjeżdżaj... pozwól memu bratu, żeby tu przychodził, żeby się o twoją rękę starał. Poznacie

się bliżej, a jeżeli pomiędzy wami zawiąże się nic sympatyj wzajemnej, jeżeli uznasz, że mój brat godny jest twój ręki... to uszczęśliwisz go. Jeżeli nie, uczynisz co ci się podoba... Cóż mi odpowiesz na to, Zosiu?

— Zostanę...

XII.

Nadeszła wiosna. W Lipowie ludzie krzatali się na folwarku i na wsi. Z pługami, z bronami wyjeżdżali na pole, bydło rozproszyło się po pastwiskach, zrobił się ruch wiosenny. Bocian przywędrował ze stron dalekich, jaskółki uwijały się nad wodami, a wieczorem można było słyszeć odgłosy fujarek pastuszych i rechotanie żab.

Pan Leon od niejakiego czasu więcej się gospodarstwem domowym zajmował, niż dawniej. Wstawał raniiej i kazawszy sobie konia podać, w pole albo do lasu wyjeżdżał. Po obiedzie wypoczywał w swoim gabinecie, wieczorem zaś dzienniki czytywał, listy pisał, albo rachunki załatwiał i tak był ciągle zatrudniony, że z żoną i panną Franciszką zaledwie podczas obiadu widywał się i kilka słów

obojętnych z niemi zamieniał. Te obiady lipowskie były bardzo monotonne i odbywały się prawie w milczeniu. Służący podawał i sprzątał potrawy, pani Anna czasem rzuciła jakieś słówko do dzieci, a pan Leon zwykle nie mówił.

Po skończonym obiedzie wstawał, całował żonę w rękę, pogłaskał jasne główki dzieci i ukłoniwszy się zdaleka pannie Franciszce, odchodził. Taka scena powtarzała się codziennie, chyba że czasem gość się jaki trafił i monotonność tych uroczystych obiadów urozmaicił.

Właśnie p. Leon wstawał od stołu i ujął rękę swjej małżonki, aby złożyć na niej pocałunek, gdy pani Anna swym słodkim, omdlewającym głosem rzekła:

— Mam z tobą do pomówienia.

— Ze mną?

— Acń, dziwi cię to? Zapewne! mówimy z sobą tak rzadko...

— Ależ przeciwnie, zawsze jestem na twoje rozkazy.

— W takim razie, proszę cię, chciiej przejść do salonu, rozmowa potrwa może dłużej, niż byś pan sobie życzył.

— Ale owszem, owszem...

— Wiem, że wolałbyś spać swoim zwyczajem, lecz kwestya jest ważna, proszę cię...

— Czy przynajmniej pozwolisz, że każę sobie przynieść czarną kawę?

— I zapewne zapalisz pan cygaro?!

— Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

— O! teraz możesz pan palić. Obojętne mi to jest, czy nasz salon zamieni się na kordegardę, czy nie...

— Dla czego?

— Chciéj pan usiąść i posłuchać...

Pan Leon usiadł na fotelu, panni Anna zaczęła się przechadzać po salonie, pragnąc myśli zebrać. Wreszcie zatrzymała się przed mężem.

— Nie wiem, czy raczyłeś zauważyć, że dzieci nasze rosną...

— A istotnie! — odrzekł tłumiąc ziewanie — w saméj rzeczy...

— Szczególna rzecz... a ja sądziłam, że pan tego nie widzisz, lub widzieć nie chcesz...

— Widzę codzien...

— I nie cię to nie obchodzi?

— Ależ przeciwnie! bardzo...

— O, gdyby cię obchodziło, myślałbyś o tem, zastanawiał się...

— A któż pani powiedział, że nie myślę?...

— Zapewne, może zastanawiasz się, żeby im dać wysoką edukację, rozwinąć w nich talenta, jedném słowem, wychować je tak, jak przystoi panniekom ich urodzenia i majątku.

— Naturalnie...

— I sądzisz, że taką edukację dasz im tu w Lipowie...?

— Sama przecież wybierasz guwernantki, płacę im ile tylko każesz.

Pani zrobiła grymas.

— To wszystko na nic się zdało — rzekła — córkom naszym czego innego potrzeba.

— Hmm, jak uważasz...

— Uważam, że trzeba ztąd wyjechać.

— Więc wyjedź!

— Nie wątpię, żeby to zrobiło panu przyjemność, ale my musimy wyjechać ztąd z całym domem.

— Wszyscy?

— Naturalnie, jeżeli mówię, że z całym domem, to łatwo się pan domyślisz, że idzie mi o cały dom. Tu stanowczo nie mamy co robić.

— Ależ w takim razie cóż się stanie z majątkiem?

— To już jest kwestya pańskich osobistych poglądów. Wszakże nie żeniłeś się z Lipowem i w każdej chwili możesz się z nim rozstać.

— To niepodobna! nie sposób! — wymawiał się pan Leon, przerażony nagle postanowieniem swjej małżonki — powtarzam, że nie sposób! Po-

czynilem znaczne nakłady, podniosłem wartość majątku, powznosiłem budowlę, w tém przekonaniu, że będę tu siedział do śmierci... marzyłem o tém. Nie jestem już taki młodziak, żebym miał na nowo karierę zaczynać, zmieniać przyzwyczajenia swoje, tryb życia...

— Doprawdy, kaźden wyraz pański tchnie szkaradnym egoizmem.

— Egoizmem? zkądże znów?

— A tak! marzenia pańskie nie wychodzą po za granice wygodnego gabinetu, dobrego obiadu i ciepłego szlafroka... w Lipowie masz pan to wszystko, a przytém umiarkowaną agitacyę, która pomaga panu do dobrego trawienia. Bez kwestyi, są to bardzo piękne i wzniosłe cele życia, a wystarczyłyby w zupełności, gdybyś pan był kawalerem, ale nie zapominaj pan, że masz córki, a co za tém idzie i obowiązki.

— Pamiętam o tém.

— O, jeżeli pamięć zasadza się na obdarzeniu dzieci zabawką lub cukierkami, to tak... ale...

— Nie rozumiem, moja żono, czego właściwie żądasz.

— Szczęścia córek a przedewszystkiem edukacyi dla nich, domu otwartego, w którym poznałyby życie towarzyskie i same kiedyś dały się poznać, a przecież na tém pustkowiu...

— Więc wyjeźdź, zamieszkaj z dziećmi w War-

szawie, w Wiedniu, gdzie zechcesz. Jesteśmy dość zamożni i możemy sobie na taki zbytek pozwolić.

— Nie mam zamiaru grać roli separatki i nie wyobrażam sobie domu bez męża. Pojmujesz zapewne, że nie chodzi mi o widok twojej zaokrąglonej twarzy i kilku podbródków.

— Zdaje się, że nasza rozmowa zaczyna przybierać ton cokolwiek, że się tak wyrażę...

— Zmienię go, skoro się panu nie podoba, a na poparcie moich słusznych żądań użyję jeszcze jednego argumentu. Sądzę, że będzie miał także pewne znaczenie.

— Ciekawym.

— Wiész pan, że prócz dzieci mamy także siostrę.

— Więc cóż ztąd?

— Jest to sierota i, bądź co bądź, pozostaje na naszej opiece. Dla niej musimy prowadzić dom otwarty, gdyż sam przyznasz, że czas wydać ją za męża.

— O istotnie! był czas...

— Coś pan powiedział?

— No, powiedziałem, że według mego zdania, panna Franciszka mogłaby zrezygnować i wyperswadować sobie aspiracye do stanu małżeńskiego.

— A to z jakiego powodu?

— Hm!... co tu w bawełnę owijać... panna już nie młoda...

— Jesteś pan grubijanin! Frania niemłoda! a więc ja jestem stara, niedługo babą mnie nazwiesz?!

— Zmiłujże się, duszko, przecież czas w miejscu nie stoi, nie mogę cię nazywać szesnastoletnią panienką, skoro masz teraz lat...

— Powstrzymaj się pan z rachunkiem i odpowiedz mi na moje pytanie, a raczej na moje żądanie stanowcze... kiedy wyjeżdżamy?

— Cóż tak pilnego? Przecież nie mogę zabrać was tak od razu, bez żadnego przygotowania i wywieść, że już nie powiem o interesach majątkowych, na uregulowanie których potrzeba i rozmysłu i czasu.

— A jednak jabym chciała wyjechać jak najprędzej.

— To też wyjedziesz... wyjedziesz... dajmy na to, za pół roku; prędzej na żaden sposób nie można.

— W takim razie zostań pan tu sam, do czasu, a ja z Franią i dziećmi pojedę do Warszawy jeszcze w tym tygodniu.

— Nie rozumiem przyczyny tego pośpiechu.

— Nie rozumiesz pan, bo nie chcesz rozumieć, ale zastanów się, przecież skazane tu jesteśmy na zupełne odosobnienie się, nawet do kościoła nie możemy pojechać.

— Dla czego? przez Boga, racz-że powiedzieć dlaczego?

— Pan się pytasz! Żądasz więc, abyśmy obie

z Franią siadały na jednój ławce obok tej awantur-
nicy i intrygantki.

— O kim mówisz?

— Wiész dobrze o kim ja mówię... o pani Ka-
mińskiej.

— Ah! więc ta przyczyna?... to jest edukacya
dzieci... potrzeba prowadzenia otwartego domu?
A więc to tak, że się też nie domyśliłem tego
odrazu.

— Nie grzeszyłeś nigdy domyślnością, ale
dość już tego. Ta przyczyna, czy inna, dość, że
wyjechać musimy. Nie mogę pozostawać w tak
bliskiem sąsiedztwie z tą, tą... panią!

Pan Leon oburzył się.

— Więc jeszcze znęcacie się nad nią? Nie
dość, żeście jęj w własnym domu u siebie wy-
rzadziły krzywdę, jeszcze i teraz chcecie ją prze-
śladować. Wstydz się, żono! Wiesz dobrze, że
to była dziewczyna zacna i uczciwa.

— O porzuć pan rolę obrońcy!

— Pani Kamińska nie potrzebuje obrońców,
ma męża, który w razie potrzeby osłoni ją od na-
paści... a ja pani oświadczam, że dla kaprysów
panny Franciszki Lipowa nie sprzedam. Nie po-
doba jęj się sąsiedztwo, to niech sobie wyjeżdża,
choćby na koniec świata... wolno jęj! a pani, jako
żona będziesz mieszkała, tam gdzie i twój mąż, to
jest oto... w Lipowie. To jest moje ostatnie słowo!

To rzekłszy, pan Leon wyszedł z salonu i drzwi za sobą zatrzasnął.

Z powodu tak nad wszelkie spodziewanie energicznego wystąpienia p. Leona, stał się w Lipowie płacz i zgrzytanie zębów, panna Franciszka szczególnie była w rozpacz. Obie siostry zamknęły się w domu, jak w klasztorze, nie wyjeżdżały nigdzie, nie pokazywały się wcale w okolicy. Nawet w kościele na niedzielne nabożeństwo, ławka, którą te panie zwykle zajmowały, była pusta ku wielkiemu zdumieniu proboszcza.

Pocziwy księżysko, sądząc, że panie chore, posyła po niesporach dziada, aby się o ich zdrowie dowiedział i co niedziela dziad przynosi odpowiedź, że w Lipowie źle, bo tak w dziedzicze, jako i w jej siostrze duch się ledwie kołacze.

Ale kobiety łatwo za wygranę nie dają, a pani Anna zanadto dobrze znała swego małżonka, aby nie wiedzieć, że upór jego da się wreszcie przełamać. Po niejakiem więc czasie znowuż wystąpiła kwestya edukacyi panienek i ostatecznie panie przeniosły się na mieszkanie do Warszawy — a pan Leon został na gospodarstwie do czasu, dopóki nie znajdzie na majątek kupca, lub dzierżawcy.

Został na gospodarstwie i co gorsza, złożył państwu Kamińskim wizytę... Nie pochwalił się z tém jednak przed żoną, gdyż przewidywał co by go za

to spotkało, a... każdej istocie na świecie spokój jest miły...

.
Niedaleko od Lipowa, przed dworkiem białym, schludnym, otoczonym drzewami i zielenią — igrają na trawniku dwie dziewczynki.

Złote, bujne kędziory w puklach spadają im na ramiona, na uśmiechniętych twarzyczkach błyszczą rumieńce zdrowia.. Igrają, przeplatając zabawę wybuchami wesołego, pustego, dziecięcego śmiechu.

Są to dwie sierotki, które przestały już być sierotami, albowiem znalazły matkę. Przez cały czas dzieciństwa nigdy nie wymówiły tego imienia, gdyż w chwili, kiedy prawdziwa matka ich, jak męczennica zginęła w płomieniach, w chwili téj strasznój tragedyi, były jeszcze zbyt małe, aby jakikolwiek, choćby najstraszniejszy obraz mógł się utrwalić w ich pamięci. Opiekunkę swoją nazywały ciocią, kochały ją nawet, ale zarazem i bały się jęj, bo ta ciocia, chociaż bardzo i bardzo dobra... nie umiała jakoś przygarnąć ich do siebie. Teraz ciocia odjechała do Warszawy, a na jęj miejsce przybyła mama... taka serdeczna, dobra, kochająca, że opowiedzieć trudno. Odrazu polubiła swoje córeczki, sama je uczy, pieści, sukienki im szyje... Oprócz mamy jest jeszcze w tym domu druga ciocia, wcale niepodobna do cioci Elżbiety, ma na imię Helenka. Jest śliczna, młodziutka, wesoła... czasem lubi się

z dziećmi gonić po ogrodzie, a jak potrafi lalki ubierać!...

Gdy ją dzieci bardzo proszą, gdy cały dzień są grzeczne, to ciocia Helenka idzie z niemi do ogrodu, opowiada im jakieś bajeczki, potem urządza gry różne i zabawy. Nie chce się wracać do domu, tak miło, tak szybko czas schodzi... Siedziałyby tam do nocy, ale oto przychodzi Weronika, ta uprzykrzona Weronika i powiada, że mama prosi do domu, bo już chłodno, już rosa i Bóg wie co tam jeszcze...

Teraz dziewczynki igrają na dziedzińcu.

Wieczór nadchodzi, słońce czerwienieje, chyli się ku zachodowi, chowa za drzewa, za lasy, pozłociło wodę w rzece, pozłociło listki na drzewach, na krzakach, ślizga się jeszcze po kwiatach róż napętniających ogród zapachem — niczemu nie daruje, ze wszystkiem igra... swawoli, dopóki nie upieści i do snu nie ułoży.

Na ganek wychodzi młoda dziewczeczka, w jasnej sukience, z grubym warkoczem, związanym wstążką. Nakrywa stół, krząta się.

Dzieci przybiegają do niej.

— Co cioteczka robi?

— Dziś tu będziemy pili herbatę.

— Ach! jak to dobrze... ojculek tu najlepiej lubi...

— Dlatego też mama tu kazała nakryć...

Za chwilę ukazuje się mama, ale jakże niepo-

dobna do owęj Zosi, którąśmy na początku opowiadania poznali.

Zmężniała, zdaje się, że urosła, białe rączki już nie takie szczupłe, nie takie przezroczyście jak dawniej, na twarzy kwitnie rumieniec.

Zapomniała już o doznanych przejściach, jest spokojna, szczęśliwa.

Patrzy ku bramie, jakby oczekiwała na kogoś...

I ten ktoś ukazuje się wreszcie. Zeskoczył z konia, rzucił chłopcu cugle, a sam spieszy na ganek. Zosia pocałunkami go wita, dzieci się rąk jego czepiają.

Zasiedli przy stole, rozmowa ożywiona się toczy. O powszednich sprawach dnia, o gospodarstwie mowa. Niby jak zwykle, ale przecież nie zwykle, bo tu króluje miłość, praca, spokój; bo to złoty, pogodny dzień, który nastał nareszcie... po burzy...

K O N I E C.

POKÓJ PRZY FAMILJI.

(Z PAMIĘTNIKÓW STAREGO KAWALERA).

„...Pytano mnie częstokroć, dlaczego zostałem starym kawalerem? ale nie mam zwyczaju odpowiadać na takie interpelacje i rozwiązanie zagadki (o ile to może kogo obchodzić) zostawiam domyślności pytających, która, jak wiadomo, granic nie ma.

Przypuszczają, że musiałem mieć w życiu jakiś dramat mieszczański, ma się rozumieć, przynajmniej w siedmiu obrazach, z dwoma inżynierami... Inna wersja twierdzi, że jestem dotknięty wadą wzroku i skutkiem tego nie znam się na piękności warszawianek, a niektóre ciotce są pewne, że uczyniłem ślub dozgonnego celibatu.

Nie potrzebuję dodawać, że we wszystkich tych wersjach nie ma ani cienia prawdy, a właściwy powód mego celibatu da się opowiedzieć w kilku słowach. Jestem urzędnikiem kolei — oto cały sekret. Znakomity matematyk, który układał etaty dla urzędników naszej instytucji, nie pomylił się. Pensja wystarcza na opędzenie niezbędnych potrzeb życia jednostki — a zatem, według prostego rachunku,

nie sposób z niej utrzymać dwójki, a ewentualnie trójki, czwórki i dalszych liczb owego rosnącego postępu, którego wykładnikiem jest poczciwe życie małżeńskie, a ostatnim wyrazem licytacya ruchomości, zrobiona przez komisarza sądowego, z zachowaniem wszelkich formalności prawnych.

Nie byłem, nie jestem i nie spodziewam się, że bym kiedykolwiek mógł być obojętnym na tak zwane wdzięki piękniejszej połowy rodzaju ludzkiego—przeciwnie, powiedziałbym nawet, że idę zadaleko w tym kierunku. Zachwycała mnie zawsze i zachwyca doskonałość form, blaski źrenic, uśmiechy ust różanych. Posiadam piękne album, pełne fotografii, i wpatruję się w nie w wolnych chwilach całemi godzinami. Lubię również towarzystwo damskie, a zwłaszcza kobiet inteligentnych i dowcipnych...

Ślubu dozgonnego celibatu nie miałem potrzeby czynić, gdyż faktycznie zrobił to w mojem imieniu zarząd naszój kolei, wyznaczwszy mi pensję ściśle celibatową...

Mieszkam w hotelu, jadam w restauracyi, chorować zaś i umierać będę w szpitalu, gdyż tak sobie przed laty piętnastoma postanowiłem.

Bracia w celibacie! koledzy! starzy kawalerowie, jeżeli czytać będziecie kiedy te kartki, zastanówcie się głęboko nad kwestyą, która...

O mało nie palnałem mówki... ale ponieważ nie

odznaczam się talentem krasomówczym, przeto daję za wygranę i powracam do mego pamiętnika, do suchego rejestrowania faktów.

Było to przed laty piętnastoma. Uboższy w dochody stałe, a bogatszy w czuprynę (która nie jest stałą własnością), tęskniłem w kawalerskiej stancyjce i było mi smutno i zimno.

Szarpałem się jak ptak, w klatce zamknięty, doznawałem wrażeń Robinsona, rzuconego na bezludną wyspę. A przecież mieszkalem w Warszawie!

Zdarzyło się w tym czasie, żem się przeziębik i musiałem przeleżeć trzy dni, bez żadnej pomocy i opieki, gdyż stróżka, która mi usługiwała, była akurat w tym czasie także cierpiącą, a jej małżonek, z powodu zmartwień rodzinnych, oraz licznych zajęć przy utrzymywaniu czystości w kamienicy upijał się codziennie, aż do utraty przytomności.

Młoda moja natura oparła się chorobie i po trzech dniach chodziłem już do biura.

Po południu udałem się do ogrodu Botanicznego. Była najcudowniejsza wiosna, zapach kwiatów napełniał powietrze, mnóstwo osób używało spaceru.

Obserwowałem publiczność i czułem dziwną gorycz w sercu. Nikt nie był samotny, jak ja. To szła matka z dwiema córkami, którym asystował jakiś elegant; to ojciec otoczony dziatwą, to jakaś szczęśliwa para, gruchająca wesolo... a ja sam! sam jak kolek w płocie!

Dlaczego nie mam nikogo? Dlaczego nie mam rodziny? Dlaczego nikt nie przemówi do mnie, nikt się nie uśmiechnie, nie odezwie.

Co to musi być za niewypowiedziane szczęście mieszkać z młodą żoneczką, blondynką (do tych miałem bo szczególną predylekcyę, jadać obiady przyrządzone jej rączką, opowiadać jej różne kłopoty biurowe, chodzić z nią na spacerdy pod rękę!

Wyobraźnia unosiła mnie coraz dalej, widziałem wokół siebie cherubinków z jasnymi włosami, skaczących, uśmiechniętych, nazywających mnie „papa!”

Zerwałem się z ławki jak szalony i pobiegłem do miasta. Szedłem bez celu, potrącając przechodniów, narażając się na szturchańce. Jakiś tragarz uderzył mnie w bok, ale co tam bok! dusza bardziej boli, gdy samotność dokucza. Niechby mi dziesięciu tragarzy dało po dziesięć szturchańców, bylebym miał ciepło rodzinnego ogniska, sam-bym im boki nadstawił!

Nie wiem kiedy znalazłem się na ulicy Wspólnej; dwie służące z wielkim koszem bielizny zagrodziły mi drogę — musiałem się zatrzymać... Machinalnie rzuciłem okiem na bramę i spostrzegłem kartkę papieru, na której skreślono następujące słowa: *„Jest do wynajęcia przy zacnej familii ze wspólnem wejściem pokój kawalerski, wiadomość u stróża Onufrego, który może być z samowarem, usługą, a na żądanie i z całodzienném życiem.“*

Nie zastanawiałem się nad stylem ogłoszenia, albowiem chodziło mi głównie o rzecz. Pokój ze wspólnem wejściem, przy znacznej rodzinie, z samowarem i z życiem — toż to marzenie! Nie mogłem mieć własnej rodziny, przygarnę się do cudzej — a może, może znajdę — owo ciepło, którego tak gorąco pragnę.

W jednej chwili znalazłem się u stróża.

— Mój przyjacielu — rzekłem — wciskając mu w rękę wielką miedzianą dziesiątkę (żeby przecie poczuł, że coś dostał) — mój przyjacielu, gdzie mieszka zacna rodzina, mająca do odnajęcia pokój ze wspólnem wejściem?

— Nijakięj ja tu rodziny nie znam — odrzekł zbieracz dziesiątek z namysłem — jeno na drugim piętrze mieszka pani Szwalbergowa i chce jeden pokój odnająć.

— Prowadźcież mnie do niej.

— Po co? dyć pan i sam dobrze trafi, prawa oficyna, osiemnasty numer, nawet widzi mi się, że tam je napisane coś na drzwiach.

Pobiegłem, o ile na to pozwalały wazkie i brudne schody. Na drugim piętrze, na drzwiach oznaczonych n-rem 18, była przybita blaszka z napisem „Evelina v. Szwalberg.”

Zadzwonilem nieśmiało.

— Zaraz — odezwał się jakiś opryskliwy głos — proszę poczekać!

Jednocześnie usłyszałem szurgot przesuwanych stołków, czy też innych gratów. Po kilku minutach oczekiwania, zamorusana służąca otworzyła mi drzwi. Przedpokój był ciemny; przez półotwarte drzwi na prawo widać było wnętrze kuchni, z ogromną balją na środku. Wprost wchodziło się do saloniku, a drzwi z lewej strony były zamknięte.

Na progu saloniku powitała mnie dama okazałej tuszy, w stroju, który był pół szlafrokiem, pół suknią.

— Co pan sobie życzy? — spytała.

— Pani szanowna ma do wynajęcia pokoik?

Dama zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów i rzekła:

— Proszę pana dalej, niech pan usiądzie. Zanim pomówimy o pokoiku, muszę wpierw pana o niejedno zapytać. Nie weźmie mi pan zapewne za złe tej ciekawości, bo... widzisz pan, przecież pokoju przy rodzinie, ze wspólnem wejściem, nie można pierwszemu lepszemu wynająć. Warszawa jest miasto duże, a młodzież dzisiejsza, niech to pana nie obraża, niewiele warta...

Przyznałem słuszność szanownej damie i opowiedziałem jej najdokładniej: jak się nazywam, gdzie pracuję, ile pobieram pensyi i jakie mam widoki na przyszłość. Opowiedziawszy całe *curriculum vitae*, objaśniłem, jakie pobudki skłaniają mnie do starania się o pokoik przy rodzinie...

— Boże wielki! — zawołała zalamując ręce, jakież to okropne położenie! Chorować przez trzy dni, bez rosółu z kurczęcia, bez kataplazmów, bez serdecznej opieki kobiecej... to rozpacz! A! panie, ja bo mam takie serce, że, gdyby już nie powiem człowiek, ale kot u mnie w domu zachorował, tobym mu duszę oddała... a moja Pelcia! moja Pelcia jest jeszcze tkliwsza, ale pan nie wiesz zapewne, kto jest Pelcia?

— Istotnie, nie miałem szczęścia...

— Prawda, co ja też mówię? przecież widzę pana pierwszy raz w życiu... Ja jestem Szwalbergowa, mój mąż nazywa się von Szwalberg, pochodzi z baronów, chociaż nie lubię o tém wspominać. Wszyscy ludzie niby-to są sobie równi... ale co tam! Mam dwie córki, poznasz je pan. Olimpia jest mężatką, ale nie żyje z mężem... proszę pana, tak pójść za mąż! a zdawało się...

— Pani Olimpia nie jest szczęśliwa...

— Ktoby był szczęśliwy z takim, za pozwoleniem, łotrem!!! Wyobraź pan sobie skąpstwo, zazdrość i nadużycie trunków, zapakowane razem w jeden wielki tłomok — a będziesz miał obraz mego zięcia... Olimpia nie mogła wytrzymać i uciekła do mnie z czworgiem dzieci. Są teraz na spacerze aniołki... Złote dzieci, poznasz je pan... Olimpia robi teraz kroki...

— Jakto?

— Kroki, wyraźnie powiadam przecie, że robi kroki rozwodowe. Jakież ma robić, biedaczka? Pomaga jój w tém jeden pan, który jest adwokatem. Poznasz go pan, bardzo przyjemny młody człowiek, nazywa się Klekotowicz... Wiem nawet zkądinąd, że ma widoki na Olimpię, ale naturalnie przed rozwodem nie nie mówi... Boi się mnie i ma racyę. Niechby spróbował! A proszę pana, Pelcia, to jest moja druga córka. Poznasz ją pan... Anioł dobroci! Chodzi na naukę muzyki, artystka skończona... Miała mnóstwo konkurentów, trudno się było opędzić... Ja sama namawiałam... mówiłam, proszę pana: idź Pelciu, idź już raz duszko, bo byli ludzie z pozycyą, ale ona nie chciała. Czekać będę, powiada, aż moje serce uderzy... Istny anioł! i otowyoobraż sobie pan, czeka dotąd. Poznasz ją pan... Zawsze mówi, że jak kogo pokocha, to powiadam panu strasznie i nie będzie zważała na nic! Duża pensya, mała pensya, to jój wszystko jedno. Zupelnie tak samo jak ja. Ja mego męża wzięłam poprostu w jednym, za pozwoleniem, tużurku, ale jak go kochałam; Boże, jak ja go kochałam!!!

— Dawno pan von Szwalberg umarł? — zapytałem.

— Ha, ha! — roześmiała się z goryczą, alboż taki łotr kiedy umrze?! Żyje dotąd i mieszka w Odes-

sie. Poznasz go pan... ale, co ja mówię, nie poznasz go pan... bo on tu nie przyjdzie. On wie, że mamy z sobą pewne rachunczki. Majątek mu oddałam, młodość, niewinność — a on!... To panie taka wdzięczność! Dziś żyję z małego kapitaliku i z pracy. Dopomaga mi trochę mój kuzyn, który jest maszynistą na kolei. Mężczyzna jak lew, podkowy łamie w rękę, poznasz go pan... trochę szorstki, bo naturalnie, przy takim zajęciu... ale jedyny chłopak... Niech pan zobaczy pokoik...

Poszliśmy do owego pokoiku. Był on trochę ciemny i okropnie brudny, ale że mi chodziło głównie o ciepło rodzinne, więc nie zważałem na ściany... Serca było mi trzeba, a nie murów.

— Tu będzie panu jak w niebie — mówiła zająca dama. Cisza i spokój, bo proszę pana, któż tu mieszka właściwie? Ja jedna, zawsze sama. Pelci nie rachuję, takie to łagodne i cichutkie stworzenie. Grywa czasem, ale trzeba wiedzieć, że artystycznie grywa, nie jak ta z pierwszego piętra. Poznasz ją pan... Kokietka jakiejś świat nie widział! Ciągłe siedzi w oknie i mizdrzy się... Cisza, spokój u mnie jest zawsze. Olimpia także u mnie mieszka, ale rozumiesz pan przecie, ciągle zajęta. Robi kroki i mało kiedy w domu jest, a tych czworga dzieciak niema co rachować. To są aniołki milutkie, cichutkie i w ogóle rzadko kiedy płaczą. Pan zapewne życzy sobie mieć samowar i usługę?

— Wprawdzie mam własny samowar, ale wolałbym...

— Domyślałam się tego, dobrze więc. Usługiwać panu będzie Katarzyna, moja służąca. Bardzo dobra kobieta. Lubi się czasem upić, ale nie codzień. Wybaczam jęj to, ponieważ wybornie gotuje.

— Jaby m też, proszę pani, najął chętnie pokoik z całkowitęm utrzymaniem...

— Jeżeli pan sobie życzy... obawiam się tylko czy panu dogodzę...

— Nie jestem wymagający. Byle nie truć się w restauracyi, będę zadowolony ze wszystkiego.

— Bo, widzisz pan, u nas po gospodarsku. Zupa jedna, sztuka mięsa jedna, pieczeń jedna! Wszystkiego po jednemu, ale zdrowo i smacznie; przekonasz się pan, że zbytków nie robimy, jak jest na obiad indyk, to już nie ma zajęcia. Czasem mamy kuropatwy, cietrzewie. Poczciwy Jaś, przysłała je nam. Wiesz pan przecie, Jaś maszynista. Niekiedy znajomy konduktor przywozi nam drób z prowincyi. Zwyczajnie, staramy się jak możemy. Czasem sama Pelcia robi leguminę, pysznie robi! Zobaczysz pan! Wogóle po gospodarsku, a pan może przyzwyczajony...

— Nie szanowna pani, nie jestem przyzwyczajony do zbytków... Idzie mi tylko o to, czy będę mógł wywzajemnić się za te wszystkie wygody...

— To najmniejsza rzecz. Da pan dwadzieścia pięć rubli miesięcznie, ma się rozumieć z góry, gdyż właśnie chciałam sprawić Pelci okrycie—bo to, które ma (zobaczysz je pan) jest już niemodne. Obecnie noszą zupełnie inny fason, a Pelcia, chociaż nie elegantka, ale o takie rzeczy dba. Naturalnie, taka młoda panienka nie może mieć nic wspólnego ze starym fasonem!

Zgodziłem się na wszystko, zapłaciłem z góry, w przystępie rozrzewnienia ucałowałem nawet rączki godnej damy — i wybiegłem uszczęśliwiony na ulicę...

Za dwadzieścia pięć rubli na miesiąc mieć pokój ze wspólnym wejściem, usługę, herbatę rano i wieczorem, obiad, towarzystwo i opiekę w chorobie—to szczyt marzeń i szczyt taniaści zarazem! Samo ciepło rodzinne i troskliwość kobieca więcej są warte.

Nazajutrz zainstalowałem się w moim pokoiku. Poznałem Olimpię, Pelcię, adwokata, czworo miłych dzieci i Katarzynę. W niedzielę przyszedł maszynista, i po obiedzie wszyscy poszliśmy na spacer do Łazienek.

Śliczny to był dzień, prawdziwa rozkosz dla mnie. Byłem w gronie rodzinnym, wprowadzie w cudzem, ale zawsze w gronie. Maszynista prowadził panią Szwalberg, adwokat Olimpię, dzieci szły przodem — a ja... zdobyłem się na odwagę i poda

łem ramię Pelci. Przyjęła je z wdzięcznym uśmiechem. Byłem szczęśliwy i dumny. Pelcia rozmawiała ze mną o kwiatach. Postanowiłem w duchu, że codzień będzie miała na swoim stoliku świeży bukiet. Opierała się na mojem ramieniu lekko, ale dotknięcie jej ręki sprawiało mi nieopisaną rozkosz. Chodziliśmy w cieniu starych kasztanów, muzyka grała... Chodziliśmy tak do wieczora, wracając, wstąpiliśmy do ogródka w alejach. Maszynista kupił piwa, a ja cukierków dla pań. Były to chwile pełne niewysłowionego uroku.

Nazajutrz, gdy przyszedłem na obiad, zastałem panią Szwalbergową bardzo wzburzoną i musiałem jej przyznać słusność.

Poczciwa Katarzyna, z powodu nieprzewidzianego spotkania się na targu z jakąś kumoszką, nie była trzeźwą, w kuchni narobiła pełno dymu, obiad się zepsuł.

Ktoby tam dbał o takie rzeczy! Pelcia przyrządziła kawę i zaspokoiliśmy głód... Wróciwszy do mego pokoiku, zastałem w nim wielki nieład. Wszystko było poprzewracane, fotografie, powyciągane z albumów, wałyły się na podłodze, a ładny wazonik porcelanowy, który miałem ofiarować Pelci, rozbity na kawałki.

Niewiedziałem czemu ten nieład przypisać, ale uprzejma gospodyni sama wyprowadziła mnie, z błędu.

— Panie Stanisławie—rzekła wchodząc—jestem w rozpaczyl... Obiadu dziś nie było...

— To bagatelka.

— Pan jesteś bardzo wyrozumiały, zawstydzasz mnie swoją dobrocią.

— Niema o czém wspominać...

— Ale oprócz tego, poniosłeś pan stratę—odezwiała się płaczkliwie usiłując zebrać potłuczone skorupki.—Taki wazon!

— Nie miał wielkiej wartości.

— Ale zawsze, bo widzi pan, ja muszę się wytłumaczyć... Lolus bawił się albumem, a miał paluszki powalane masłem, chciałam mu zabronić, ale rozplakał się; za Lolusiem przyszła Micia, Sabcia i mały Bronis — i oto zrobiło się nieszczęście. Widzi pan, Olimpia teraz robiąc kroki, nie ma czasu zajmować się dziećmi, ja jestem rozerwana, Pelcia ma przed południem lekcye, a w sali jest lustro. Bojąc się o nie, pozwalam dzieciom bawić się w tym pokoiku, przecież to panu nie nie szkodzi...

— No, zapewne...

— A! jesteś pan nie szczery...

— Co pani mówi?...

-- Ja wiem, że pan lubi dzieci, pan bardzo lubi dzieci, widać to panu z oczów. Nawet Pelcia zauważyła, że pan lubi—ale ta szkoda, niepowetowana szkoda, czém ją panu wynagrodzę?... Pelcia chce panu zrobić pantofelek do zegarka, pocziwa du-

szka! Powiedziała, że nie zazna spokoju dopóki go nie skończy ..

— Zbytek dobroci..

Ułagodziło się jakoś. Nazajutrz, był obiad kompletny.

Z czasem na horyzoncie mego szczęścia zaczęły się pokazywać chmurki. Biedne moje album z fotografiami, poplamione, zniszczone, nosiło coraz więcej śladów paluszków Lolusia i Mici, wszystkie figurki porcelanowe miały już poutrącane nosy i ręce, a kilka dość drogiech książek, które mi jeden z kolegów dał do przeczytania, pani Olimpia pożyczała adwokatowi, a ten znów komuś—tak, że jużem się z niemi nigdy w życiu nie zobaczył.

Uspodobienie pani Szwalbergowej dla mnie uległo także pewnej zmianie. Dość często żaliła się w mojej obecności na niewdzięczność ludzką, na brak stanowczości ze strony młodzieży, jej egoizm i karygodne zamięłowanie w knajpiarskiem życiu...

Pelcia pomizerniała, unikała rozmowy ze mną... i miała ciągle na ustach jakiś kwaśny grymasik, najwyraźniej do mnie adresowany.

Nadomiar nieszczęścia, przyjechali moi krewni z prowincyi, którym musiałem ciągle asystować i chodzić z nimi do teatru.

Naturalnie, przychodziłem do domu dość późno, starając się jednak robić jak najmniej hałasu... Przepłacałem Katarzynę, żeby mi otwierała jak najciszej,

ale to niewiele pomagało; moja gospodyni miała dziwnie lekki sen... Trzeciego dnia, a raczej trzeciej nocy, Katarzyna spała bardzo twardo i z konieczności musiałem mocniej zadzwonić...

Otworzyła mi sama pani Szwalbergowa.

Nigdy w życiu nie zapomnę tej chwili...

Na twarzy zacnej damy, malowała się szczególna powaga. Było coś uroczystego w jej postaci. Ubrana w czerwoną flanelową spódnicę, w olbrzymim, białym czepcu na głowie, na ramionach miała zarzuconą wielką kapę zieloną w złote palmy, a w ręku trzymała ogromną lampę. W tym kostyumie wyglądała ona istotnie, jak Dalaj Lama Tybetu w stroju najbardziej uroczystym.

Bąknąłem dobry wieczór i kilka wyrazów przeproszenia, gdyż onieśmielony byłem jej wspaniałością.

Odpowiedziała mi na to, że kto trzyma w domu ludzi podejrzanęj konduity, musi się narażać na najgorsze następstwa. Dodała przytém, że nie mogła dotąd zmrużyć oka, gdyż obowiązek matki nakazywał jej czuwać przy dziecku, cierpiącym wskutek rozczarowań, zawodów i zmartwień...

Dzieckiem tém nieszczęśliwém była ma się rozumieć — Pelcia.

Od tego czasu, pomimo że wracałem bardzo wczesnie do domu, pomimo że się wyrzekł koncertów, teatru i wszelkich stosunków towarzyskich,

żem zerwał zupełnie z kolegami — nie mogłem roz-
żalonéj damy przejednać. Nawet Olimpcia i jéj
dziatki dawały mi do zrozumienia, że nie jestem
„persona grata“ w tym domu...

Co prawda, to już mi owo ciepło rodzinne, z fa-
talnemi obiadami, z czworgiem nieznośnych dzieci
i nieustannemi pretensyami pań, zaczęło się przy-
krzyć... Zatręskniłem do mojej samotnej stancyjki,
w której nikt mi nie przeszkadzał, nie plamił albu-
mów, nie lustrował drobiazgów, nie dziwił się i nie
oburzał, jeżeli przyszedłem późno do domu.

Zacząłem przemyśliwać, jakby w przyzwoity
sposób rozstać się z rodziną Szwalbergów i poszu-
kać sobie nowego mieszkania...

Niestety, nieprzewidziana okoliczność stanęła
temu na przeszkodzie... Zachorowałem.

Nieznośny ból głowy i ogólna niemoc zmusiły
mnie do pozostania w łóżku. Prosiłem Katarzyny,
żeby poszła po lekarza, ta jednak uznała za właści-
wsze zameldować pani domu, żem zasłabł, że mam
dreszcze, ciągoty i głowę rozpaloną jak żelazko do
prasowania. Godna dama weszła do mego pokoju
z uroczystą powagą. Dotknęła ręką mego czoła
i rzekła:

— Stanowczo nie pozwolę posyłać po doktora...

Pokaż no pan język... Nie żenuj się pan, jestem
kobietą nie pierwszej młodości i matką dzieciom...
Już wiem, co panu jest. Wdaj się pan tylko z do-

ktorami, a nie obejrzysz się, kiedy pójdziesz na mary... Wprawdzie nie zasługujesz pan na naszą sympatyę, wprawdzie prowadzenie się pańskie pozostawia wiele do życzenia — ale na widok nieszczęścia, w każdej uczciwej kobiecie budzi się serce; to serce, z którym każdy z was chciałby igrać jak kot z myszą — ale my jesteśmy o całe niebo wyższe, wobec cudzych cierpień, nasze osobiste urazy milkną...

Chciałem zapytać, czém mianowicie mogłem urazić panią Szwalbergową, ale nie pozwoliła mi przyjść do słowa.

— To później, to później — rzekła, będzie jeszcze dość czasu... przedewszystkiem trzeba się wyleczyć.

Słyszałem przez drzwi, jak moja opiekunka odbywała konsylium z Katarzyną. Niestety, konsylium było dość burzliwe, a w samej dyagnozie ujawniły się zdania sprzeczne. Pani twierdziła, że się przejadłem, i że należy mi dać porządną porcyę emetyku, Katarzyna zaś była zdania, że się we mnie coś oberwało, i że trzeba mnie przedewszystkiem natrząsnąć. Oświadczyła zarazem gotowość wykonania tej operacyi, przy pomocy Onufrego, stróża, który się na takich rzeczach zna i niejednego już w podobnym wypadku skutecznie poratował.

Ponieważ w sporze z Katarzyną zdanie pani było rozstrzygające, przeto o natrząsaniu nie mogło

już być mowy; wszelako poczciwa kucharka postanowiła, niezależnie od środków leczniczych przedsięwziętych przez panią, wysmarować mnie okowitą z octem, co we wszelkich cierpieniach przynosi niezawodną ulgę. Ze swęj strony, Pelcia przysłała mi sześć kawałków cytryny, z zaleceniem, abym je przyłożył na skronie i czoło, a Olimpcia ofiarowała mi plasterek gorzycowy Rigollot, wprawdzie już nieco używany, ale jeszcze mogący skutecznie odciągać humory.

Koło południa przyszedł adwokat Klekotowicz i w sposób przyjacielski doradził paniom, ażeby, jeżeli nie chcą mieć w domu tyfusu, zarazy, a ewentualnie śmierci, kazały mi przystawić przynajmniej sześć pijawek za uszami... Odciągnięcie krwi w danej chwili, miało zapobiedz groźnym następstwom i ocalić życie człowiekowi, który wprawdzie nie zasługiwał na sympatyę, ale, bądź co bądź, godzien był przynajmniej litości.

Rada pana „mecenasa” przyjętą została z uznaniem — i to tak dalece, że do pijawek dołączono jeszcze wizykatoryę na karku...

Nie potrzebuję dodawać, że po zaaplikowaniu tych wszystkich środków, zrobiło mi się o tyle lepiej, że prawie nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

Leżałem jak bezwładny, poddając się biernie wszystki systemom kuracyi, na jakie zdobyć się

mogła zająca rodzina, odnajmująca przyzwoitemu młodzieńcowi pokój ze wspólnym wejściem...

Przypominam sobie, że dawano mi okłady zimne i gorące, stawiano bańki, kataplazmowano, smarowano różnymi spirytusami i maściami. Grube i twarde palce Katarzyny szorowały mnie po żebrach, sprawiając ból nieznośny... Nareszcie Bóg zmiłował się nademną i straciłem przytomność zupełnie.

Gdym po kilku dniach przyszedł do siebie, ujrzałem w moim pokoiku dwóch kolegów z biura, i lekarza kolejowego, który mi zalecił spokój i zapewnił, że jestem na drodze do wyzdrowienia. Rodzina Szwalbergów jaśniała radością, na widok, że troskliwość jej i kuracya wzięły tak doskonały obrót...

Przez następny tydzień myśl moja pracowała usilnie nad rozwiązaniem arcyciekawej zagadki: co jest znośniejsze: czy choroba, czy rekonwalescencya?

Mama Szwalbergowa postanowiła mnie odżywiać, a wszyscy w całym domu starali się o to, żeby było cicho...

Co chwila musiałem połykać jakieś rosoły, befsztyki, najrozmaitsze potrawy, które pechano we mnie na gwałt, pomimo że opierałem się wszelkimi siłami.

Adwokat Klekotowicz kupił, ma się rozumieć za moje pieniądze, funt kawioru, a poczciwy maszynista przydzwigał butelkę koniaku, przeszwarco-

wanego z Katowic... Dzielny ten człowiek, silny jak Samson i ważący około trzystu funtów, żywił pogardę dla wszelakiej wiedzy medycznej i dowodził, że jednem i jedynem lekarstwem na wszelkie słabości i cierpienia ludzkie jest koniak, zwłaszcza pruski, notabene, jeżeli się go przyjmuje w imponujących dozach.

Według twierdzenia zacnego mechanika, gdyby ludzie pili tylko koniak i używali dwa razy na tydzień łaźni parowej, mogliby się zupełnie a zupełnie obchodzić bez lekarzy i żyliby po sto pięćdziesiąt lat przynajmniej.

Wszyscy członkowie rodziny starali się o to, żebym miał spokój, przy rekonwalescencji niezbędny — to też co pięć minut rozlegały się po całym mieszkaniu straszne krzyki na niesforne dziecięczki.

— Cicho! bębny nieznośne! — wołała na cały głos pani Szwalbergowa, czy nie wiecie, że pan Stanisław jest chory i potrzebuje spokoju?...

— Będziesz ty cicho! raku jeden! — wrzeszczała Katarzyna na Lolusia, który bardzo lubił przychodzić do kuchni i czynić tam różne psoty — a to pędrak utrapiony! Tam panisko chore, ledwie że się wygrzebało z ciężkiej niemocy... a on wrzaski wyprawia...

Dzięki tej dbałości o spokojność i ciszę, nie słyszałem istotnie głosu dzieci, gdyż krzyki ich

głoszyły ciągle sopran Pelci, kontralt Olimpci i potężne głosy pani Szwalbergowój, oraz Katarzyny.

Głowa moja była blizka pęknięcia, pomimo, że Pelcia po kilka razy na dzień przysyłała mi świeże plasterki cytryny...

Pewnego dnia, gdy już byłem znacznie zdrowszy, pani Szwalbergowa oświadczyła mi, że Pelcia chce mnie zobaczyć...

— Biedne dziecko — mówiła zacna dama, co ono przez ten czas wycierpiało! Nie znam dziewczyny z tak dobrém sercem... Musiałeś w czepku przyjsć na świat, panie Stanisławie. Pozwolisz pan, że ja tu wprowadzę...

Ubrałem się naprędce. Po chwili weszła pani Szwalbergowa z Pelcią, która wyglądała jak wcielone pocieszenie rekonwalescentów.

Włosy miała cokolwiek w nieładzie, oczy jakby dopiero z łez otarte. Podała mi białą rączkę, którą uścisnąłem lekko, dziękując za troskliwość, jaką byłem otoczony podczas choroby.

— No, moje dzieci — rzekła mama — muszę ja pójść do kuchni. Porozmawiajcie ze sobą... pan Stanisław nudzi się sam, może więc w twojém towarzystwie, droga Pelciu, odzyska humor...

Przypuszczenie to nie było zbyt trafne. Trudno było mi odzyskać humor w towarzystwie Pelci, która była mileżąca i jakby zawstydzona...

Zaczynałem rozmowę to o tém, to o owém, ale

jakoś nie szło. Panna Pelagia albo nie odpowiadała wcale, albo odpowiadała półsłówkami. Mówilem o kwiatach, literaturze i teatrze. Dała mi do zrozumienia, że w obecnym nastroju jęj ducha, o kwiatach nie myśli, literatury nienawidzi, a teatrowi życzy, żeby się zawalił co prędzej. Zapytana o przyczynę takich czarnych myśli, odpowiedziała, że życie jęj zbrzydło i utraciło w jęj oczach powaby.

— Dawniej — mówiła — byłam wesola, ożywiona, lubiłam towarzystwo i muzykę, dziś już mnie nic nie zajmuje i nic nie obchodzi. Podobno słońce świeci, kwiaty pachną, słowiki śpiewają, przecież to właśnie pora... Co do mnie, nie słyszałam ich śpiewu i słyszeć go nie chcę. Smutno mi. Fortepianu nie dotknęłam już od dwóch tygodni... Dla kogo mam grać?

— Choćby dla siebie samęj, dla własnej przyjemności.

— Egoistką nie jestem... Nie, panie, nie... Życie moje już złamane, pragnę tylko ciszy, spokoju i zapomnienia. Gdyby mnie jaki dobry geniusz zaniósł na bezludną wyspę i porzucił samotną, w cieniu wielkich drzew, w grocie wykutęj w skale... byłabym najszczęśliwszą...

Umilkła. Czulem, że wypada mi paść na kolana i przykładając rękę do serca zawołać:

— Pelciu! Aniele, duszo męj duszy! gwiazdo moich gwiazd!... pozwól, że ja będę tym dobrym

geniuszem i zaniosę cię na odludną wyspę. Tam, zdala od świata, zdaleka od ludzi, pić będziemy z czystego źródła zachwyków i uniesień... Zgodne bicie dwojga naszych serc słyszeć będą rajskie ptaki, kołyszące się na gałęziach, świadkiem naszych rozkoszy będzie antylopa o ślicznych wilgotnych oczach...

Nie mogę powiedzieć, żebym Pelcie kochał — ale w tej sytuacji, może byłbym się oświadczył, choćby tylko przez grzeczność... lecz z czego bym żonę utrzymał? Bądź co bądź, za najmniejsze dwie pieczary i kuchnię na odludnej wyspie, trzeba oddać blisko połowę pensji — kilka funtów antylopy na rosół, korzonki i zioła niezbędne do pożywienia, pochłoną resztę — a w cóż odzieję moją piękną pułstelnicę? czem okryję alabastrowe jej ramiona... za co umebuję wnętrze grotty, w której dwoje serc naszych ma uderzać zgodnie, do czasu pierwszej sprzeczki przynajmniej...

Wobec takich poważnych zagadnień, na które nie mogłem znaleźć odpowiedzi, nie pozostawało mi nic innego, jak tylko westchnąć nad losem nieszczęśliwej Pelci, i zapewnić ją o mojej wdzięczności i niekłamanej sympatii.

Staralem się dowieść, że obecny stan jej psychiczny jest prawdopodobnie wynikiem nadwątłego zdrowia i chorobliwego rozstroju nerwów. Radziłem jej, żeby spróbowała hydropaty...

Podniosła się z krzesła i spojrzała na mnie wzrokiem obrażonej królowej, poczem westchnęła cicho i wyszła.

Gdy zamknęła drzwi do uszu moich doleciało kilka wyrazów rozmowy.

— I cóż? i cóż? — pytała z gorączkową ciekawością mama, którą poznałem po głosie...

— Nic, była cicha odpowiedź.

— Jakto? pomimo wszystkiego, nic.

— Nic, moja mamoo...

— A to osioł!! — zawołała już głośno, nie kryjąc swego oburzenia pani Szwalbergowa. A trzeba wiedzieć, z jakim akcentem wymówiła ten brzydki wyraz... słychać w nim było najmnień siedmdziesiąt cztery S., co sprawiało efekt syku węzów, świstu wiatru, szmeru wody, przedzierającój się zdradziecko przez tamę.

Domyśliłem się łatwo, że niepochlebny wyraz wysłany został pod moim adresem i że od téj chwili będę znany w rodzinie Szwalbergów pod nowym pseudonimem...

Westchnąłem. Do wygod pokoju przy zacnej rodzinie ze wspólnem wejściem, przybył mi jeszcze i tytuł.

Słyszałem, jak pani Szwalbergowa mówiła, że to się tak skończyć nie może, że trzeba, aby adwokat Klekotowicz i maszynista pan Jan rozmówili się ze mną na seryo i energicznie. Klekotowicza

nie bardzo się lękałem. Byłem pewny, że ten kauzyperda, nawet na prośby Olimpci nie wyjdzie z roli pokątnego doradcy i co najwyżej wytoczy mi proces o jakie niebawale straty i szkody — ale maszynista budził we mnie niejaki obawy...

Chłop jak lew, gburowaty i trochę awanturnik, miał pięście wielkie, żylaste, twarde, które w danym razie mogłyby wyrzeć ciśnienie co najmniej pięciu atmosfer na grzbiet bliźniego. Jeżeli takimi argumentami zechce wzbudzać we mnie gwałtowną miłość dla Pelci, to będę pięknie wyglądał! W najlepszym razie, Pelcia mogłaby dostać mnie pod dożywotnią władzę z nadłamanymi żebrami.

Ostatecznie, gdyby mnie wyzwali na pojedynek — stanąłbym... Cóż robić! raz kozie śmierć, ale narażać się na awantury, człowiekowi spokojnemu... to nie arcyprzyjemna perspektywa!

Długo zastanawiałem się nad położeniem, które zaczynało być tragiczne i szukałem drogi wyjścia... Po dojrzałym namyśle postanowiłem zdobyć się na odwagę i odrazu przeciąć wszelkie kwestye...

Na trzeci dzień potem, ubrawszy się jak mogłem najstaranniej; wszedłem śmiało do salonu pani Szwalbergowej.

Zacna dama zmierzyła mnie wzrokiem, który zdawał się zapowiadać, że mnie zmiażdży na proszek, Olimpia siedziała na kozetce, obok niej Kle-

kotowicz z zaciśniętymi ustami i bardzo złośliwym wyrazem twarzy.

Pelcia w pół leżąc, w pół siedząc na dużym fotelu, trzymała w ręku robótkę...

— Szanowna pani — rzekłem kłaniając się mojej gosposi — przychodzę dopełnić obowiązku, który mi leży na sercu...

Pani Szwalbergowa spojrzała znacząco na Pelcie...

— Należało to dawno zrobić — rzekła z godnością — dziś może być już zapóźno... ale słucham pana... owszem słucham, nawet bardzo uważnie słucham... Istotnie, przekonywam się sama, że wyrozumiałość moja nie ma granic... Jest bezbrzeżna jak ocean. Olimpia mi to codzień powtarza...

— Naprzód winienem panią dobrodziejkę przeprosić, że przez czas mego mieszkania tutaj mogłem jej mimowoli wyrządzić przykrość.

— Ach panie! któryż to z was, mężczyzn, żyje moralnie, nie włóczy się po nocach.. to przecież swoja rzecz...

— Przepraszam stokrotnie... Zarazem pragnę podziękować za troskliwość i opiekę, jaką byłem otoczony podczas choroby, i uregulować zaległy rachunek.

— Takich rzeczy panie nie płaci się pie-

niędzmi — rzekła z godnością — a zresztą nie ma nic pilnego... przecież nie upominam się...

— Istotnie, delikatność pani zawstydzia mnie, lecz ponieważ od dziś to mieszkanie opuszczam...

— Co?! — zawołała pani Szwalbergowa podnosząc się z krzesła.

— Wyjeżdżam dziś, proszę pani. Lekarze zalecili mi pobyt na wsi, a że otrzymałem urlop...

Pelcia pochyliła głowę na poręcz fotelu...

— Proszę pani rzekłem — oto jest należność.

— Za pozwoleniem — wtrącił Klekotowicz — to wcale nie jest należność. Trzeba panu wiedzieć, że należnością w danym razie nie nazywa się to, co się należy, lecz to, co ewentualnie z kosztami należy się może... Czy sądzisz pan, że wyprowadzając się nagle, bez uprzedniego wypowiedzenia, nie narażasz pani Szwalbergowej na straty? Czy wyobrażasz sobie, że istnieje na świecie sąd, który nie skaze pana na zapłacenie straconych korzyści i kosztów procesu? Czy nareszcie zdaje się panu, że wolno jest zmieniać mieszkanie, tak jak krawaty, albo rękawiczki? bez uprzedniego wypowiedzenia, bez dania stronie interesowanej czasu i możliwości wyszukania nowego lokatora. Tak pan sądzisz? Otóż zmuszony jestem uprzedzić pana, że jesteś w błędzie. Na szczęście, prawo przewiduje podobne wypadki, a ja postaram się zatrzymać pańskie

ruchomości na pewnoś... Nie wolno krzywdzić biednych kobiet, mój panie...

— O tak! patrz pan na Pelcie. Biedne dziecko!

— Zdaje mi się — rzekłem — że pan adwokat myli się; ja nie krzywdzę pani Szwalbergowój, albowiem porozumiałem się już z kolegą, który weźmie ten pokoik na takich samych warunkach.

— To jeszcze kwestya czy go pani przyjąć zechce?

— O nie! nie! — zawołała w najwyższém oburzeniu dama — dość już mam tego, dość! Niepokój po nocach, otwieranie drzwi nad ranem, grymasów co niemiara...

— Pani — rzekłem z wyrzutem — czy kiedy chociaż jedném słowem zganilem obiady, czy dałem poznać...

— Tak, nie mówiłeś pan nie, bo jesteś skrytego charakteru i milczek, ale myślałeś... O ja wiem, że pan myślałeś... a to dość. Ja jestem nieprzyzwyczajona do znoszenia tego, co sobie tam jakiś ktoś myśli! Chciój pan o tém pamiętać, że kobieta, która czuje swoją godność, jest kobietą czującą swą godność... W takich zasadach byłam wychowana i w takich zapewne umrę. Wolę wszystko stracić, byle tylko swoją godność zachować swego honoru nie dać na poniewierkę.

Główka Pelci opuszczała się coraz niżej...

— Morderco, tygrysie! — zawoła pani Szwal-

bergowa biegnąc ku córce... — Morderco coś zrobił! zabiłeś mi dziecko! Rozdarłeś niewinne serduszko. Podejściem, intrygami, zawracaniem głowy, wzbudziłeś uczucie w dziewczątku, które dotychczas kochało tylko matkę! Czy nie widzisz, że ona mdleje, że bez ciebie żyć nie może! Olimpiu! Ona zemdląła, pomóż mi ją ratować... Ach! co za niegodziwość szkaradna! Co za zbrodnia wołająca o pomstę do nieba i do wszystkich piekieł!

Nie mogłem znieść naraz tylu wzruszeń i korzystając z zamieszania, uciekłem, pozostawiając na pastwę losu i adwokata, moje biedne ruchości...

Ciepło rodzinne, którego tak pragnąłem, oparzyło mnie fatalnie.

Opuściłem plac boju.

Z całą serdecznością, pokorą i skruczą przyznaję się do braku odwagi. Trudno, nie jestem rycerzem, lecz zwykłym pracownikiem kolejowym, w wydziale tłokoków o umiarkowanej szybkości.

Może właśnie ten rodzaj zatrudnienia rozwinął we mnie zdolność do odwrotu. Nigdy w życiu, żadnego transportu nie wyekspedyowałem tak szybko, jak siebie samego z mieszkania pani Szwalbergowej.

Nająłem sobie pokoik, aż na Elektoralnej ulicy u jakiejś emerytki, staruszki.

Ta przynajmniej, myślałem sobie, nie będzie

ujawniała aspiracyj matrymonialnych — i nie ujawniała ich istotnie... ale za to znów miała tyle różnych dziwactw i grymasów, że zaledwie dwa miesiące mogłem z nią pod jednym dachem wytrzymać.

Później istotnie wyjechałem do krewnych na wieś, gdzie zabawiłem przez czas dłuższy. Urlop mój skończył się, powróciłem do Warszawy. Chciałem powrócić do pierwszej mojej stancyjki, byłem już nawet w sieni tego domu, aby rozmówić się z gospodarzem, lecz po chwili namysłu cofnąłem się...

Bądź co bądź, myślałem sobie, samemu jest źle. O własnej rodzinie marzyć mi nie wolno, ale dla czegoż nie miał-bym zbliżyć się do cudzej. Lubię towarzystwo, lubię dzieci... Wprawdzie u pani Szwalbergowej towarzystwo doprowadziło mnie do smutnych rezultatów, a dzieci... dzieci stanęły mi kością w gardle. Zniszczyły moje album, poplamily pamiątkowe fotografie, potłukły drobne graciki, do których przyzwyczailem się — ale przecież cały świat nie składa się z takich rodzin, jak ta przy której mieszkałem.

Postanowiłem spróbować jeszcze szczęścia. Będę ostrożniejszym, będę się trzymał zdaleka, dopóki doskonale nie poznam z kim mam do czynienia...

Próbowałem, szukałem... przez rok zmieniałem mieszkanie pięć czy sześć razy i, niestety, nigdy nie mogłem dobrze trafić.

Miałem pokoje z wejściem oddzielnem, lub

wspólnem, a najczęściej ze wspólnym dymem, wspólnym śwędem, wspólną wilgocią i krzykiem. Miałem różne gosposie i różne opieki i przyszedłem do wniosku, że najlepiej jest żyć swoim dworem.

Przeniosłem się téż ostatecznie do hotelu, jadam w restauracyi, a jeżeli zapadnę na zdrowiu, to udaję się wprost do szpitala, gdzie mam ciszę, spokój, kuracyę jak się należy i pocziwą opiekę siostry miłosierdzia... bez pretensyj do dozgonnej wdzięczności, bez wymagań, abym za poświęcenie płacił osobistą wolnością.

Kto jest tyle szczęśliwy, że ma własną rodzinę, niech się nią cieszy, my zaś samotnicy, my biedne bociany bez pary, musimy korzystać z instytucyj publicznych, gdyż w tych jesteśmy obsłużeni najlepiej i mamy wszelką swobodę.

Bracia w celibacie, zapiszcie sobie te słowa.

Co do mnie, pragnąłem szczerze mieć własną rodzinę, było to mojem marzeniem od czasu, w którym mi wąsy rosnać zaczęły — ale jak powiedziałem na początku, etaty naszej drogi nie są obliczone na ludzi familijnych...

W początkach mojej karyery, gdym miał jeszcze młodość, siły, energię, nie mogłem się żenić dla braku odpowiedniego utrzymania; dziś, gdy dobiłem się już jakiejś takiej pensyjki gdy od biedy miałbym czem rodzinę wyżywić, młodość przeszła, siły

się wyczerpały, a energia ujawnia się tylko przy szachach.

Stało się... Jest jak jest, bo inaczej być nie może... lecz spieszę dokończyć ten fragment starokawalerskiego pamiętnika...

W trzy lata od owjej chwili, w której pani Szwalbergowa nazwała mnie tygrysem i mordercą Pelci, szedłem zamysłony przez Aleje Ujazdowskie.

Dążyłem do ogrodu botanicznego, albowiem miłe to ustronie ma dla mnie niewypowiedziany urok i w niēm najchętniej letnie wieczory przepędzam... Z rozkoszą oddycham wonią kwiatów, z rozkoszą wciągam w płuca miłe balsamiczne powietrze.

Właśnie mijalem Dolinę Szwajcarską, gdy nagle na ramieniu uczulem ciężar, jakby kto na niēm cegłę położył... Obejrzałem się.

Był to kuzyn pani Szwalbergowej maszynista...

Utył trochę, brodę zapuścił i, przynajmniej w moich oczach, miał minę świętokrzyzkiego zbójcy.

Drgnąłem.

No, myślę sobie, będzie mi ciepło... ciekawym co ten bandyta ze mną zamierza uczynić?

— A jest nareszcie zguba! — zawołał tryumfująco — jest zguba!

— Panie...

— Może pan nie przypominasz sobie?

— Ależ owszem pamiętam, doskonale pamiętam. Czyż mógł-bym zapomnieć?

Bandyta wyszczerzył białe zęby i śmiał się...

— Figlarz z jegomości — rzekł — figlarz, panielkom głowy zawracać, to podobno pański fach, pańska specjalność!...

— Ja... to jest właściwie...

— Nie udawaj pan niewiniątka. Jużci nie zaprzeczysz, że umizgałeś się go Pelci.

— Nawet przez myśl mi to nigdy nie przeszło.

— Ktoby panu wierzył?...

— Mogę pana zapewnić.

— Gadanie! ale nie o to idzie... Co się mamy kłócić; ja jestem kolejarz, pan kolejarz, ostatecznie łączy nas koleżeństwo... Co się stało, to stało. Oto lepiej weźmy dorożkę i pojedziemy na kolację...

— Ale...

— Nie ma mowy, siadać i jechać! Co kolega fanaberye stroisz i gardzisz mojem zaproszeniem.

Pocziwy Jaś, był już trochę pod dobrą datą, uważałem więc, że lepiej go nie drażnić...

— Dobrze — rzekłem — pojedę, nawet z przyjemnością pojedę.

— Tak to rozumiem. Zawsze miałem do ciebie słabość, panie Stanisławie, a chociaż nie chciałeś się ubrać w Pelcię, to dla mnie ostatecznie jest *ganz pomade*...

— Ubrać w Pelcię?!

— A ma się rozumieć... Możeś już zapomniał, co było przed trzema laty?

— Owszem, pamiętam...

— I ja to pamiętam... Przywlekłem się towarówką i ogarnawszy się trochę, poszedłem na Wspólną, to jest do Szwalbergowej. Niby to moja kuzynka... co prawda, dziesiąta woda po kisielu... Żeby ten gałgan Szwalberg chciał umrzeć, a ona żeby była młodsza, to mógłbym się z nią ożenić jak nic... Ale nie dokończyłem. Przychodzę tam i zastaję awanturę... Szwalbergowa aż kipi. Czerwona jak haltsygnal, rozkrzyczała się całą parą! Pelcia piszczy, jak alarmowa gwizdawka!! Olipcia jęczy, a ten mydłek Klekotowicz ciągle dogaduje: zapoznać, zapoznać... Ledwie się dopytałem co się dzieje. Wykryło się, że to wszystko twoja sprawa, panie Stanisławie. Ładny z ciebie kwiatek!...

— Ależ przysięgam...

— Daj pokój, nie przysięgaj. Słuchaj dalej. Szwalbergowa płacze i zaklina mnie, żebym ci wszystkie kości połamał.

— I byłbyś pan to zrobił?...

— W pierwszej chwili może... bo jakoś kobiecie nie wypada takiej małej grzeczności odmówić, ale później myślę sobie: za co? alboż mało głupich na świecie, nie będzie ten, to będzie drugi. Zresztą miałem do pana słabość. Choćbyś nawet i zawra-

cał Pelci głowę, to przecież nie zbrodnia. Na całym świecie młodzi chłopcy to robią, a młode dziewczyny to lubią. Taki jest rozkład pociągów życia ludzkiego. Powiedziałem sobie tedy, że ani cię szukać nie będę, ani żeber łamać nie myślę, boś jest kolega i dzielny chłop, chociaż niepokazny... Klekotowicz dogadywał, ałem mu powiedział, żeby się w nieswoje rzeczy nie wdawał, bo może wyjść na tém jak Zabłocki na mydle. Ucichł. No — wstąpmy tedy na buteleczkę. Mam czas i wypić i wyspać się. Jutro dopiero w południe jadę siedemnastym numerem, a przez ten czas można Bóg wie co zjeść i wypić.

Weszliśmy.

Kazałem dać butelkę, przy której panu Janowi język się jeszcze bardziej rozwiązał. Opowiadał o swoich kłopotach, przeklinał wydział ruchu oddzielnie i wydział mechaniczny oddzielnie, a cały zarząd kolei razem. Opowiadał jak mu milowe obcinają, jak trudno jest oszczędzić co na węglach, wynurzał się z żalami, że dziś tylko protekcyja coś znaczy i że szczerą pracą nikt do niczego nie dojdzie... Zwyczajnie, jak kolejarz, mówił o tém, co mu najbardziej dolegało.

Skierowałem rozmowę na dawne czasy i zapytałem o panią Szwalbergową i jej córki.

— Ona wygląda jak ćwik — rzekł — trochę jeszcze przytyła, ale to jej nie szkodzi. Trzyma zawsze

większe mieszkanie i miewa pokoje do wynajęcia. Po tobie, panie Stanisławie, było już z piętnastu lokatorów.

— Klekotowicz zawsze asystuje?

— A jakże... Ciągłe nibyto robi kroki rozwo-
dowe dla Olimpci... ale zdaje mi się, że w rezultacie
rozwiedzie ją z tą resztą pieniędzy, jaka jęj pozos-
tała, a potem puści ją kantem. Nie lubię tego
obludnika i jeżeli kiedy Szwalbergowa poprosi że-
hym go moresu nauczył, to zabiorę się do niego z gu-
stem... Jak go trączę w tender, to wszystkie węgle
pogubi, lis jeden... Niech on mi się nie nastrecza...

— A Pelcia? — spytałem nieśmiało.

— Aha! — rozśmiał się mechanik — tegom cze-
kał, wiedziałem, że się o nią zapytasz... Teraz się
nie wyprzesz, że ci w oko wpadła...

— Ale zkąd!...

— Po co ta obluda?... U mnie, widzisz, co
w głowie to w mowie, co w myśli to na języku...
Co mam gadać, to powiem i, żebym nawet siedmiu
żydów zabił, tobym się nie wyparł. Nie masz się
czego wstydzic, Pelcia nie była brzydka dziew-
czyna...

— Spodziewam się, że miewa się dobrze.

— Nie bardzo. Wyszła za mąż.

— Dawno?

— Może wpół roku po awanturze z tobą, zrobi-
ła się druga awantura.

— Jakto?

— A tak, sprowadził się młody człowiek, wziął po tobie i mieszkanie i sukcesyę. Kochliwy mazgaj, odrazu zaczął się do Pełci umizgać. Ona z początku nie chciała, udawała, jak sądzę... Potem, gdy miał się wyprowadzić, znowu był ambaras. Posyłali po mnie — no i jakoś zrobiły się zaręczyny, a potem ślub... Już mają dwoje dzieci, ale że jego pensyjka nieduża, więc bieda aż piszczy. — Żyją téż ze sobą jak pies z kotem. Ona jemu wymawia, że nie ma dużej pensyi — on jój, że nie dostał żadnego posagu... Czasem się kłóca i wtenczas ona zabiera dzieci i ucieka do matki... ale to długo nie trwa. On przychodzi, przeprasza, zabiera swoje skarby i znów jest święta zgoda, na tydzień... Dobrze zrobiłeś, żeś się w Pełcię nie ubrał, bo między nami mówiąc, jest to nie osobliwe stworzenie. Złe jak osa, a skąpa, głodem by cię zamorzyła... A może ciebie nie — dodał po namyśle...

— A to dla czego?

— Ona cię kochała.

— Żarty!

— Naprawdę kochała cię...

— Zkąd pan możesz to wiedzieć?

— Sama mi powiedziała. Jeszcze na trzy dni przed ślubem mówiła do mnie, że ciebie jednego kocha.

— A jednak wyszła za tamtego.

— Cóż miała robić? Przecież nie mogła dla twoich pięknych oczu zostać starą panną... Zresztą, co ja tam wiem, powtarzam, com słyszał, a czy to prawda, nie ręcę i nie wiem. Kto z kobietami dojdzie do ładu? u nich inaczej się mówi, a inaczej pisze, a jeszcze inaczej myśli. W wilję ślubu jeszcze mówiła do mnie, że nie przeżyje swego smutku, że serce jęj pęknie.

— No... ale dzięki Bogu, dotychczas nie pękło.

— Cóż chcesz!... Czy serce takiej Pelci jest kocioł parowy, żeby miało pęknąć. Zawsze znajdzie się w niem jakaś zapasowa klapka, która odwróci katastrofę...

K O N I E C.

SUKCESYA PO GOZDAWACH.

.
Cóż robić, gdy ziemię, jak okiem daleko sięgnąć, ubieli śnieg, gdy grubą, łokciową warstwą ułoży się na polach, na łąkach, na zamarzniętej powierzchni jeziora?... Wyjść z pieskiem do lasu, wzięwszy strzelbę na ramię, nie sposób, bo śnieg głęboki — i ochoty człek nie ma do łowów... Wiatr rozhulał się na dobre, a i mróz szczypie nie żartem... W stodołce roboty nie ma... wymłócono już wszystko, a koło dobytku stary Szymon z dwoma parobkami chodzi poczciwie i ani go doglądać, ani popędzać nie trzeba...

Magda narecze drzew przyniosła, rzuciła je przed kominek aż szyby w oknach zadrżały... i po chwili już ogień błyska wesoło...

Płomyki czerwone uciekają w górę, za nimi drugie gonią, a za drugimi znów inne; czasem strzeli głośno drzewo gorejące, iskrami sypnie, węgiel rozżarzony aż na pokój odrzuci i znowu płonie

eicho, równo, póki nie zostanie z niego spalona głowienka... w pół spopielala, w pół czarna.

Patrzy oto człowiek w ten ogień jasny i duma, a myślom się opędzić nie może... Zarzewie wspomnień tli się w duszy, w sercu, rozplomienia, wybiega uśmiechem na usta, rumieńcem na twarz, albo chmurką na czoło, łzą na oko... i tak całego człowieka ciepłem swoim obejmie, że ani mu się oprzeć, ani obronić nie sposób...

Ileż razy przed tym samym kominkiem siedziałem i rozpamiętywałem chwile ubiegłe, a zawsze te same obrazy snuły cię przed oczami méj duszy... Zawsze stare i zawsze mimo to świeże... A gdyby... gdyby też spisać owe krótkie dzieje długiego życia, gdyby je przenieść na papier, duszę w nie tchnąć i myśl, a uwięzione w martwych literach dołożyć do owéj sukcesyi po niegdyś Janie Gozdawie, sukcesyi, którą tak niespodziewanie objąłem...

.

O sobie samym niewiele mam do powiedzenia. Przyszedłem na świat w jakimś białym domu nad Wisłą i pamiętam go jeszcze jak przez sen... Rodzice moi nie byli ani bardzo biedni, ani bardzo bogaci i oboje pomarli wczesnie... Dzieci, prócz mnie jednego, nie mieli. Po śmierci ojca i matki dostałem się wraz z białym dworkiem i kawałkiem ziemi, który do niego należał, pod władzę opiekuna... Był to jakiś daleki krewniak ojca, człowiek niezły, ale

podobno grosz go okrutnie w ręce parzył... Nie będę opisywał, jak co było i jak się stało, bo dzieje to przestarzałe i nikogo obchodzić nie mogą — dość, że dworek mój po ojcu i ziemia przeszły w inne ręce, a przedemną stanął otworem świat szeroki...

Idź gdzie chcesz i szukaj czego chcesz...

Przecież nie zginąłem.

Opiekun mająteczek mi stracił, ale naukę jaką taką dał; skończyło się szkoły u Pijarów, nawet nie źle się skończyło, a że w owych czasach kto chciał, to pracę bez trudności znajdował, więc dostałem się na aplikację do sądu, a po latach dwóch miałem już posadkę skromną, ale na opędzenie życia wystarczającą... I tak oto czas szedł przy pracy i przy skromnych rozrywkach; awansowałem, pensję mi zwiększano, a nawet ludzie zaczęli mnie namawiać, żebym się żenił...

Nie byłem ja ci od tego, ale że lubiłem wszystko z rozmysłem robić, więc nie spieszyłem się, chciałem przede wszystkim dojść do fundusiku jakiego. Pisywało się wolnym czasem to u regentów, to w hipotece i nie mogę się skarżyć, żeby mi źle było. Owszem, miałem dobrą opinię u zwierzchników, zarobek i nadzieję przyszłości. Oto wszystko, co miałem do powiedzenia o sobie, teraz wypadnie mi mówić o innych...

Miałem około trzydziestu czterech, czy może trzydziestu pięciu lat życia, gdy zaszedł wypadek,

który pchnął mnie na zupełnie nowe drogi. Jacyś dalecy krewni legitymowali się do spadku po niegdy Janie Gozdawie. Gdy ogłoszenie wpadło mi w ręce, zastanowiłem się... Wiedziałem, że właśnie nieboszczka moja matka była Gozdawianką *de domo* i słusznie przyszło mi na myśl, ażali i ja nie mam prawa do téj sukcesyi... Udałem się po radę do doświadczonych jurystów, zaczęliśmy szperać, poszukiwać, zbierać dowody — i pokazało się, że owi dalecy krewni nie mają żadnego prawa do sukcesyi i że jedynym spadkobiercą jestem ja, jako sukcesor praw matce mojej przysługujących.

Niegdy Jan Gozdawa był rodzonym stryjem mojej matki, a więc moim dziadkiem; że zaś zmarł bezpotomnie za granicą, we Francyi, gdzie ostatnie lata życia swego przepędził — i rozporządzenia żadnego co do majątku nie uczynił, przeto takowy z prawa przechodzi na moją matkę, a ewentualnie na mnie, jako jedyne jej spadkobiercę.

Strutynowawszy to wszystko, zebrawszy dowody, wylegitymowałem się z praw swoich.. proces wygrałem we wszystkich instancjach, i ostatecznie spadek przy mnie pozostał. Nie wielka to była habenda, ale habenda, bądź co bądź nie do pogardzenia. Fólwarczek mały, w niezłej glebie, z łąką, wodą, z kawałkiem lasu, który do rozległych księżęcych borów przytykał.

Nie przechodziło mi nawet przez myśl, aby urzę-

dowanie opuścić i gospodarstwo objąć, ale zobaczyć Pustelnię pragnąłem koniecznie. Pałała mnie ciekawość jak też wygląda mój własny kawałek ziemi? Czy taki jest jak inne, czy może przyjemniejszy, piękniejszy?... Od młodych lat chowałem się w mieście, wśród murów, tam spędziłem najpiękniejszy czas życia — a przecie, gdy mi przyszło na myśl, że posiadam własny kawałek ziemi — to zapachniała mi ona osobliwie; poczułem, że mnie do niej coś ciągnie, wabi, że woła prawie ludzkim głosem. Powiadają, że niektórzy ludzie we krwi już mają takie dla ziemi kochanie, widocznie w moich żyłach nie insza też krew płynęła.

Otrzymawszy urlop, udałem się do Pustelni.

Przez trzy, czy pięć dni jechałem po drogach najszkaradniejszych i wertepach, bo zjechawszy z głównego traktu, trzeba się było bocznymi drogami, przez wielkie lasy, przez bagna dostawać. Jechałem rzemiennym dyszlem, jak to mówią... Z początku, na głównym trakcie z żydami, bo wówczas wielkie brodzkie bryki chodziły i można nimi było wygodnie, chociaż bez wielkiego pośpiechu, peregrynować, a później na bocznych szlakach chłopskimi furkami się wlokłem, od wsi do wsi, nocując po karczemkach, albo-li też, co przyjemniejsze było, pod gołym niebem, w lesie.

Ładny był czas wtedy, a już noc piękna szczególnie, bo w dzień gorąco dokuczało, nocą zaś wie-

trzyk chłodził... Nad lasem niebo było czyste, bez chmur, zasiane złocistemi gwiazdami.. a w boru gałęzie szumiały, jakby gwarząc, jakby spowiadając się jedna przed drugą.

Na ostatnim noclegu, przed ostatecznym kresem mojej podróży, chłop, który mnie wiozł, rozmowę ze mną zaczął. Odzywał się bojaźliwie, nieśmiało... niby chciał mi coś powiedzieć, a nie śmiał.

— To już jutro — rzekł — zanim słońko ku południowi się podniesie, będą pan w onęj Pustelni.'

— Ja nie wiem — odpowiedziałem — bom w tych stronach pierwszy raz, ale skoro powiadacie, że przed południem staniemy, to zapewne tak będzie.

— A juści, że będzie, wielmożny panie — rzekł chłop, wpatrując się w gwiazdy. — Ono już kiele północkska tera; niech ta szkapiny obroku dojedzą, a pan się krzynkę prześpią, to się powlecjemy pomaleńku. Tu nie pogoni, panie, bo piachy tęgie wskrós, het, pod samą Pustelnię... Znam ja tu każdy krzaczek, panie, znam. Da Bóg miłosierny doczekać, jeno gwiazdy pobieleją krzynkę, to pojedziem... O wschodzie staniem przy Michałowym młynie... tam znów szkapiny kłaczek siana zjedzą, napoję je i pojedziemy dalej, bez Lisi Majdan, bez Wisielcowy Grądzik, bez Wilczedoly, a potem wskrós lasem mała milka drogi... ta i Pustelnia!...

Wielmożny pan pewnie ze słodkością serca jedzie, jako do swojaczyny swojój, do dziadkowego gruntu; a ktoby ta do gruntu ze słodkością serca nie szedł?... Już taki chyba z nieba samego je przykaz, że człowiek, na to mówiący, do ziemi ciągnie. Choć ona nie zawdy przychylna, o nie zawdy panie! Człek upracuje, umolestuje, umęczy się do ostatniej kropli potu... a ona nie urodzi i głód wypadnie przy- mierać... i jużby chciało się pomstować i przeklinać, ale gdzieby ta kto świętą ziemię przeklął!... Niech- no jeno wiosna przyjdzie... już człowiek, jak ptak na skrzydłach na pole-by leciał, już do niej, do oniej ziemi z pługiem, już z broną, już z ziarnem... bo jużci naród z tej ziemi świętej życie ma i nie jest żadna rzecz na świecie, coby z ziemi nie była... a przecie jenszy kawałek ziemi taki będzie, że za- wdy...

— Co?

— Et, tak się rzekło... oto niechęący, jako zwy- czajnie chłop głupi. Dobrze to powiadają, że podob- niej chłopu cepem młócić, niżeli językiem obracać, bo młóci celne zboże, a co powie to i plewy nie warto...

— Dlaczego mój człowieku? owszem, podobno to chłopski rozum właśnie najlepszy...

— A jużci, ale powiadają też i tak: Chwalił się chłop jeden, że u niego dziedzic bardzo dobry je. A gdzie ten dziedzic? pytają ludzie. Tedy chłop po-

wiada: a właśnie, że go nie ma. Tak to panie i z onym chłopskim rozumem, musi on bez to dobry, że go nie ma, ale co ta bajdurzyć, niech się pan położą, ta i usną. Jeśli pan nie wzgardzą, toby można sukmaninę moją pod głowę...

— Bóg zapłać, człowieku — odrzekłem — do spania nie mam jakoś ochoty, wolę oto raczej, na gwiazdy patrząc, pogwarzyć... Wy znacie Pustelnię, byliście tam kiedy?

— A juści znam, znam panie... Oj, oj, bywało się tam nieraz, bywało... nasza wieś do księżących dóbrów należąca, to czasem wypadnie do lasu, właśnie aż pod samą Pustelnię dojeżdżać.

— Powiedcież mi tedy co o niej.

— Ta i co mam powiedzić? Pustelnia i dość. Jać to i panowego dziadka znałem, co w onej Pustelni siedział; kawalir to piękny był, a jak się w mundur ubrał, a kaśkiet na głowę włożył, to jakby go kto z malowanego obrazu wykroił... Wojna była, dziadek poszedł i jak poszedł, tak i nie przyszedł już więcej. Takie to już znać w onej Pustelni założenie; jak ludzka pamięć sięga, żaden tu dziedzie jeszcze głowy swojej nie położył, jeno zmarniał wśród obcego narodu za morzami.. starzy ludzie gadali, ale ja też! Po co ta wielmożnemu panu takie rzeczy powiadać.“

Lekki dreszcz uczułem w sobie, ale to nie było z przerażenia, tylko od nocy chłodnej, a może od ro-

sy, co się na mchach i na paprociach perliła... Słowa chłopca jednak dużo do myślenia mi dały.

— Eh, mój człowieku — rzekłem — nie takim ja bojący jak się wam widzi, skoro człowiek sumienie czyste ma, to się lada czego nie lęka.

— Dyć prawda... i księża podobnie na kazaniach powiadają... a przecie, choć i na panowym dziadku i na tamtych, znowuż niby ojczym dziadkowych, krzywdy ludzkiej ani przekleństwa nijakiego nie było... marnieli nieboraki jak na urząd, żaden tu swoich kości nie położył, żaden na cmentarzu, na poświęconej ziemi nie spoczywa, jeno Bóg wie nie gdzie...

— Dlaczego?

— Moc boska... kto je ta zgadnie?... Wieczne odpoczywanie daj im Boże, ale oni i po śmierci spokoju nie mają... Ja ta nie widziałem na swoje oczy, ale insze ludzie widzące są, to powiadali...

Tu chłop urwał nagle i zamilkł.

— Cóż powiadali? co powiadali?—spytałem do najwyższego stopnia zaciekawiony — powiedz-że mi człowieku, przecież to krewni moi, pradziadowie... wiedzieć więc chcę...

— Eh! wielmożny panie, strach nocą takie rzeczy gadać... złe wszędzie jest na zgubę ludzką dybiące, a najbardziej ku północkowi moc jego... ale skoro pan tak molestuje, to i powiem... Kole Pastel-

ni podobno, w lesie, pokazują się nocami osoby... a naród powiada, że to dawne dziedzice...

Więcej nad to nie z chłopą wydobyć nie mogłem, ukląkł koło wozu i pacierz półgłosem zaczął mówić, z umysłu zapewne, żebym przerywać nie śmiejąc, o więcej nie dobadywał i nie pytał.

Położyłem się na ziemi i patrzyłem w gwiazdy. W lesie panowała zupełna cisza, przerywana tylko szeptem chłopskiego pacierza; konie jeść przestały, łby zwiesiły ku ziemi, czasem sucha gałąź przez wiatr trącona skrzypnęła... Spać nie mogłem... myślałem o tém co mi chłop powiedział i sam nie wiedziałem czy wierzyć, czy wątpić; przeszło mi tak ze dwie godzin w rozmyślaniu, w kontemplacyi głębokiej... aż wreszcie gwiazdy bladły, bladły coraz bardziej, co drobniejsze znikwały i tylko największe walczyły z zaraniem jasności, co się niebawem miała na letnim wschodzie zapalić.

Chłop wstał, uprząż na koniach poprawił i pojechaliśmy.

O wschodzie, przy Michałowym młynie konie się wody napiły i kłaczek siana zjadły, a potem przez las ciągle, przez Lisi Majdan, przez Wisielcowy Grądzik i Wilczedoly powlekliśmy się ku Pustelni.

Ku południowi miało się już słońce, gdy wyjeżdżaliśmy z lasu i chłop biczyskiem mi sukcesyę moją pokazał.

Kilka budynków ujrzałem, otoczonych wysokim ostrokołem, poczerniałym ze starości, popsutym miejscami, wysoki żuraw studzienny, gołębnik — i uczułem, że mi jakoś dziwnie smutno na sercu...

Trzy osoby na moje powitanie wyszły i to nie od razu, lecz każda z nich z inną nadciągnęła strony... Naprzód szczekanie psów wywabiło na ganek kobietę jakąś niemłodą, wysoką, szczupłą, w wielkim białym czepcu na głowie, w czarnej chustce zawieszonęj na wychudłych ramionach. Zacząłem ją tłumaczyć kto jestem i po co przyjeżdżam, a tymczasem od budynków chłop nadbiegł, stary, ale rzeźki jeszcze, przysadzisty, krępy, opalony jak cygan... Dobrze przyprószone siwizną długie włosy spadały mu aż na ramiona, rozsypywały się grubemi promieniami po wytartęj szaręj siermiędze. Z drugięj strony od wpeł rozwalonego czworaka żyd się zbliżał, z brodą długą i białą, jedną ręką oczy od słońca zakrywał, drugą za pas włóczkowy zatknał i tak powoli szedł, przyglądając mi się bacznie.

Gdym ja z kobietą rozmawiał, chłop czapkę zdjął i głowę zwiesił ku ziemi, żyd zaś kłaniał się ciągle, ustami cmokał i czarnemi, bystremi oczami wpatrywał się we mnie.

— Oto, proszę pana — rzekła kobieta suchym, bezdźwięcznym głosem — oto cały dwór pański. Ja,

ten oto chłop Szymon i żyd Jojna... Wszyscy jak jesteśmy z czasów nieboszczyka dziadka... Ja już od paru lat pana oczekuję...

— Pani?

— Tak, nieraz jeszcze, jak tylko Rymszowie i Sokolscy proces zaczęli i Pustelnię chcieli objąć, ja mówiłam do Szymona i do Jojny: nie, nie wskórają nic, prawowity dziedzic jest, bo nieboszczyk Jan brata miał, a po tym bracie została córka Rozalia...

— Moja matka...

— Nie wiedziałam ja, że to pańska matka, ale słyszałam, że się wychowała, że za mąż poszła za Orzechowskiego, że mieszkała gdzieś nad Wisłą, że oboje z mężem zmarli i że pozostał po nich synek. Więcej nie wiedziałam nic, ale mówiłam do tych ludzi, mogą poświadczyć, prawy dziedzic jest, majątek po kądzieli przejdzie na niego... i tak się stało. Sokolscy i Rymszowie przyjeżdżali tu, chcieli Pustelnię obejmować, ale nie dałam. Szymon z parobkami od bramy zastąpił, Jojnę do urzędu popchnęłam po pomoc, nawymyślałam, nakrzyczałam... no i przecie z kąd przyszli tam i poszli, proces się ciągnął... aż wreszcie pan oto przyjechałeś. Wejdziesz w swoje własne progi i mieszkaj w nich szczęśliwie... chociaż ty jeden przynajmniej — dodała już szeptem.

— A jakże mam panią tytułować? — zapytałem.

— Mnie wcale tytułować nie trzeba; baba, stara baba, oto cały mój tytuł. Byłam tu niby klucznicą, niby zastępczynią, czémś takim sobie, oto, piątem kołem u wozu... Rządziłam, gdy dziedzica nie było... dziedzic przyszedł, rządy oddaje i po wszystkim...

— Ależ, moja pani, potrzebuję przecież wiedzieć kto pani jesteś i jak się nazywasz.

— Jestem pańska daleka krewna... Nie bój się pan, bardzo daleka, dziesiąta woda po kisielu... Na imię mi Barbara, z domu Sokolska, po mężu Wojtkiewiczowa. Oto wszystko... a teraz wejdź pan w swoje progi... posiłek jaki przyjmij, chleba własnego skosztuj... Czarny on, ale dobry.

— Oj, oj, żeby gorszy nie był do saméj śmierci — wtrącił nieśmiało żyd.

— Posiliwszy się, może pan zechce Pustelnię obejrzyć, grunta, łąki, las, to Szymon pokaże; może się pan zechce o okolice rozpytać, to znowuż Jojna wszystko powie, a ja sukcesyę panu oddam dopiero wieczorem.

— Jakąż sukcesyę, przecież Pustelnię już mam, jestem w niej.

— Pustelnia swoją drogą, a sukcesya swoją.

.

Pokrzepilem siły i spojrziałem w około.

Byłem w dużej izbie dość niskiej, ale szerokiej i długiej; w rogu stał piec ogromny, staroświecki, z kafli zielonych, po ścianach wisiały obrazy religijne, starodawne, w ramach poczerniałych zupełnie, z za belek pułapu wychylały się pęki ziół poświęcanych. Umeblowanie tej izby pochodziło zapewne nie z czasów dziadka, ale chyba pradziadów dziadkowych; ławy pod ścianami, wielki stół dębowy pośrodku, tapczan łosiową skórą przykryty. Przy jednej ścianie znajdował się sprzęt dziwaczny, niby kantorek, niby szafa. Widocznie z późniejszych już czasów ów sprzęt pochodził, bo ozdoby jakieś miał na sobie i gęsto poczerniałymi bronzami był okuty.

Gdym się po tej wielkiej izbie rozglądał, wszedł Jojna i przy progu stanął.

— Może teraz wielmożny pan jedno słowo posłucha — rzekł.

— Owszem, słucham, co powiecie, siadźcie, proszę.

— Jest miejsce, gdzie pasuje siedzieć, jest miejsce, gdzie pasuje stoć — odrzekł żyd z powagą — w tém miejscu mnie pasuje stoć, to ja będę stojał.

— Jak wasza wola — ja proszę.

— Słucham wielmożnego pana... W tym ro-

dzie wszystkie panowie delikatne byli i złego słowa nikt od nich nie słyszał.

— Dawno tu mieszkacie w Pustelni?

— Kto to zrachuje? wielmożny panie, ja nie potrafię. Pyta pan jak dawno ja w Pustelni mieszkam? Ha, niech pan dobrodziej spojrzy na moją brodę... ona tu urosła i tu zrobiła się taka długa, i tu zrobiła się taka biała... na taki interes potrzeba parę kilka lat, jak panu wiadomo.

— Powiedźcież mi, proszę, czém wy tu jesteście?

— Czém ja jestem? Ja jestem proszę wielmożnego pana żydem.

— To przecież widzę, ale czém jesteście tu w folwarku?

— W folwarku? Ny, w folwarku? także jestem żydem... Pan się śmieje, a ja powiadam prawdę... Dawniój rachowało się na dwie włóki gruntu trzy pary wołów, a na jeden folwark jeden żyd, na duży folwark dwa żydy. W Pustelni mój ojciec za żyda służył, dziadek służył, no i ja także służę... Biorę mleko od krów, potrafię trochę smoły wypalić, a zresztą tak jestem przy folwarku; każą gdzie pojechać... to jadę, każą jaki interes zrobić... to zrobię, każą zboże sprzedać... sprzedam. Nawet, jak teraz proces był, co nikt nie wiedział jak się skończy, kto Pustelnię zabierze, to pani Wojtkiewiczowa powiedziała tylko jedno słowo: „jedź Jojna i wywą-

chaj...” Ja zaprzęgałem moją szkapę do biedki, ja pojechałem, nie było mnie w domu ze dwa tygodnie, no... i wszystko było wywączane dobrze, po żydowsku.

— Ciekawym coście mogli wywaczać?...

— Ha! ha! wszystko... Wywaczałem, że wielmożny pan żyje, że się o Pustelnię prawuje, że jest urzędnikiem przy sądzie, że pan kiedy jeszcze prezesem może być... że pan nie ma wielkiej ochoty na wsi siedzieć... No, to nie dziwota, albo to kiedy który dziedzie siedział?

— Dlaczego?

— Albo ja wiem... Oni coś gonili po świecie... ale co oni gonili to ja nie wiem. Może jaki słup ognisty przed nimi świecił... może im się zdawało, że szczęście złapia. Tymczasem oni łapali kulę w głowę, albo kalectwo na nogi, albo śmierć na cudzych śmiectwach. Za przeproszeniem wielmożnego pana, oni byli tak jak żydy. Oni szli po całym świecie szukać swego Mesyasa, oni szukali muru, żeby jego przebić swoją głową... ale tylko głowy sobie robijali, a mur stostał... Pański dziadek nieboszczyk, po którym teraz Pustelnia wielmożnemu panu się dostała, siedział tu kawałek czasu... Myślałem, że do śmierci posiedzi; on gospodarował pięknie, on chciał sobie ożenić, nawet zaręczony już był z jedną pannienką... Nie wiele brakowało do wesela... Dość panu powiedzieć, że ja sam jeździłem do Kozienic

po wino... dwie beczki ztamtąd przywiozłem, sprawiedliwej miary po trzydzieści sześć garncy, od Wulfa, co miał najgłówniejszy skład na całe Koźienice, co sam dwa razy do roku jeździł na Węgry... On już dawno nie żyje ten Wulff. Aj waj! Aj waj! czy ja spodziewałem się kto to wino wypije! No nie mam wielmożnemu panu dużo co powiadać i nie potrzebuję tego powiadać, dość że wesela nie było, tylko smutek był, a pański dziadek w świat poszedł i już go moje oczy nie widziały... Teraz pan nastaje, ale mnie się widzi na moje rozumienie, że wielmożny pan też nie posiedzi długo między nami, będzie pan wolał być przy urzędzie, w mieście, gdzie wesoło jest, gdzie można sobie zabawić...

— Nie wiem jeszcze co zrobię — odrzekłem, a potem zapytałem nagle — Powiedzcie mi Jojno, czy to prawda, że tu w Pustelni coś straszy?!...

Żyd cofnął się ku drzwiom, splunął trzykrotnie i zawołał:

— Kto panu takie chłopskie bajki opowiadał? Na co pan się mnie o taką rzecz pyta?

— Chcę wiedzieć...

— Niech my o takim interesie nie wiemy, niech my nie słyszymy, niech nasze oczy tego nie zobaczą! kto straszy, niech nas omija. Pan Bóg jest nad nami!

— Słyszałem ja jednak coś...

— To nie żydowski interes, wielmożny panie, ja niewiem, ja nic nie wiem. Co mnie do tego? Ja nawet nie mam chęci rozmawiać o takiej rzeczy. Nie moja głowa na to, chociaż, Bogu dzięki, uczony człowiek jestem... Póki miałem zdrowie, tom się ruszał po świecie, ale teraz na starość, kiedym już wszystkie dzieci w świat puścił i sam tu tylko z żoną i z jedną dziewczyną na Pustelni został, to co mam robić? Chwałę Pana Boga i czytam nabożne książki. Czytam nabożne książki a modlę się, a wie pan, o co ja się modlę? O to, żeby Pan Bóg dał wielmożnemu panu dobre pomyslenie, żebym ja tu w Pustelni mógł zostać... Gdzie ja się teraz podzieję na starość? gdzie ja moje chore kości poniosę? Ja właśnie z tą prośbą naumyślnie przyszedłem... Tam w izbie moja żona płacze... ona także stara, także słaba, a gdzie ona pójdzie? Może ja się wielmożnemu panu i przydam, może odsłużę; ja tu żadnej pensyi nie biore, niech sama pani Wojtkiewiczowa poświadczy, tylko co izbę mam i trochę ziemi pod kartofle; to cała parada jest, a dla mnie starego to majątek...

Pomyślałem chwilę i rzekłem.

— No, nie bójcie się, krzywdy wam nie zrobię. Nie wiem jeszcze jak się urządzę, nie postanowiłem nic dotychczas, ale w każdym razie macie moje przyrzeczenie, że na dziady was nie puszcę. Tyczy się to wszystkich starych sług w Pustelni; a te-

raz mój Jojno, chciałbym się was o niejedno jeszcze zapytać.

Żyd wahał się, pogładził długą brodę i rzekł:

— Wielmożny panie, może jutro...

— Dlaczego?

— Dobrą wiadomość trzeba prędko nosić... Ja bym teraz chciał polecieć do mojej żony i jeżeli pan pozwoli, to ja zaraz polecę... ja będę leciał i będę krzyczał: „Ryfka, słuchajno Ryfka! ciesz się, ja tobie niosę perłę, ja tobie niosę brylant, ja tobie niosę pańskie słowo!”

Roześmiałem się.

— A skoro tak, to niechże Jojna leci.

Żyd uklonił się do samej ziemi, dziękował jeszcze i zniknął za drzwiami.

Otworzyłem okno.

Do izby niskiej i dusznej wpadły czerwonawe płomienie zachodzącego słońca i wniosły z sobą orzeźwiający technienie ogrodu... Zapach niewykwintnych, ale miłych kwiatów: rezedy, pachnącego groszku, lewkonii, orzeźwił mnie przyjemnie. Oparłem się o futrynę i wychyliłem głowę przez okno, wtem nagle doleciał mnie dźwięczny i rzewny śpiew: „Wszystkie nasze dzienne sprawy...”

Głos był silny, metaliczny, młody i pełnemi tonami rozbrzmiewał w powietrzu. Zkąd, pomyślałem sobie on się tutaj, w tej prawdziwej Pustelni, w tym schronisku ludzi starych, w tym jakimś miejscu zaklętym, nad którym jak chłop

powiadał, założenie jakieś ciąży? Zkąd tu, w tym przybytku starości i smutku, mogła zabrzmieć nuta tak dźwięczna i miła?

Wysilałem wzrok, ale oczy moje nie mogły przebić gęstej ściany zieleni, poza którą znajdowała się tajemnicza śpiewaczka.

.

Do zmroku chodziłem koło domu, sądząc że ją spotkam, ale napróżno... postanowiłem więc naza jutrz poszukiwania rozpocząć i prowadzić je dotąd, póki nie zostaną uwieńczone dobrym skutkiem.

Wrażenia, których w ciągu dnia doznałem, zmęczyły mnie i wyczerpały z sił zupełnie; chciałem odpocząć, odpocząć, i odpocząć, zasnąć na świeżem sianie, zapomnieć o wszystkim, dotąd przynajmniej, dopóki ten sam rzewny i dźwięczny głos, przodując chórom ptasząt leśnych, nie obudzi mnie pieśnią: „Kiedy ranne wstają zorze“.

Przecucie mi mówiło, że pieśń usłyszę.

I tej nocy jeszcze i wielu następnych nie był mi przeznaczony odpoczynek. Z uderzeniem godziny dziesiątej weszła do stancyi Wojkiewiczowa, z dziwnie poważnym wyrazem twarzy, uroczysta jakaś, straszna prawie... Białe czepek żałobnie odbijał od chustki czarnej, narzuconej na kościste ramiona, a wysoki wzrost, ostre rysy twarzy, nadawały tej

kobiecie postać widma raczej, aniżeli żyjącej istoty. Wydobyła z pod chustki plik papierów i skrzyneczkę z pieniędzmi, położyła na stole i rzekła:

— Oto depozyt który zwracam. Tu są pieniądze i rachunki, niech pan sprawdzi i przeliczy. Może panu trudno będzie dojść ładu z babskim rachunkiem, w takim razie proszę mnie zawołać, objaśnię ustnie.

— O, pani! — rzekłem — kuzynko, jestem dziś tak znużony, że doprawdy siły na to nie mam, a zresztą nie pilnego... uwolniłem się z biura na cały miesiąc, więc mam czas na rachunki i sprawdzania. Można będzie zrobić to jutro, pojutrze, za tydzień.

— Jak wola pańska. Niech pan liczy jutro, pojutrze, ale ja całą sukcesję dziś oddam... Alboż wiem czy jutra doczekam! stara jestem, a wiesz pan że życie ludzkie to nitka, którą wola Boża lada moment przerwać może... Przyjechałeś pan do Pu-stelni, więc bierz co swoje.

— Czyż jest jeszcze co oprócz tych pieniędzy?

— Chodź pan — rzekła brzęknąwszy kluczami.

Podniosłem się niechętnie. Wysoka kobieta szła przedemną szybko, przyświecając sobie żółtą woskową świecą roboty domowej, wydającą szczególnie jakiś zapach.

Prześliśmy przez duże puste izby i zatrzymaliśmy się przed dębowymi drzwiami silnie okutymi żelazem.

zem. Otworzyła drzwi wielkim staroświeckim kluczem i zaprowadziła mnie do jakiegoś spichlerzyka przybudowanego do ściany domu. Spichlerzyk nie był widać nigdy otwierany, bo czuć w nim było stęchliznę i wilgoć.

— Oto jest pańska sukcesya — rzekła podnosząc światło do góry.

O mało nie krzyknąłem z przerażenia... Przedemną na dwóch ławeczkach stała wielka trumna dębowa, prawie czarna, z posrebrzonym krzyżem na wieku.

— Nie lękaj się pan — rzekła Wojtkiewiczowa — w téj trumnie umarły nie leży... Wieko zamyka się na klucz... proszę, oto jest... Chciéj otworyć, tam znajdziesz swoją sukcesyę.

— Pani — zawołałem — na miłość Boską, nie dziś! Nie jestem w stanie, nie mogę, zostawny to do jutra...

— Dobrze, niech i tak będzie — rzekła — ja zrobiłam co do mnie należało, oddałam depozyt a jutro z czystem sumieniem mogę ztąd odejść.

— Nie odejdiesz pani! — zawołałem — przynajmniej dopóki...

— Dopóki nie otworzysz pan trumny. Zgoda i na to, a teraz spoczniij; w piérwszój izbie znajdziesz pan łóżko posłane... Światło się tam pali... Dobranoc.

Zamknęła lamus, wielki ciężki klucz oddała mi

do ręki i zanim zdążyłem się opamiętać, zniknęła jak cień z przed moich oczu.

.

Pierwsze dni pobytu w Pustelni będą mi na całe życie pamiętne. Owego wieczoru a raczej nocy owój gdy Wojtkiewiczowa w swoim czepcu wielkim zniknęła już za drzwiami, pozostawiwszy w mem ręku ciężki klucz od lamusa, przez długi czas nie mogłem myśli zebrać, ani się uspokoić. Przejmowały mnie dreszcze, a jednocześnie żar szczególnie palił moje skronie, w których krew uderzała jak młotem. Ledwie dowlokłem się do izby gdzie przygotowane było dla mnie posłanie i, nie gasząc światła, rzuciłem się na łóżko. Na stoliku paliły się dwie świece woskowe żółte, takie same jak te, które w ręku Wojtkiewiczowej widziałem. Widocznie musieli tu mieć dużą pasiekę blisko domu. Obok świec dostrzegłem bukietik wdzięcznie ułożony z rezedy i lewkonij. Kto go tu przyniósł? kto miał tak dobre serce, że widokiem kwiatów pragnął rozweselić moje smutki?... Pytanie to zajmowało mnie bardzo, ale nie mogło wypędzić z pamięci obrazu wielkiej tajemniczej trumny, którą widziałem przed chwilą. Co w niej jest? Komu przyszła myśl przekazywać spadkobiercom taki sprzęt żałobny? Może to przestroga, może głos wołający: „uciekaj ztąd, uciekaj!“

Chciałem usnąć, zapomnieć o wszystkim, dać

sobie wypoczynek po wrażeniach doznanych, lecz sen uciekał od mych powiek. Silny wiatr zerwał się i szamotał gałęziami w ogrodzie, czyniąc szum nieznośny, trącał skrzypiące okiennice, do komina z żalosnem wyciem się wdzierał... Nad płomykami świec unosił się dymek sznureczkiem wązkim, czarnym... wił się jak żmijka i ginął gdzieś aż pod pułapem, z poza belek którego wychylały się pęki ziół poświęcanych. Przeleżałem do samego świtu bezsennie i dopiero gdy światło jutrzeńki zaczęło wpływać do izby, zgasilem wielkie świece i zasnąłem. Spałem snem przerywanym i nierównym, budziłem się niemal co chwila. W jednym z takich przebudzeń zdawało mi się, że słyszę śpiew „Kiedy ranne...” — Ten sam dźwięczny srebrzysty głos co wczoraj!... Ten śpiew uspokoił mnie i już słońce wysoko wzbilo się na niebie gdy wstałem, zmęczony wprawdzie fizycznie, ale za to spokojniejszy na duchu.

Dostrzegłem przy łóżku na prostym stołku drewnianym ogromną misę pełną wody zimnej, zdrojowej i ręcznik domowej roboty. Woda orzeźwiła mnie. Wyszedłem na ganek i siadłszy na ławce zapaliłem fajeczkę. Po chwili powróciwszy do izby zastałem stół nakryty, na nim dzbanek mleka świeżego, szklanekę, kawał czarnego chleba i sól.

Niewidzialna ręka usługiwała mi ciągle.

Wyjrzałem przez okno ku zabudowaniom, ale

nie dostrzegłem nikogo. Była pora letnia, czas najpilniejszy do roboty; widocznie więc ludzie w pole wyszli. Myślałem, że Wojtkiewiczową dostrzegę, ale i ona gdzieś się schowała, czy wyszła... Postanowiłem pójść do owego lamusa i otworzyć trumnę, niech się raz już skończy ta niepewność, ten niepokój — niech wiem nareszcie czego się trzymać. Wziąłem ów wielki klucz oddany mi przez Wojtkiewiczową, otworzyłem nim drzwi żelazne i znalazłem się w lamusie, półciemnym, pełnym stęchlizny. Przedewszystkiem postanowiłem wpuścić tu trochę światła i powietrza, pchnąłem więc okiennicę jedną i drugą. Otworzyły się z łatwością. Szyb w oknach nie było, tylko kraty żelazne, grube, rdzą pokryte.

Cały lamus nappełnił się dzienną jasnością.

Nie było w nim nic, prócz starego żelaztwa, łańcuchów, rzemieni... Na kółkach w ściany wbitych wisiało kilka staroświeckich siodeł, w kącie leżała baryłka grubemi żelaznemi obręczami okuta. Nie zwracałem uwagi na tę starzyznę, gdyż głównie zajmowała mnie trumna. Stała na samym środku lamusa, na dwóch stołkach drewnianych, długa, szeroka, widocznie na mężczyznę wysokiego wzrostu robiona. Przypatrzyłem się bliżej, na wieku oprócz krzyża były jakieś napisy, a właściwie jeden napis zmieniany i poprawiany kilkakrotnie. Poprawki dotyczyły tylko imienia właściciela trumny, nazwisko i wyrazy łacińskie „*obiit A. D...*“ pozostały bez

zmiany. Pierwiastkowy napis brzmiał: „*Laurentius Gozdawa obiit A. D*“... Widocznie więc trumna sporządzona była i przeznaczona dla niego. Następnie, inną już ręką wyraz *Laurentius* przekreślony był, a nad nim napisano *Petrus*, i znowu inna jakaś ręka przekreśliła *Petrus*, a natomiast napisała *Joannes*... To ostatnie imię pozostało nietknięte.

Laurentius, Petrus, Joannes... Domyślałem się, że *Joannes* był to Jan po którym odziedziczyłem Puśtelnię, ale co zacz byli tamci, którzy się do owęj trumny cisnęli i docisnąć się nie mogli?

— Może mi na to wewnątrz trumny odpowie.

Z poszanowaniem, a nawet nie bez pewnej bojaźni, podniosłem wieko. Wewnątrz trumna była puśta, gładko wyheblowana, bez obicia i bez poduszek. Na samym środku na dnie leżała ogromna koperta z szarego grubego papieru, otwierana widać kilkakrotnie, gdyż nosiła na sobie ślady dawniejszych rozłamanych pieczęci. Ostatnia pieczęć była nienaruszona.

Wziąłem papiery do ręki zamknąłem wieko trumienne, drzwi od lamusa—i udałem się do izby wielkiej, w której poprzedniego dnia z Jojną rozmawiałem. Tam znalazłem pewne zmiany, niewiadomo kiedy i przez kogo zrobione. Przy samem oknie ustawiony był stół pokryty grubem suknem zielonem, a na stole znajdował się staroświecki kałamarz drewniany z piaseczniczką, pęk piór, oraz zwój papierów i ta skrzyneczka z pieniędzmi, którą mi Wojtkiewiczowa

wczoraj doręczyła. Obok kałamarza znowuż bukiecik lewkonij, tak jak w tamtój izbie przy łóżku...

Któż tutaj ciągle językiem kwiatów przemawia, kto daje poznać, że oprócz zbutwiałych szpargałów i trumny jest młodość i życie w tój Pustelni nieszczęsnej!?...
* * * * *

Kto się w stare szpargały wczytuje, ten jakoby do krainy zmarłych zstępował i z duchami ojców rozmawiał. Źle mówię rozmawiał... jakoby opowiadania ich słuchał. Silne ongi ramiona rozsypały się dawno w proch, duchy ofiarne i mężne rozplynęły się w nieskończoności niepojętój i tylko myśl zaklęta w marny wiotki papier, przeżyła o wiele głowę, z której wyszła i rękę co ją drobnemi wyraziła znaczkami.

Otworzyłem wielką kopertę i zdawało mi się, żem do mogił katakumb zeszedł, że z wielkiego cmentarzyska wychodzą postacie krwiami i duchem pokrewne, że pousiadały na cmentarnych głazach, na zwaliskach i rozpoczęły spowiedź swego dawno zapomnianego życia...

Pierwszy zeszyt opowiada: „Dzieje zacnego rodu Gozdawów“. Opowiada je drobiazgowo ze szczegółami i szczegółikami takimi, które ani z rodem, ani z domu zacnością żadnego związku nie mają. Bohaterskie czyny obok gospodarskich notatek, historia rzędzików i koni obok historyi lu

dzi... koligacye, małżeństwa, sprawy, procesa, zajazdy, wyprawy, sejmiki... Powtarzać tego ani przepisywać nie będę, boć foliant nie zawierał nic więcej, prócz historyi rodu jakich było tysiące. Ród ten z prądem czasu szedł i prądowi temu łatwo unosić się dawał—zapalny, ofiarny aż do poświęceń, to znowu samolubny i drobiazgowy; ot ród zwyczajnie, z cnotami i wadami, z niepokalaną jasnością... ale nie bez plamek także.

Przeczytałem foliant cały, westchnąłem za spokój umarłych i wziąłem się do dalszego przeglądania papierów. Plik, który wpadł mi z kolei do ręki wyłącznie spraw majątkowych dotyczył. Przerzuciłem szybko różne akta, nadania, umowy, wyroki—nie wczytywałem się w szczegóły, bo i cóż mi z nich?... Prócz Pustelni, z majątku znacznie większego niegdyś nic nie zostało, a do posiadania Pustelni tytuł mam jasny, niezaprzeczony i nie spodziewam się, żeby mi kiedy zakwestyonował go ktokolwiek. Pozostawiłem tedy wszelkie dowody majątkowe na czas dalszy, związałem je starannie; niech tamci, którzy po mnie do Pustelni przyjdą oglądają je jeżeli zechcą.

Oparłem głowę na dłoniach i zamyśliłem się;—ani dzieje rodu zacnego, ani dowody odnoszące się do spraw majątkowych nie nauczyły mnie nic o tajemniczój trumnie, nie powiedziały po co ona stoi w lamusie, dlaczego napisane było na niej pierwiast-

kowo *Laurentius*, później *Petrus*, wreszcie *Joannes*... Któż mi rozwikła tę zagadkę?... Chyba Wojtkiewiczowej zapytam, albo starego Szymona, albo wreszcie żyda Jojny... Przecież choć jedno z tych trojga ludzi — dziada mojego pamiętających — musi o tém coś wiedzieć...

Zebrałem owe szpargały i chciałem je włożyć w kopertę napowrót, gdy spostrzegłem, że w tejże kopercie złożony we czworo znajduje się jeszcze arkusz poźółkłego papieru.

W nim znalazłem rozwiązanie zagadki.

U góry arkusza, dużemi bardzo kształtnemi literami napisane były te słowa: „Ja Wawrzyniec Godzawa z Pustelni, na potrzebę pospolitą wychodząc, zkąd moc Boska i wola może mnie zdrowym powrócić, albo i nie powrócić, to synowi memu przykazuje: że jeżeli wyroki Przedwiecznego dadzą mi kiedy żywym i zdrowym pod strzechę własną się dostać i pod nią żywota dokonać—izby tedy przerwczony syn Piotr, grzeszne ciało moje w trumnie dębowej, w lamusie stojącej, pogrzebać kazał. Gdybym zaś gdzieindziej głowę złożył, niech syn mój Piotr trumnę takową dla siebie zachowa“. Pod temi kilkoma wierszami był krótki dopisek Piotra, skreślony jakby w pośpiechu, literami drobnemi, nieczytelnie.

„P. S. Podobało się Najwyższemu, że rodzic mój Wawrzyniec chwalebnią śmiercią zginął. Opuszcza-

jąc progi domowe, a nie wiedząc ażali je kiedykolwiek obaczę, synowi memu Janowi trumnę ojcowską przekazuję, i albo ja w niej legnę za powrotem, albo-li gdy nie powrócę, syn mój Jan“.

Ostatni przypisek zrobił Jan.

Ten z rezygnacją jak widać, ale i z żalem opuszczał domowe progi. Ciągnęła go do nich nadzieja szczęścia, które się nigdy ziścić nie miało.

Widocznie długo się nad zredagowaniem przypiska namyślał, bo kilka wierszy przekreślił i znów zaczynał, i znów mazał, aż dał folgę uczuciom swoim w niezbyt zgrabnym, lecz rzewnym wierszyku:

Już rzą konie osiodłane, już pobudkę grają,
Matki synów, a kochanki kochanków żegnają...
Czy polegnę w tej wyprawie, czy mnie miną kule,
Imię moje, Andziu droga, zawsze wspomnij czule!
A gdy przyjdzie kto i powie: „zginął Jaś serdeczny”,
Zmów za niego, Andziu droga: „odpoczynek wieczny“.

Pod tą strofką było znowuż kilka wierszy przekreślonych, a po nich następowały te słowa:

„Kto weźmie po mnie ojcowskie dziedzictwo nie wiem—ale błogosławię mu i życzę niech będzie szczęśliwy i niech dożyje lat późnych, a po najdłuższem życiu niech zabierze ze sobą tę nieszczęsną trumnę na cmentarz“.

Oto i cały dokument.

Boże! toż przez trzy pokolenia trumna czekała

i czekała i doczekać się mieszkańca swego nie mogła... Nieszczęsna trumna!... biedne pokolenia!... Wstałem od stołu, przeszedłem się kilkakrotnie po wielkiej izbie, myśląc nad owem fatum szególnem, które nad rodem Gozdawów zawisło.. a czyż nad tym jednym tylko?!.. Gdym tak dumał, drzwi otworzyły się cicho i stanęła przedemną Wojtkiewiczowa, ubrana jak wczoraj w białym czepcu i czarnej chustce na ramionach. Nie przywitała mnie ani słowem, nie rzekła „dzień dobry“, nie spytała jak pierwszą noc pod własnym przepędziłem dachem, tylko utkwiała we mnie wzrok pytający, badawczy, surowy i zapytała:

— No cóż?

Jednej chwili powziąłem postanowienie i, podniósłszy rękę do góry, rzekłem:

— Sukcesyę po Janie Gozdowie biorę dla siebie...

W oczach stariej kobiety błysnęły łzy rozrzwienia, objęła kościstymi rękami moją głowę, pocałowała w czoło i rzekła na wpół z płaczem.

— Nareszcie!!

.

Po południu wyszedłem w pole z Szymonem. Nie wiem z jakiej przyczyny ponury i mrukowaty ten chłop rozjaśniał czoło i stał się rozmownym... Szliśmy miedzami; żyto już żęli, pszenica złociła się, a jęczmieniowi, gdzie wcześniej siany, płowieć

zaczynały wąsiska. Chłop pokazywał mi pola do mnie należące i dogadywał wciąż:

— Tu panie grunt dobry, a tu krzynkę gorszy, tu woziliśmy gnój przed dwoma laty, tu zaś po pszeniczysku kartofle posadziłem.

— Więc to wy, mój Szymonie — spytałem — gospodarstwo tu prowadzicie?

— A dyć.

— Sami?

— Głowa moja jedna starczy, ale ręców dwie za mało; parobków nie ma... ani czeladzi... a choć Pustelnia sama w sobie Pustelnia...

— Jak to rozumieć, sama w sobie?

— Ano, tak rozumieć, jak się powiada: folwark jest sam w sobie, przeze wsi, chłopów nie ma, dla tego o ludzi bajki. Przyjdą z życzliwością, za niewielką zapłatę, a robią dobrze i przypędząć nie trzeba... Ja tu panie od maleńkości; chciałem było za panowym dziadkiem w świat iść, ale przykazał, że bym przy ojcu ostał, bo ojciec letni już był i na księżą oborę patrzył... Tedy panowy dziadek to słowo rzekł: „Szymonie, ty tu siedzieć masz, a jak ojciec twój oczy zamknie, to już cała Pustelnia na twojej głowie będzie“... Jako też z woli Boga miłosiernego do téj pory i była... Orało się, zbierało, młóciło, jak Bóg przykazał... Cztery lata siedziałem tu sam i żyd siedział w drugim czworaku... ni-

by Jojna, setnie stare żydzisko; on i sam zracho-
wać nie potrafi siła ma lat...

— A cóż się po czterech latach stało?

— Po czterech latach przyjechała pani Wojtkie-
wiczowa i zabrała wszystko w swoje ręce.

— A wy?

— Ja jaki byłem taki jestem. Miała pisanie
od pana, żeby jęj wszystko do ręki oddawać, tom
wzion kuźdą rzec i oddał... I lepiej, ona kobieta
mądra, piśmienna, a ja chłop, mnie do sochy podo-
bniej, niż do tych ta rachunków, com zawdy po kil-
ka kijów od końca do końca niemi nakarbował;
i to przez Jojny pomocy nie mógłbym się doracho-
wać... Podobuo pani dosyłała panu dziedzicowi
za granicę pieniędzy, bo tam między obcym naro-
dem o chleb trudno, a powiadają, że jenszy mie-
niec to jeno same kartofliska z osypką jada...

— Kto wam to powiedział?

— A juści, niby ja niewiem? Przyjeżdżały tu
łóńskiego roku dwa miemce, co chcieli młyn po Mi-
chale kupować, to właśnie takie były spaśne, roz-
buchane, brzuchate, że inszy karmnik po grochu
taki nie jest... Im kuźda rzecz podobna, bo nawet
mowy ludzkiej nie znają, jeno tak rzechotali między
sobą paskudnie, że i nie każdy żyd rozumiał...
A może teraz łakę pan obaczy, pastwisko...

Poszliśmy dalej.

Na łakach kilka stogów siana stało, a dalej na

pastwisku bydełko utrzymane ładnie, skubało gęstą trawę.

— Oto dobytek pański — mówił Szymon — krowy niczego i jałowizna też. Woliska i konie w robocie, jako wielmożny pan widział, a żrebaków jest ćtyry całej obrady, to mają zagrodzony okólnik za stodołą, tam się pasą...

Rozmawiając z Szymonem doszliśmy do lasu.

— Może zechce pan obaczyć? — spytał chłop — niewiele lasu jest ale ładny, a jeżeli pan do strzelby nauczny, to tu zwierzyny jakiej chcąc zdybie. On nasz las do książęcych borów ma przytknięcie, zwierz przychodzi, a że tak tu jak i tu nie ma go komu straszyć, to się i chowa.

— Podobno tu są jakieś straszne miejsca w lesie? — spytałem.

Chłop się rozśmiał.

— Et podobno są; ludzie coś plotą, ale ja nie widziałem na swoje oczy ni razu. . a zreśtą, choćby co i przeszkadzało, to już tera prawa nie ma.

— Dlaczego?

— Bo założenie takie podobnoć je, że dopóki w Pustelni gospodarza nie będzie, dopóty ono ma przeszkadzać.

— Któż wam to mówił?

— Ot kto mówił! Zaś gadali, powiadali i tylo... ale skoro Bogu dziękować gospodarz się zdybał, to nie będą mieli co powiadać i przestaną...

Szymon wcale nie zapytywał mnie o swoje losy, nie ciekawy był wiedzieć, czy go zatrzymam, czy nie... Gdy wspomniałem mu, że go z chęcią wielką i nadal przy gospodarstwie widzieć będę, a pracę jego wynagrodzę odpowiednio, spojrział na mnie z podziwieniem najwyższém i rzekł:

— Nie była Pustelnia przez Szymona i Szymon przez Pustelni téż nie będzie...

.

Głód mi dokuczał.

Powróciwszy z obchodu gospodarstwa, przedeptawszy co najmniej ze dwie mile drogi, po polach i łąkach, czułem, że mam wilczy apetyt. Na progu dworku spotkałem jakąś krępą dziewczynę.

— Moje dziecko — rzekłem — czyś tutejsza?

Rozśmiała się, wyszczerzywszy przytém dwa rzędy, dużych białych zębów. Wzruszyła ramionami i rzekła:

— A dyć wielmożny pan téż... niby dziedzic, a Magdy nie zna...

— Teraz, gdy mi powiedziałaś kto jesteś, już cię znam i wiem żeś Magdusia.

— Juści, że nie pies...

— Co téż mówisz!... mam do ciebie prośbę.

— Nie wójt ja, żeby do mnie z prośbami chodzili. Co pan chcą, to powiedzić — i skutek.

— Pójdźże do pani Wojtkiewiczowej i poproś jej grzecznie odemnie, żeby była łaskawa tu pofatygować się do mnie.

— Ii, ja ta nie potrafię tak gadać, powiem jeno: niech pani leci duchem do dziedzica i ju!

Chciałem jej wytłómaczyć, że ja pani Wojtkiewiczowej rozkazywać nie śmiem i nie mam prawa, ale zanim się zdobyłem na słowo, Magda była już w ogrodzie.

Po chwili do owej wielkiej izby, w której odczytywałem papiery po dziadku, weszła pani Barbara, ale ubrana jakoś inaczej, weselsza i uśmiechnięta. Miała znacznie mniejszy czepiec na głowie, zamiast czarnej chustki popielaty kaftanik. Spojrzałem na nią i spostrzegłem, że nie jest tak stara, jak mi się na pierwszy rzut oka zdawało. Wprawdzie czoło jej było zmarszczkami pokryte, włosy poprzone gęsto szronem siwizny, ale w oczach było tyle życia, energii i siły, że trudno było przypuszczać, aby ta kobieta więcej nad jakie pięćdziesiąt lat życia liczyć mogła.

— Pani dobrodziejko — zawołałem bez żadnych wstępów — kuzynko, czy jak się pani nazwać rozkażesz, jestem tak głodny, że gotówbym gryźć kamienie.

Rozśmiała się.

— Znajdziemy coś lepszego i nie tak szkodliwego na zęby, bo ja przewidziałam pański apetyt,

widząc że wychodzisz w pole z Szymonem. Nie braknie w Pustelni kurcząt, ani śmietany, a do wypicia znajdzie się coś także... jest starka i miód dobry ze swojej pasieczki. Nie gospodarowaliśmy tu źle... W ogrodzie jest altanka chmielowa, w niej stół nakryty oczekuje na pana.

— Biegnę tam natychmiast...

— Poczekaj pan, nie znudzę... jedno tylko słówko.

— Słucham pani.

— Uregulujmy nasz stosunek, wiedzmy kim od-tąd mamy być dla siebie.

— Ależ to moje pragnienie.

— Tém lepiej... Wczoraj, gdy panu oddała to czego przez długie lata strzegłam, powiedziałam, że od dziś Pustelnię opuszczę.

— Dla czego?

— Czekał pan... Musiałam tak powiedzieć... Nie wiedziałam jak postąpić... Gdybyś postanowił nie mieszkać tu, odjechać napowrót do Warszawy, nie zostałabym dłużej ani jednej godziny... teraz wszelako myślę inaczej, a kwestya wyjazdu mego, lub pozostania tutaj, wyłącznie już od pana zależy.

— Czyż może się pani o to pytać!

— A więc pozostaję... ale jeszcze słowo, a raczej dwa słowa: pierwsze, jestem pańską ciotecznią ciotką, zechcesz mnie nazywać ciotką Barbarą.

— Z całą przyjemnością, droga ciociu.

— To dobrze... a ja będę ci mówiła odtąd: Leonardzie.

— Prześlicznie.

— Jeszcze jedno... Zatrzymując mnie, zatrzymujesz w Pustelni jeszcze jedną osobę, dla której opiekunką jestem. Nie jada ona wiele, a pracuje chętnie i dużo. Jest to moja kuzynka, młoda dziewczyna, sierota.

— Ach! ta co tak ślicznie śpiewa! — zawołałem.

— Już ją wypatrzył?!

— Wysłuchałem ją raczej. Usłyszawszy śpiew, pomyślałem, że taki głos piękny może mieć tylko młoda i bardzo ładna osoba.

— Młoda jest... a co do ładności... zobaczysz ją zaraz. Chodźmy, bo nie chcę cię morzyć dłużej głodem, mój kochany dziedzicu.

.

Altana była duża, niezdarnie sklecona z łat sosnowych, ukośnie między słupami przybitych. Arcydzieło to sklecił własnoręcznie Szymon, dla uciechy panienki, a panienka znów dla uciechy całego domu obsadziła ją chmielem; że zaś grunt w tym miejscu był bardzo żyzny, a panienka miała do sadzenia szczęśliwą rękę, więc chmiel się przyjął doskonale

i porozkładał się na łatach, fəstonami zieleni przykrywając ich chropowatość i krzywość. Pod zielonem chłodnem sklepieniem altany mogło się pomieścić wygodnie z piętnaście osób. Gdyśmy tam z ciotką Barbarą weszli, zastaliśmy tylko jedną... na widok której stanąłem jak wryty. Nieopisany wdzięk prostoty i urok młodości łączyły się w tój dziewczynie. Mogła mieć może szesnaście, może siedemnaście lat dopiero; średniego wzrostu, szczupła, kształtna, z oczami pełnemi blasków i życia, z brzoskwiniowym puszkciem młodości na rumianej twarzy, z grubemi warkoczami, czarnemi, które wolno puszczone spadały na jój ramiona, wydała mi się niezwykle piękną. Skłoniłem się jój z pewnego rodzaju zakłopotaniem, nie wiedząc jak ją przywitać, jak nazwać — a i jój twarzyczka, opalona trochę od słońca, pokryła się żywym rumieńcem. Ciotka Barbara pośpieszyła, aby nas wyprowadzić z kłopotu.

— Leonardzie — rzekła — przedstawiam ci wychowanicę moją i kuzynkę Helenę Zakrzewską. Jest to sierota; od dziecka chowa się przy mnie... Dużoby trzeba opowiadać o stosunku familijnym jaki mnie z nią łączy. Powiem ci to przy sposobności... a teraz proszę do stołu. Skarżyłeś się, że jesteś głodny... Helenko pamiętaj o swoim sąsiadzie.

— Skoro panna Helena — rzekłem — jest skuzynowana z ciotką, a zatem i ze mną.

— No, nie bardzo... Jest wprawdzie powinowactwo, ale dalekie.

— Szkoda — odezwałem się — jako jednak nie miałem rodzeństwa, byłbym więc bardzo szczęśliwy, gdybym znalazł siostrzyczkę.

Dziewczę zarumieniło się jeszcze bardziej, a ja oczu od niej oderwać nie mogłem. Ów apetyt wilczy, który przed chwilą tak mi się dawał we znaki, zniknął; ledwie dotykałem potraw, któremi ciotka Barbara częstowała mnie ciągle. Byłem milczący i onieśmielony. Ciotka, jak się później dowiedziałem od niej saméj, przypisywała to doznanym w ciągu ubiegłej nocy i dnia dzisiejszego wrażeniom. Zdawało jéj się, że żałować zacząłem powziętego postanowienia, że przerażała mnie myśl pozostania na zawsze w téj Pustelni, w sąsiedztwie owéj smutnéj sukcesyi po Gozdawach, owéj wielkiéj trumny, co przez trzy pokolenia mieszkańca się nie mogła doczekać.

— Proszę cię Leonardzie, jedz — zachęcała ciotka — bądź łaskaw; jeszcze nie odpocząłeś dobrze po podróży, a dziś obszedłeś całe gospodarstwo, sfatygowałeś się, zmęczyłeś, więc potrzebujesz posiłku.

-- Jużem głód zaspokoił — rzekłem.

— No, jeżeli zawsze tak jadasz, to dziw do-

prawdy jakim sposobem wychowałeś się i wyrosłeś na takiego mężczyznę... A może tak z tęsknoty za wielkiem miastem straciłeś apetyt.

— Czy panu bardzo żal Warszawy?—spytała Helenka, zwracając na mnie swoje piękne oczy.

— Nie...

— Ale nieraz będzie pan o nią myślał.

— Myśleć, to nie znaczy żałować. Naturalnie, że wspomnę ją i często, pozostawiłem tam bowiem dużo znajomych, kolegów, przyjaciół. Spędziłem tyle lat...

— Czy szczęśliwych?

— To względne... ale w każdym razie spokojnych; dzień schodził zwykle szybko przy zajęciu, a wieczorem do teatru się szło, lub znajomych. W święto, jak latem, wyjeżdżało się czasem za miasto na spacer, w ogóle czas się nie dłużył, dnie za dniami mijały, że ani się obejrzyć jak rok przeszedł, a za nim drugi, trzeci, dziesiąty.

— Mówią, że Warszawa bardzo duże miasto?

— Pani nie zna?—spytałem.

— Nie, nie byłem tam nigdy, ale zdaje mi się, że zawsze na wsi chyba piękniej i lepiej.

— Dla czego?

— Nie wiem, ale tak przypuszczam... Na wsi wszyscy znajomi, wszyscy swoi, a tam obcy; na wsi przestrono i swobodnie, tam ciasno; tu mamy las, łąkę, pola, ogród, rzekę, jezioro, a tam tylko zimne

mury. Jabym się bała tam mieszkać, wolę w Pustelni.

— Tu pani dobrze?

— Bardzo dobrze, nie umiem nawet opowiedzieć jak dobrze. Ciocia poczciwa kocha mnie, a choć się czasem rozgniewa, to jednak nie jest zawzięta, da się przebłagać.

To mówiąc njęła pomarszczoną rękę ciotki Barbary i ucałowała ją serdecznie.

— Zapomniałam ci powiedzieć Leonardzie — rzekła pani Barbara—że Helenka jest tu ogrodnikiem.

— Nie mam się z czém pochwalić, ciociu...

— Jednak ogród utrzymany czyściutko, są w nim kwiaty, owoce, warzywa. Ja się w to nie wdaję, pomoc dam do roboty, a reszta na głowie Helenki. Może zechcesz zobaczyć ogród Leonardzie, pójdz z Helenką.

— Doprawdy, nie ma tam nic godnego widzenia—tłó maczyła się piękna ogrodniczka.

— Proszę pani—odezwałem się—odkąd mnie losy rzuciły do Pustelni, to wszystko co w niej jest musi być dla mnie godném widzenia, jeżeli zatém zechce pani być moją przewodniczką...

— Służę panu — rzekła — ale uprzedzam, że się pan rozczaruje.

— To zobaczymy.

— Idźcie już idźcie—rzekła ciotka Barbara—głosem widocznie do rozkazywania przywykłym, bo

jak się zaczniecie ceremoniować i certować, słońce tymczasem zajdzie i Leonard ogrodu nie zobaczy.

Poszliśmy.

Nie był to wcale osobliwy ogród, a i dziś nic szczególnego w nim nie ma, chociaż i ja dużo w niego pracy włożyłem,—ot, zwyczajny ogródek wioskowy. Drzew dużo, szkółka, gęste krzaki agrestu, porzeczek, malin mnóstwo pod parkanami, a dalej grządki warzywa. Kilkanaście krzaczków róż, rabatki rezedy i mnóstwo pospolitych kwiatów: lewkonij, goździków, żółtej i czerwonej nasturcyi, kilkanaście georgiń przy palikach, piwonij czerwonych, astrów moc — słowem najpospolitszy w świecie ogródek. Dla mnie wszelako wydał mi się wtedy niezwykle pięknym i uroczym... Słuchałem opowiadania Helenki o zającach, które w zimie w szkółce spustoszenia wielkie pomiędzy szczepami zrobiły, o chrabąszczach niezwykle licznych na wiosnę, o wilgach żółtych, ładnie śpiewających ptaszkach, które wciąż przylatują z lasu i objadają najpiękniejsze wiśnie... Biedna ogrodniczka tyle miała kłopotów, tylu nieprzyjaciół i szkodników! Dowiedziałem się przy tej sposobności, że w Pustelni są bezczelne wróble, które wcale nic sobie nie robią ze strachów; że w parkanie brakuje kilka desek, a Szymon, chociaż ciągle obiecuje temu zaradzić, jednak ani myśli słowa dotrzymać. Dowiedziałem się także, że kapuście grozi poważne niebezpieczeństwo,

gdyż z powodu suchego lata liszek jest bardzo dużo i trudno z nimi wojować. Dowiedziałem się wreszcie, że w nocy ogród jest strzeżony przez dwa bardzo porządne i mądre psiska, które przy tej sposobności zostały mi zaraz przedstawione. Wreszcie musiałem skosztować malin, które nie były zwyczajne, takie jak wszystkie maliny na świecie, ale nabyte od ogrodnika z dóbr książęcych i przyjęły się ślicznie.

Słuchając szczebiotania mojej towarzyszki, doznawałem dziwnie przyjemnego wrażenia; zdawało mi się, że zostałem przeniesiony do świata innego, w jakieś czasy patryarchalne, pełne naiwnej prostoty. Gdyśmy powracali do domu, byliśmy już z sobą na stopie przyjaźni, tak jakbyśmy się znali od dzieciństwa. Powiedziałem jej, że ma głos prześliczny, że wczoraj słyszałem jej śpiew; powiedziałem, że bardzo lubię lewkonie i goździki—i wreszcie ułożyliśmy, że nazajutrz pójdziemy zwiedzić pasiekę, na co Helenka miała wyjednać dla siebie specjalne zezwolenie cioci... Gdy wieczorem znalazłem się w izbie, która odtąd miała sypialnię moją stanowić, pomimo znużenia, nie udałem się na spoczynek, lecz zasiadłem do pisania i do godziny bardzo późnej nie wypuszczałem pióra z ręki. O spaniu pomyślałem wówczas dopiero, gdy już na stole leżał gotowy i zapieczętowany pakiet, zawierający w sobie podanie do mojej władzy o uwolnie-

nie mnie ze służby, z powodu interesów familijnych, oraz listy do kolegów i przyjaciół z którymi bliżej żyłem, donosząc im o mojem niezłomnem postanowieniu pozostania aż do śmierci w Pustelni. Pilno mi było zerwać wszystkie więzy łączące mnie z dotychczasowem otoczeniem i rozpocząć zupełnie nowe życie.

.
Nazajutrz, koło południa, kazałem przywołać starego Jojnę. Przyszedł niebawem, stanął przy drzwiach i swoim zwyczajem, w milczeniu gładził siwą brodę, oczekując czego od niego zażadam.

— Pojedziecie Jojna—rzekłem—do miasteczka, w którym jest poczta.

— Wiem...

— I wyprawicie te papiery. Duży pakiet oddacie za kwitem, mniejsze listy bez.

Jojna wziął pakiet do ręki, przytknął do samych oczu prawie, przeczytał adres i uśmiechnął się.

— Ja wiem co tu jest w środku—rzekł—miaruję...

— Naprzykład?

— Tu jest pisanie do wysokiego urzędu... a w tém pisaniu stoi, jako wielmożny pan, przyjechawszy do swoich majątnościów, zobaczył, że tu Bogu dziękować, aby zdrowie było, chleb jest, że pan sobie upodobał Pustelnię i bez to dziękuje za swój urząd i tu z nami zostanie.

— Bardzo z was domyślny człowiek.

— Ja nic więcej nie robię, tylko myślę, a przez to, że ciągle myślę, to się czasem czego domyślę... Powinszować wielmożnemu panu...

— Czego?

— Szczęścia. Pan teraz jest na nowém miejscu, a u nas powiadają: że nowe miejsce, nowe szczęście. Tyle lat Pustelnia była bez dziedzica, teraz będzie z dziedzicem. Tu się wszystko robiło na wywrót. U nas stoi, że żydzi czterdzieści lat czekali na ziemię... tu się stało, że ziemia dłużej musiała czekać na dziedzica. Teraz gospodarz jest już, więc aby siedział i cierpliwy był, to się wszystko na lepsze obróci...

— Dla czego cierpliwy?

— Bo cierpliwość, to jest wielka rzecz... Nasze mądre rabiny oszacowali, że cierpliwość jest warta czterysta „zuzów“, czterysta pieniędzy... i oni powiedzieli prawdę, bo oni zawsze prawdę mówią... Cierpliwość jest warta dużą sumę... Przez co żydzi wyszli z Babilonu? przez to, że mieli cierpliwość. Mógłbym wielmożnemu panu dużo powiedzieć o takich interesach, ale nie powiem, bo naprzód pan sam dobrze rozumie o co chodzi, a powtóre u nas stoi w megile, że gadanie jest szacowane na jeden złoty, a niegadanie na dwa złote.

— Dla czegoż to tak?

— To jest bardzo prosty interes. Skoro kto

gada, to może powiedzieć albo co dobrego, albo co złego; a skoro kto nic nie gada, to wiadomo, że ani dobrze, ani źle nie powie, nie powie takie słowo co jest mądre, ani takie co jest w niem feler; a takie znowu słowo co ma feler to jest podobne do ptaka... Ono wyleci bardzo łatwo, ale złapać je i napowrót włożyć tam z kąd wyszło, wcale nie ma sposobu.

— Powiedzcież mi mój Jojno co o tutejszjej okolicy.

— Co pan chce wiedzieć o niej?

— Wszystko... Skoro postanowiłem tu zostać, chciałbym wiedzieć przedewszystkiem jakich mam sąsiadów?

— Gdzie pan dobrodziej widział, żeby Pustelnia miała sąsiadów?

— Przecież ktoś musi być.

— Proszę pana — rzekł Jojna brodę gładząc — ja tu siedzę tyle lat co sam zrachować nie mogę i jeszcze nie widziałem, żeby kto z bliskości do Pustelni przyjechał. Kto ma przyjechać, kiedy nikogo nie ma!... Pustelnia jest kawałek majątku sam w sobie, a dokoła jak pan spojrzy, wszystko wielkie dobra, pańskie dobra... Książęce majątki na parę mil się ciągną, hrabiowskie dobra też ogromne, a Pustelnia między niemi w środku... jak Pustelnia. Ja miarkuję, że ona się przez to tak nazywa... ale niech się wielmożny pan nie martwi...

— Czegóż mam się martwić?

— Niech wielmożny pan nie bierze sobie do serca tego, że tu może być smutno, bo tu wcale smutno nie będzie, aby zdrowie było... Ładny kawałek gruntu, ładne gospodarstwo, chleb, Bogu dziękować był, jest i będzie... Tu się zawsze śliczne zboże rodzi, jak złoto zboże, a po miasteczkach żydków nie braknie. Przyjdą sami, dobre pieniądze dadzą i jeszcze się nizko pokłonią. Jabym życzył, żeby wielmożny pan pojechał sam trochę do miasteczka.

— Po co?

— Naszych kupców poznać. Co to panu szkodzi?

— Na to mam przecie dość czasu.

— I to jest prawda. Jak kto ma majątek obdłużony, jak potrzebuje sprzedać co, albo pieniędzy pożyczyć, to musi zaraz kupców poznać. Pan dobrodziej, Bogu dziękować może czekać, aż oni sami przyjdą z pokłonem.

— Czy Jojna uważa, że Pustelnia tak dobrze stoi?...

— Żebym ja tak szczęśliwy był! Ja przecież najlepiej tutejsze interesa znam... Długu nie ma ani grosza, pewnie i gotówki trochę pani Wojtkiewiczowa zebrała, a w folwarku Bogu dzięki nie brak nic. I w spichrzu jeszcze zboże jest i na łąkach zeszłoroczne stogi. Czego tu brak? Dziedzica tylko było brak, ale teraz kiedy dziedzic jest, to

już nie nie brak. Pan nie pożałuje tego, że się między nami pozostał.

— Więc sąsiedztw żadnych nie ma?

— Nie ma, nie ma, wielmożny panie... Po prawdzie w tych wielkich dobrach, co z Pustelnią graniczą ludzi nie brak, są plenipotenty, rządcy, kasyery, ale oni swoim dworem żyją, między sobą kompanię trzymają.

— Dla czego?

— Jakto dla czego?... oni wszyscy Niemcy są. Poprzyjeżdżali z daleka, bardzo z daleka, z zagranicy, albo ja wiem zkąd?...

— To nie dobrze...

— Wiadomo że nie dobrze... Wielmożny pan lubiłby z kim kompanię trzymać, a tu nie ma z kim... ale co ja gadam! Jest, jest! no, że mi to od razu do głowy nie przyszło, ale ja myślałem, że pan pyta o obywateli, o szlachtę.

— Niekoniecznie.

— No, to tu w miasteczku, niedaleko, jest jeden człowiek co się wielmożnemu panu bardzo spodoba.

— Któż to?

— Nie duża osoba... całkiem doktor... ale jaki doktor! aj, waj! jaki on doktor! Nie potrzeba i w Warszawie lepszego szukać.

— Młody człowiek?

— Nie młody, wielmożny panie, i nie stary też. Tak sobie, trochę szpakowaty... nazywa się Kaliński, wielki doktor, uczony człowiek! Jak raz, w le-

cie, był w swoim majątku sam książe i zachorował, to chcieli aż do Warszawy rozstawne konie po doktorów posyłać, ale że tymczasem był wielki gwałt, więc poprosili Kalińskiego... Nu, co wielmożny pan powie? On przyszedł, tego księcia obejrzał i powiedział, że nie potrzeba rozstawnych koni posyłać, ani doktorów zwozić, że za trzy dni to książe będzie całkiem zdrów... I tak się stało... On wtenczas duże pieniądze za to dostał... ale myśli pan, że on o pieniądze dba! wcale nie dba! Taki dziwny człowiek jest.. On powiada, że człowiekowi pieniądze wcale niepotrzebne.

— A ma żonę? dzieci?

— Także nie ma. Powiada, że doktor z żoną nie wart pół tego co doktor bez żony. Ma taką swoją kombinację w głowie!

— Może to i racya.

— Hm, proszę pana, po doktorsku to jest trochę racya, bo doktor ma do czynienia z różnemi słabościami, może też sam zachorować, może bróń Boże umrzeć... no i co wtenczas z jego żoną? co z dziećmi? ale po naszymu, według naszej kombinacyi, wcale nie jest racya. Naprzód, człowiek bez żony i bez dzieci to nie może być rachowany za całego człowieka... po drugie, takim ludziom Pan Bóg nie błogosławi, po trzecie, każdy człowiek ma swoje szczęście, a taki wcale nie ma szczęścia... Nie potrzebuję panu dużo opowiadać, ale dość, że ten do-

któr jest dziwny człowiek, a podobno i bardzo uczony człowiek... Pan dobrodziej może mieć z niego kompanię.

— Postaram się go poznać.. ale skoro w miasteczku doktor jest, to musi być i aptekarz i ksiądz.

— Księdzów jest dwa nawet. Jeden stary, drugi młody... ale ja tu bałamucę, a mnie czas jechać... Oj, oj, dawniej, dawniej, jeszcze jak pański dziadek żył, to on też lubił czasem ze mną gadać... On miał odemnie każdą nowinę, ale wtenczas ja byłem młody, ciekawy, jeździłem dużo po miastach, po jarmarkach, kręciłem się pomiędzy ludźmi, zawsze miałem co do powiedzenia... Teraz zestarzałem się, siedzę na miejscu, a powtóre, przez te lata co dziedzica nie było, komu miałem nowiny przynosić? Pani Wojtkiewiczowa nie bardzo ciekawa co się na świecie dzieje, a Szymon... wiadomo, Szymon chłop jest, prosty człowiek, nie rozumie się na delikatniejszych interesach.. No, teraz Bogu dzięki, pan jest, to ja jeszcze puszcę swoje stare kości w ruch, jeszcze będę tu różne nowiny przynosił.. Aj, aj, pan dobrodziej się śmieje! Ja wiem, u państwa to się nazywa pantoflowa poczta. No, ale co to szkodzi? Czy ona jest pantoflowa, czy wozowa, to wszystko jedno, aby pan tylko wiedział co się na świecie dzieje.

Podziękowałem staremu żydowi za obietnicę i zapewniwszy go, że pantoflową pocztą nie pogar-

dzam i wiadomości ze świata jestem bardzo ciekawy zaleciłem mu pośpiech.

Gdy wyrzawszy przez okno, zobaczył Joję wyjeżdżającego za bramę, dziwnie mi się jakoś na sercu zrobiło, ale stało się... zerwałem zupełnie i stanowczo z dotychczasowym moim światem, wyrzekłem się go dobrowolnie, bez przymusu — i miałem rozpocząć nowe życie.

Czy lepsze ono będzie, weselsze?...

.

Idziemy z Helenką do pasieki.

Dzień prześliczny, jasny, na niebie ani jednej chmurki. Słońce obniża się już ku zachodowi, ale jeszcze dnia kawał przed nami. Wybraliśmy się wcześniej, bo do pasieki kawałek drogi i ciotka Wojtkiewiczowa prosiła, żebyśmy przed zachodem słońca wrócili, bo z kolacją oczekiwać nas będzie... A my słuchamy zawsze ciotki — my, to jest ja i Helenka, słuchamy jak dobre dzieci. Ciotka względem mnie przybrała ton macierzyński, daje mi różne rady i traktuje zupełnie jakby swego syna... Nie gniewam się o to, kobieta zacna, ze złotem sercem, otacza mnie taką troskliwością i opieką, jakiej nigdy w życiu nie zaznałem... Mówi mi po imieniu, jakby od dziecka nie nazywała mnie inaczej.

Idziemy do pasieki.

Dróżka, a raczej ścieżka do niej prowadzi, między dojrzewającymi ścianami żyta, potem ciągnie się, jak szare pasemko wśród łąk, a wreszcie ginie nad rzeką, w gaju, wśród którego dostrzedz można jakiś budynek.

Dziwnie pachnie i zboże i łąka i ów gaj, co się zdaleka przed nami rysuje.

— Dalekoż to jeszcze? — pytam.

— Czy się pan już zmęczył?

— Nie, alem ciekawy.

— Gdyby można było pójść prosto, byłoby bardzo bliźutko, ale rzeka ma takie skręty szczególne, a po łące mnóstwo rowów, które nie wiem po co Szymon kazał pokopać. Niektóre z nich są tak szerokie, że ja nie mogę przeskoczyć. Musimy trzymać się ścieżki, a na rowach znajdziemy kładki... Przejść można bardzo wygodnie, bez zamoczenia się... Ja tu w lecie jestem codzien.

— Codzień?!

— Czasami nawet bywam po dwa razy... bo w lecie największa robota przy pszczołach, trzeba ogromnie pilnować... chodzę więc, a wracam najczęściej inną drogą.

— Dlaczego? kiedy są takie duże rowy?

— Właśnie dla tych rowów... mają one jedną dużą zaletę.

— Rowy! jakąż zaletę mieć mogą?... chyba tę, że odprowadzą z łąk zbyteczną wodę.

— Podobno, tak przynajmniej dowodzi Szymon, ale ja się w to nie mieszam, a nad rowy chodzę, po niezapominajki... Zna pan zapewne... takie kwiatki niebieskie...

— Znam doskonale.

— Tu są prześliczne, a rośnie ich tak dużo, że można rwać pełnemi garściami. Ciocia bardzo lubi te kwiaty, dla tego też pamiętam, aby przez całe lato miała je w swoim pokoju... Ach! otóż pierwsza kładka.

— Podam pani rękę...

— Nie, nie trzeba... raczej ja panu podam.

W jednej chwili była już na drugiej stronie rowu i wyciągnęła do mnie rączkę, trochę opaloną, ale maleńką i zgrabną.

Później przeprawiliśmy się przez drugą i trzecią kładkę i znaleźliśmy się w gaju.

— Któż budował te mosty?—spytałem, gdyśmy przez ostatnią kładkę przeszli.

— Któżby, jak nie Szymon... to jego wydział, a to mój—rzekła wskazując na dość wysoki parkan, z poza którego widzieć było można słomą pokrytą chatkę. Helenka otworzyła furtkę.

— Niech pan wejdzie, proszę...

— To więc jest pasieka?—spytałem.

— Tak... Szymon powiada, że istnieje tu ona od bardzo dawnych czasów i zapewne musi tak być, bo widzi pan jakie te kłody stare.

— Są i nowe jednak...

— Są; tego roku Szymon mi dwie dostarczył.

— Widzę, że pani z tym Szymonem ciągle ma do czynienia.

— Bo muszę. Prawie ciągle potrzebuję jego grzeczności; palików do drzew w ogrodzie, tyczek do grochu, ulów... Ciocia mi tego nie da, więc muszę Szymona prosić.

— Ale parkan w ogrodzie już naprawił.

— To nie jego zasługa, pan mu kazał, więc naprawił zaraz, a ja go prosiłam od dwóch tygodni na próżno. Chodźmy do pszczółek... Ale muszę pana przedtém zabezpieczyć, bo moje pszczołki nie są bardzo gościnne, nieznajomych kęsają... Wejźmy do tój chatki...

Weszliśmy; była to nieduża stancya z kominem. Na ścianach wisiały siatki i różne narzędzia pszczolarskie, w kącie zaś stał tapczan, na nim garść słomy zmiętój.

— Czy tu kto mieszka?—spytałem.

— Mieszka, ale tylko podczas zimy.

— Któż taki?

— Długa to historia... może ją panu ciocia lepiej opowie...

— Ale pani zna tego mieszkańca?

— Miałabym nie znać?!... Jest to Bartłomiej.

— To jeszcze nie wiele mnie nauczyło.

Helenka rozśmiała się.

— Wszyscy go Bartłomiejem tylko nazywają... Na jesieni później przychodzi, mieszka w tej chacie i pasieki pilnuje, sieci nowe robi, albo stare naprawia, a na wiosnę bierze wielki kij w rękę, torbę płócienną na plecy i idzie znów w świat.

— Więc to żebrak?

— I tak, i nie. Tak, bo chodząc po świecie, żyje z jałmużny, a nie, bo nie chodzi umyślnie po to, żeby jałmużnę zbierać, tylko więcej z nabożności... Wędruję do Częstochowy co roku i przynosi z tamtąd mnóstwo krzyżyków, medalików, różańców, które po największej części darmo ludziom rozdaje. Chłopi go szanują, uważają go za pielgrzyma, pustelnika, prawie za świętego. Jak się tylko pokaże, wnet schodzą się do niego po radę, po różne pamiątki, które ze świętych miejsc poprzynosił... My mamy z niego wielką wygodę, szczególnie ja, gdyż trudnoby mi było zaglądać do pasieki w zimie, gdy duże śniegi spadną... a tak, poczciwy Bartłomiej mnie wyręczy. Ciocia mu daje zawsze trochę kartofli, kaszy i co tam potrzeba do jedzenia, a dziadowina sam sobie gotuje, tylko po chleb do dworu przychodzi... A prócz tego, żeby pan wiedział, jaki z niego rybak zawołany... Co on przed świętami ryb łapał! Co roku żydzi przyjeżdżają i kupują. On wszystko umie ten Bartłomiej; potrafi łapać wilki i lisy. Niech pan zobaczy ile skórek wisi w lamusie!

— Bardzo jestem ciekawy poznać tego Bartłomieja.

— Cóż łatwiejszego... pozna go pan niezadługo... Jaskółki odlecają, bociany w świat powędrują, żórawie... a po ich odlocie przyjdzie stary Bartłomiej, przyjdzie, śpiewając jaką pieśń nabożną... Oto jest sitko, niech je pan włoży na twarz... Ach! jaki pan śmieszny w tém przebraniu! Trzeba jeszcze włożyć rękawiczki. Teraz możemy już iść śmiało między ule.

— A pani sitka nie bierze?

— Nie trzeba, pszczołki moje dobre znajome, nie ukąsi mnie żadna.

Poszliśmy, a Helenka szczebiotała ciągle.

Lata od téj pory przeszły — a jeszcze każdy jej wyraz mam żywo w pamięci!

— To miejsce — mówiła — doskonale na pasiekę wybrane... Zaciszne, spokojne, tuż woda, łąki, las... a nad rzeką tyle malin, jeżyn, porzeczek, że pojęcie przechodzi! Mnie się też zdaje, że Bartłomiej ma rację.

— W czém?

— Ach prawda! pan nie wie. Bartłomiej po wiedział, że chyba przy stworzeniu świata ten zakątek na pasiekę przeznaczony został, bo lepszego nigdzie nie znajdzie, a przecież Bartłomiej dużo ziemi widział.

Zwiedziliśmy szczegółowo pasiekę—zdjąłem si-
tko z twarzy i zabraliśmy się do powrotu.

— Pan nie zgani mnie przed ciocią za moje go-
spodarstwo?—spytała.

— Lęka się pani?

— Naturalnie. Ciocia mi zawsze powtarza, że
trzeba pracować, że grzech być próżniakiem, że niko-
mu na świecie chleba darmo nie dają, więc i ja téż ro-
bię co mogę i staram się, żeby było zrobione najle-
pij, a jeżeli pomimo woli mojej jest co złego...

— To?

— To... proszę mi wybaczyć, panie—rzekła, pod-
nosząc na mnie duże, prześliczne oczy.

Uchwyciłem drobną jej rączkę i przycisnąłem
do ust... Zażenowało ją to i onieśmieliło bardzo.
Pokraśniała na twarzy jak róża i przez chwilę nie
odzywała się do mnie wcale.

Szliśmy tą samą ścieżką przez łąki—i droga,
dość długa w rzeczywistości, wydała mi się bardzo
krótką... Z prawdziwą przykrością zobaczyłem, że
już jesteśmy przy życie, poza którym ogród i fol-
wark się znajdował. Na szczęście spostrzegłem
dąb powalony przez piorun. Udałem zmęczonego,
choć było to kłamstwo, bo wcale zmęczenia nie
czułem.

— Panno Heleno—rzekłem—przyznam się, że
już ledwie idę... zatrzymajmy się cokolwiek, spocz-
nijmy...

— A dobrze — odpowiedziała — siądźmy na tém drzewie; nie wiedziałam, że pan taki niewytrzymały. Ja mogłabym jeszcze iść Bóg wie dokąd.

— Nieprzyzwyczajony jestem do chodzenia po polach, ale po jakim czasie wprawię się i będę chodził tak jak pani.

— Czy w mieście ludzie mało chodzą? — spytała.

— Owszem, chodzą nawet bardzo dużo, ale tam, widzi pani, co innego, tam są wygodne, różne chodniki kamienne.

— O, dziękuję bardzo! Chyba żaden na świecie chodnik nie zastąpi zielonej murawy, która jest miękka jak dywan.

Usiedliśmy na zwałonym dębie.

Słońce nachyliło się ku zachodowi; przyjemny, orzeźwiający wietrzyk muskał skronie.

Rzecz dziwna, rozmowa, która nam tak łatwo szła z początku, rwała się co chwila jak nitka i nawiązać jej nie było można. Nie kusiliśmy się też o to.... Helenka patrzyła na łąkę, po której bocian przechadzał się poważnie — ja ścigałem wzrokiem hyże jaskółki, uganiające się za muszkami w powietrzu. Drobne te szczegóły wyrzeźbiły się głęboko w mojej pamięci i nie zatarły się, pomimo lat, aż po dzień dzisiejszy.

.
Przyzwyczajony od wczesnej młodości do systematycznej pracy, nie mogłem siedzieć w Pustelni z założonemi rękami. Los niespodziewanie obdarzył mnie ziemią, a na gospodarstwie nie znałem się ani trochę. Postanowiłem więc praktykować przy Szymonie, a wiadomości teoretycznych szukać w książkach. Zaledwie dzień się zrobił, byłem już zwykle na nogach. Poczciwy Szymon budził mnie i chodziliśmy razem do zabudowań folwarcznych, do dobytku, a potem w pole, na łąki. Gdy robota odbywała się jednocześnie w dwóch punktach, Szymon dozorował na jednym, ja na drugim. Bardzo szybko przyzwyczałem się do tego zajęcia, polubiłem je nawet i dziś nie chciałbym go już na żadne inne zamienić. Szymon, małomówny z natury, o gospodarstwie jednak bardzo chętnie rozmawiał. Opowiadał mi, jak się tu od najdawniejszych czasów rolę uprawiało, według starego obyczaju, jak ongi jeszcze za dziadów — i wyszydzał różne nowości, które w sąsiednich magnackich gospodarstwach zaprowadzono. Z ciekawością wielką słuchałem tego chłopskiego wykładu, a wieczorami czytywałem książki rolnicze, i tak po troszę praktyką dopełniałem teorię... teorią znów praktykę — i ostatecznie z czasem nauczyłem się chodzić koło roli, tej nigdy niewyczerpanej w swém bogactwie żywilki naszej.

Dnie ubiegały szybko jeden za drugim i na myśl mi nawet nie przyszło, żeby szukać nowych znajomości, towarzystwa. Na cóż? Miałem zatrudnienie, które wypełniało mi dzień cały, a kiedy po pracy zasiedliśmy do posiłku, ciotka Wojtkiewiczowa opowiadała różne epizody z dziejów rodziny naszej, a Helenka szczebiotała jak ptaszek. Ze świata miałem także relacye, bo dwa razy na tydzień przywożono z poczty gazetę, którą moim paniom czytywałem głośno — z bliższych zaś okolic stary Jojna wieści przynosił.

Przeszło lato, pierwsze lato we własnym kącie, na własnym kawalku ziemi! Sprzątnęliśmy zboże, pozwozili do stodół, ułożyli w sterty to, co się pod dachy zabudowań zmieścić nie mogło. Szymon dumny był ze zbiorów i chwalił się nimi, wymieniając z tryumfem, ile mamy kóp zboża i stogów siana na łąkach.

Po lecie przyszła pogodna, złota jesień. Załatwiliśmy się z siewem ozimin i z orką — a Helenka ogołociła swój ogród z dorodnych jabłek i gruszek. Nad polami unosiły się srebrne nici babiego lata, bociany powędrowały za morze, odleciały zwinne jaskółki, zórawie krzykiem donośnym pożegnały nasze strony... Już się téż rankami i biały mrozik pokazywał, a dni były coraz krótsze i krótsze. Helenka dziwiła się, że Bartłomiej z wędrówki nie wraca, wspominała o nim codzień prawie,

wyglądała przez okno, czy go na drodze nie dojrzy. Przywłókł się dziad przecież!

Przyszedł, jak co rok, z zapasem krzyżyków i obrazków, z pieśnią nabożną na ustach. Był to człowiek wysoki i przygarbiony nieco, z długą białą brodą i takimiz włosami, które mu na ramiona spadały. Ubrany ubogo ale schludnie, nie miał powierzchnowości żebraka. Za pasem różaniec nosił, sakwę płócienną miał na sobie, a w ręku kosztur osobliwy, długi i sękaty. Gdy przyszedł, Helenka i ciotka Wojtkiewiczowa na spotkanie jego wybiegły, wprowadziły go do pokoju i dopytywały się gdzie bywał.

I ja zapragnąłem także owego gościa zobaczyć...

Gdym wszedł, skłonił mi się nisko, życzył szczęścia, krzyżyk z Częstochowy mi ofiarował i prosił, abym mu pozwolił przezimować w owój budzie w pasiece. Proponowałem żeby na folwarku został, gdzieby miał większą wygodę — ale nie chciał.

— Wielmożny panie — odrzekł — mnie tam dobrze... a zresztą staremu niewiele potrzeba, byle dach nad głową, siaki taki komin i garstka słomy na posłanie... Podziękuję pokornie i odśłużę jak mogąc. Trochę to ja i rybak, trochę myśliwy. Siatki ponaprawiam, zwierzyny dostarczę... kłodę na ul wyłobię...

Popatrzył na mnie uważnie — a potem dodał ciszej:

— Gdym się teraz po świecie włóczył, ku miejscom świętym ciągnąc, precz mi się zdawało, że za powrotem do Pustelni, odmianę jakąś znajdę... Prosiłem też Boga, żeby choć dobrą i Bóg miłosierny wysłuchał. Zastałem panią oto i panienkę we zdrowiu... a Pustelnia doczekała się dziedzica...

Znowu przerwał, spojrzął na Helenkę, potem na mnie, kiwnął głową, uśmiechnął się nieznacznie i rzekł:

— Niech-że Bóg błogosławi, niech będzie w tym domu radość i wesele...

Ten ostatni wyraz wymówił z naciskiem. Helenka zarumieniała się jak wiśnia i tak pilnie patrzyła w podłogę, jakby na jej gładkich deskach coś bardzo ciekawego spostrzegła.

Polubiłem starego Bartłomieja. Namówił mnie, abym na polowanie z nim chodził, więc też bobrowaliśmy prawie codzień po lesie, i ja nowicyusz, nauczyłem się przy nim różnych sekretów myśliwskich. Zaopatrywaliśmy śpizarkę ciotki Barbary w zwierzynę, a skór lisich i wilezych coraz więcej przybywało w lamusie. Robiliśmy też wycieczki na jezioro, bo Bartłomiej był rybak zawołany i jak chłopi twierdzili, miał takie sieci osobliwsze, do których ryby same się cisnęły gromadą. Tak przechodziły dnie zimowe—a wieczory były jeszcze miłsze. Już ta smutna Pustelnia, to ustronie, o którym ludzie opowiadali straszne rzeczy, wydawała mi się istnym

rajem—i nieraz zadawałem sobie w duchu pytanie, czém zasłużyłem na takie szczęście? Bo istotnie byłem zupełnie szczęśliwy—szczęśliwy bez miary, bez końca, bez granic... Jednego wieczoru, o szarėj godzinie, nim światło przynieśli, zacząłem rozmawiać z Helenką, to o tém, to o owém, aż wreszcie wypowiedziałem jēj to, co oddawna nosiłem już w sercu. W jakie wyrazy ubrałem to moje wyznanie, nie wiem, nie pamiętam — to mi jednak z pamięci nie wyjdzie, żem ją wziął za rączkę, że ona tēj rączki z mojej dłoni nie starała się wyswobodzić, że słuchała wyznania, nie przerywając ani jednym słowem — i że przyrzekła mi być moją, moją na zawsze...

Gdy ciotka Barbara weszła do pokoju ze światłem, spojrziała na nas uważnie i badawczo.. Widocznie spostrzegła moje wzruszenie i prześliczne rumieńce Helenki. Zdaje mi się, że się chciała zapytać co się stało — ale nie dałem jēj przyjść do słowa, powiedziałem wszystko i prosiłem o błogosławieństwo.

— Ona sierota, ja sierota, niech więc ciotka matką naszą będzie...

Nie zgodziła się odrazu. Oponowała.

— Zastanów się Leonardzie — mówiła — pomyśl... tyś bogaty, ona biedna, sierota, a przytém prawie jeszcze dziecko. Pomyśl, że możesz znaleźć partyę lepszą.

— Nie!—zawolałem—nigdy nie znajdę, bo szukać nie będę, bo tylko tę jedną kocham, w tój szczęście widzę...

Zacząłem całować ciotkę po rękach, prosić, błagać... aż rozplakała się i wyciągnęła nad nami ręce.

— Niechże was Bóg błogosławi — rzekła.

Szybko łzy otarła — i wnet na realniejsze sprawy myśl zwróciła.

— Narobiłeś mi kłopotu — rzekła z udanym gniewem — roboty na całą zimę...

— Roboty?!

— Naturalnie. Tobie się zdaje, że wziąć pannę z domu, to tak samo, jak zdjąć strzelbę z kolka...

— Ciociu, jestem w tём szczęśliwém położeniu, że panny z domu brać nie potrzebuję, przecież ona jest już w nim.

— To prawda, ale wyprawa! Nie wyobrażam sobie jak można wyjść za mąż bez wyprawy... Musicie poczekać z pół roku, zanim się wszystko przysposobi, uszyje...

— Na co?

— A nie, mój kochany. Trzeba ci wiedzieć, że ja mam także maleńki fundusik, mój własny i ten oddawna na wyprawę dla Helenki przeznaczyłam.

— Ależ ciociu — przerwałem — cóż to jedno drugiemu przeszkadza? Przecież panna Helena nie

odjeżdża, zostanie tu z nami na zawsze, więc wyprawę szyć można choćby przez lat dziesięć.

— Rozumiem. Niech i tak będzie. W tój kochanej Pustelni wszystko na opak się dzieje. Biercie więc ślub, a wyprawę będę przygotowywała powoli... Ktoby się spodziewał? ale co ja się dziwię?... po co było wilka do owczarni wpuszczać? Powiedzże mi przynajmniej, ty mała psotnico, czy go bardzo kochasz?

— Bardzo — szepnęła, spuszcżając powieki.

— I zkąd się wzięło to kochanie? Zkąd?

— Nie wiem, ciociu...

— Niewiniątko! No, no, moja droga, ja ci tego za złe nie mam. Człowiek na to ma serce, żeby kochał... a skoroś pokochała, to kochaj zawsze jednakowo, szczerze, serdecznie, aż do śmierci. Kochaj go w dobrej i w złej doli, w szczęściu i w nieszczęściu... w radości i w smutku... zawsze, zawsze, pamiętaj o tém Helenko.

— Pamiętaj Helenko — szepnąłem.

Podala mi obie rączki, które pochwyciłem i pocałunkami pokryłem.

Ciotka wyszła, ocierając łzy nieznacznie. Przy kolacyi zjawiła się butelka starego miodu; — zamieniliśmy z Helenką pierścionki. Takie były nasze zaręczyny.

Na drugi dzień pojechałem do naszego proboszcza. Prosiłem go, żeby zapowiedzi ogłosił, a zara-

zem złożyłem na jego ręce spory fundusik na gruntowne odrestaurowanie kaplicy na cmentarzu.

— A cóż cię, mój dobrodzieju — rzekł ksiądz — obchodzi biedna cmentarna kapliczka? Jeżeli uczyniłeś sobie chwalebne *votum*, aby coś na chwałę Bożą ofiarować, to raczej kościół wesprzyj, bo oto sam widzisz, że ubogi, stary, odnowienia potrzebuje ..

— I na to chętnie ofiaruję, ale widzi ksiądz dobrodzieju o kapliczkę osobliwie mi chodzi... O ile wiem, ma ona i podziemia.

— A tak, tak, ma sklepienie, bardzo porządne nawet.

— I nie zajęte zapewne?

— Ot zachciałeś także, mój łaskawco! Ciekawym ktoby tu podziemia zajmował. Chłop każe się grzebać w ziemi, a nasi wielcy panowie, których tu kilku mam w parafii, mają swoje groby rodzinne w innych majątnościach... Ale na cóż się dobrodzieju pytasz o te szczegóły?..

Opowiedziałem mu całą historję mej sukcesyi i dodałem:

— Rozumie ksiądz dobrodzieju, że nie chciałbym takiego smutnego sprzętu w domu trzymać. Niechby tedy owa nieszczęsna trumna, pod kaplicą na poświęconém miejscu spoczywała, dopóki nie przyjdzie czas, w którym ją na wieki, jako sukcesyę obejmę.

— Ksiądz zamyślił się.

— Ha — rzekł po chwili — dobrze... Juściẽ tak będzie lepiej, niech wam to nieustanne „*memento mori*“, nie psuje chwil szczęścia. Przyślijże jego-
mość tę nieszczęsną sukcesyę, niechże sobie stoi pod kaplicą.

W trzy dni później, wczesnym rankiem, wywieziono trumnę z lamusa. Eskortowałem ją z Szymonem — i po nabożeństwie za spokój duszy dziadka odprawionem, umieściliśmy smutny depozyt pod kaplicą.

.

Do ślubu pojechaliśmy sankami, a orszak był bardzo niewielki... Bartłomiej, Szymon i służba z Pustelni. Ciotka w domu została, aby nas powracających w progu chlebem i solą, obyczajem dawnym powitać. Nie miała Helenka družbów, ani mnie piękne druchny do ołtarza nie wiodły, nie było gości wystrojonych, tylko mała gromadka prostych ludzi w siermięgach słyszała jakieśmy sobie dozgonną miłość przysięgali. Poczciwy proboszcz serdecznie do nas przemówił, pobłogosławił, a po skończonym obrzędku, zabrał się z nami i do Pustelni pojechał. We drzwiach oczekiwała nas ciotka, wystrojona odświętnie i ofiarowała nam chleb świeży i sól. Ucałowała nas z płaczem.

Gdyśmy do pokoju weszli, wsunął się nieśmiało

Jojna; ubrany był w atlasowy żupan, przepasany pasem jedwabnym, pod pachą trzymał czapkę z kuny z aksamitnym kołpakiem, a w prawej ręce taczkę, na której leżał jakiś biały piernik... Prosił o przyjęcie, — do samej ziemi się kłaniał, życzył nam obojgu lat setnych i szczęścia.

I Bartłomiej i Szymon i kilkunastu chłopów gospodarzy ze wsi i wszyscy parobcy, służba cała do pokoju wtargnęła z życzeniami, w których tyle było serca, tyle szczerości, że mój się z trudnością mógł od lez powstrzymać. Dla tych dobrych ludzi, ciotka w dużej izbie czeladnej ucztę wyprawiała. Sprowadzili sobie muzykanta ze wsi i po chwili do uszu naszych dolatywał gwar rozmowy, odgłos skrzypiec i głośne przytupywanie tańczących.

— Niech się bawią — rzekła ciotka — niech tańczą do samego rana. Pustelnia już dawno, dawno nie słyszała muzyki.

Helenka w białej sukni, w mirtowym wianku na skroni, wyglądała jak uroczy, nadziemski zjawisko. Patrzyłem na nią w zachwyceniu, tak mi się piękną wydawała...

Czém zasłużyłem sobie na takie szczęście?

Wziąłem ją za rączkę, poszliśmy na chwilę do izby czeladnej, do tańczących. Za nami wsunęła się ciotka i ksiądz. Przywitano nas okrzykiem radości, a Bartłomiej miał do nas mówkę, za którą

ksiądz go pochwalił, a to uznanie napełniło dzieła szczególną dumą i radością.

Chłop jeden zbliżył się do Helenki i rzekł:

— Panienczko kochano, już grzech byłby to wielki, żeby panienka na swoim weselu nie tańczyła... Jeśli pani nie wzgardzi, to proszę...

Tańczyła Helenka i ja tańczyłem także — a potem powróciliśmy do pokoju, poprosiwszy wpierrw Szymona, aby ludzi do tańca, do weselości zachęcał. Do samego rana prawie hasali. Ciotce przykro było, że w tej uroczystej chwili nie przybył nikt z krewnych, ani że nie było gości z naszej sfery — ale ja nie brałem tego do serca. Co obchodził mnie cały świat? wówczas kiedy miałem swój własny, a taki piękny świątek szczęścia i miłości!..

.

Przeszły dwa lata, jak jedna godzina. Dwa lata niezem nie zamąconego spokoju i rozkoszy. Nie zazналиśmy przez ten czas ani niepowodzenia, ani klęski w gospodarstwie, ani żadnej choćby małej przykrości. Mijał nas grad, oszczędzał ogień, dobrze uprawiona ziemia rodziła na podziw, plony były bajeczne, dobytek się pomnażał — aż lękałem się czy to powodzenie nie było zapowiedzią jakiej wielkiej, niepraktykowanej klęski.

Helenka moja była gospodynią zawołaną, praco-

wała od świtu do nocy, wyręczała ciotkę, a prócz tego nie opuściła i swoich dawnych zatrudnień. W ogrodzie i pasiece była panią wszechwładną. Zaczna, dobra, nieoceniona kobieta! Pomimo, że nie kończyła pensyi żadnych i nie bywała nigdy w wielkich miastach — nie ograniczała się jednak na zatrudnieniach pospolitych tylko — owszem pamiętała i o swoim umyśle, czytywała książki, umiała odczuwać piękności w pieśniach naszych poetów zakłętę. Czytywała nam nieraz wieczorami te poezye, a słowa wieszczych, natchnionych pieśni, brzmiały w jęj drobnych usteczkach jak najpiękniejsza melodia. Dziękowałem, całowałem po rączkach i prosiłem: „jeszcze czytaj, jeszcze” — ona odpowiadała skinieniem głowy, łagodnym uśmiechem i czytała dalej karta za kartą, a my z ciotką słuchaliśmy, coraz to nowe piękności odkrywając w tém czytaniu.

Nie zawsze mogła dokończyć — bo czasem w najciekawszym miejscu przerywał to czytanie despota nasz, tyran, a zarazem przedmiot miłości i uwielbienia całego domu naszego — Jaś...

Prawda, wy nie wiecie kto jest Jaś, co to za jeden. To nasza duma, nasza rozkosz, nadzieja, świat, szczęście, wszystko — nasz syn! Rok już miał wtedy, był biały, rumiany, pulchniutki jak aniołek, co go na obrazach malują. Ja mówiłem, że do Helenki podobny; Helenka wmawiała, że oczy

ma moje; ciotka śmiała się, dowodząc że w takim małeństwie nie sposób dopatrywać podobieństwa do kogokolwiek z dorosłych. Śmieliśmy się z tego, bo jakżeż?! Ciotce się zdawało, że Jaś to takie sobie, ot, zwyczajne dziecko, jak tysiące innych na świecie — ale my z Helenką wiedzieliśmy, że tak nie jest. Wiedzieliśmy, że w Jasiu zwyczajnego, ani pospolitego nic nie ma, że to sama dobroć, mądrość, inteligencya, dowcip... wszystko! wszystko!

Ciotka śmiała się z nas, a przecież my widzieliśmy to najwyraźniej, że Jaś każde nasze słówko rozumie, że kocha nas, że wie o tém że jesteśmy jego rodzice — że on jest jedynym celem naszego życia... Mądry był chłopak. Nie mówił, bo jeszcze nie umiał, ale jak się uśmiechnął, jak spojrzał czarnymi ślepkami, jak pulchne rączki do klaskania złożył — my z Helenką wiedzieliśmy dobrze co to znaczy... A czy my tylko? Sam Szymon twierdził, że takiego „przysćipnego dzieciaka” nie widział jeszcze w swoim życiu; Bartłomiej mówił, że takiego samego na obrazie widział w jednym znacznym kościele.

— Pan Jezus — powiada — namalowany był we światłości i chwale, a do niego garnęła się gromada dzieci i pierwszy najmniejszy rączki do Zbawiciela wyciągając biegnął; ten właśnie był akuraknie taki jako nasz Jaś... A nad obrazem, nad ramą złocistą, była taka, jakoby wstęga bieluchna,

a na nią literami wielkimi napisano: „pozwólcie maluczki przyjsć do mnie”. I szły maluczki — mówił Bartłomiej — i chłopaczki i dziewczynki i większe i mniejsze i maluteczki, a przodem właśnie takuteńki jako nasz Jaś...

Nasz Jaś!

Wszyscy go tak nazywali w Pustelni, nawet stary Jojna; i on mówił że „nasz Jaś” jest taki delikatny, jak mało dzieci na świecie... Nie wiem z jakiej racyi w nim żyd tę delikatność dopatrył, bo chłopak był tęgi na podziw i ciotka nie bez racyi małym niedźwiadkiem go zwała... Naturalnie przez żarty — bo chociaż gniewała się na nas, że zanadto dziecko pieścimy, jednak sama pieściła je więcej jeszcze niż my — a kiedy Jaś pierwszy raz wymówił „ba-ba”, to się o mało nie rozplakała z radości... Ten Jaś odbierał mi ciągle Helenkę. Bywało w pole pójdziemy, lub do pasieki, a ja chciałbym z ukochaną moją zatrzymać się tam dłużej — nie można, bo może tam Jaś płacze, trzeba iść do niego. Zimową znów porą, w trakcie najbardziej zajmującej rozmowy, albo wśród czytania, Jaś przebudził się, krzyknął — i już rozmowa przerwana, czytanie skończone. Helenka zrywa się, biegnie do niego... tuli, całuje, kołysze, śpiewa mu, dopóki malec nie uśnie. Nieraz zazdrościłem temu bębnowi... On właściwie był panem Pustelni, my wszyscy jego sługami... Ależ też i war-

to było takiemu panu służyć, bo uśmiechem, figlami, szczebiotaniem hojnie nas wynagradzał. Lubił się bawić ślicznymi warkoczami Helenki, mnie nieraz mało wąsów nie poobrywał, a jak tylko ciotkę zobaczył, to póty manewrował, póty ciągnął, aż jej musiał czepek zdjąć z głowy... I śmiał się z tych swoich figłów — mały psotnik!

.

Wiele dat z życia mojego zapomniałem — ale jedna nie wyjdzie nigdy z mojej pamięci. Wyryła się ona w sercu, wypaliła w mózgu, a chociaż lata przeszły, nie zdołały jednak jej zatrzeć, ani zagładzić... Głowa posiwiała, oczy blask straciły — a ta data zawsze, zawsze będzie pamiętna...

23 grudnia 18...

— Dwudziesty trzeci!... Tak, tak... to było w przeddzień wigilii Bożego Narodzenia... w przeddzień świąt tak radosnych i wesółych zazwyczaj...

23 grudnia...

Ledwie świtać zaczęło, Bartłomiej zapukał do mego okienka. Ubrałem się pospiesznie, otworzyłem drzwi i wpuściłem dziadka do sieni...

— A cóż tam? — spytałem.

— Jutro wigilia święta, wielmożny panie — rzekł — trzebaby rybek nałapać.

— A dobrze...

— Otóż, żeby wielmożny pan Szymonowi kazał, żeby zebrał kilku parobków z siekierami i furmanką pod sieci, toby się pojechało na jezioro. Łód tęgi, a choć na nim śniegu na jaki łokieć, ale tonie można poprzerąbywać, włok mam gotowy, zaciągnęłoby się ze dwa, ze trzy razy...

— To niechże Bartłomiej pójdzie do Szymona, weźcie pomoc jaką trzeba i jedźcie... porąbcie tonie, a przed południem ja nadjadę do was...

— Właśnie niech wielmożny pan nadjedzie, nawet popołudniu trochę, ale aby zaraz popołudniu, bo żydy z furami też przyjadą. Już oni zwyczajni u nas w „wilię” wigilii ryby kupować, to będą, bo i co rok bywają.

— Dobrze, przyjadę.

Dziad czekał jeszcze.

— Co jeszcze chcecie powiedzieć? — spytałem.

— A to wielmożny panie, że jutro wigilia święta, to znów wedle myśliwskiego obyczaju, wartoby szczęścia spróbować w lesie.

— Mamy jeszcze czas, wybierzemy się, a teraz niech Bartłomiej idzie do Szymona... albo ja sam pójdę.

Włożyłem kożuszek na siebie i wyszedłem przed dom.

Niby to dzień się zrobił, ale gwiazdy pobladłe jeszcze cokolwiek świeciły. Mróz był wielki, śnieg pod nogami skrzypiał.

Zaraz na dziedzińcu spotkałem Szymona.

— Dobry dzień będziemy mieli na ryby — rzekłem — pogoda zapowiada się ślicznie, choć mroźno.

Szymon na niebo spojrział.

— Niby wielmożny pan tak według gwiazdów miarkuje?

— Zapewne, niebo jasne jak w lecie.

— Zwodzące ono bywa, panie; podług mego pomiarkowania dzień jak dzień, ale od wieczoru pewnie się zmiana robi.

Nie zważałem na te słowa, bo i cóż mnie miała tak bardzo pogoda obchodzić?! Czy taka ona czy owaka, w starym domu w Pustelni przecież ciepło i wesoło. Koło południa kazałem zaprządz konia do sanek i wybierałem się na jezioro. Już miałem siadać, gdy wybiegła do mnie Helenka w obcisłej szałopce, w czapeczce futrzanej, zupełnie gotowa do drogi.

— Weź mnie z sobą — prosiła — Jaś zostanie przy ciotce.

Dlaczegoż miałbym jej odmówić?... Umieściliśmy się w maleńkich sankach, a chłopakowi, który ze mną miał jechać, kazałem zostać w domu. Po wyborniej drodze koń pędził wyciągniętym kłusem; pogoda była prześliczna, niebo jasne, droga iskrzyła się od śniegowych kryształków. Ostry wiatr zarumienił twarzyczkę mojej żoneczki, a na włosach wymykających się z pod czapeczki, na rzesach, na

brwiach, pousadzał się drobniutki, biały szron. Prześlicznie wyglądała, a szczebiotła ciągle, śmiała się z moich wąsów, które posiwiały od mrozu i mówiła, że mi będzie z siwizną do twarzy. Przyjechaliśmy na jezioro właśnie wtedy, gdy wyciągano sieci. Ogromny był połów, moja najdroższa gospośia aż w rączki klaskała z radości. Zarzucili sieci drugi raz, jeszcze z lepszym skutkiem. Żydzi wazyli ryby i zabierali je na sanie... Niebo zaczęło się chmurzyć, mróz cokolwiek się zmniejszył, zaczął padać śnieg drobny z początku, potem coraz gęstszy, od czasu do czasu czuliśmy silny powiew wiatru.

— Ku domowi trzeba — rzekł Szymon do ludzi — żwawo zwijajcie się chłopcy, sieć zbierać, a państwo — dodał — niech jadą. Już ściemni się zaraz, śnieg może drogę zawiać.

Śmiałem się z ostrzeżeń poczciwego chłopca; przecież droga była mi znana doskonale; tyle razy przemierzyłem ją pieszo, a zresztą odległość nie wielka, trochę więcej niż pół mili, dom blisko. Ruszyliśmy. Mrok się zwiększał, robiło się coraz ciemniej i ciemniej, że tylko od śniegu cokolwieczek można było widzieć... a i ten śnieg dziwny jakiś, zdawało się, że nie leży na ziemi, ale podnosi się w górę i wypełnia sobą całą przestrzeń... Nie mogłem jechać szybko, gdyż silny wiatr miotał śniegiem wprost w oczy, tak, że nie sposób było spojrzeć przed siebie. Koń stąpał ostrożnie, coraz to

schylał łeb ku ziemi, węszył i chrapał. Zdawało mi się, że zboczył z drogi na lewo, ściągnąłem go lejcami i naprowadziłem na drogę.. Tak myślałem przynajmniej... Helenka wstrząsnęła się nerwowo.

— Co ci jest? — spytałem.

— Nic... trochę zimno — odrzekła — ale nie lękaj się, przecież za chwilę będziemy w domu; szklanka herbaty mnie rozgrzeje... śliczny dzień dziś był, Leonardzie... prawda?

Nie mogłem odpowiedzieć, gdyż nagle koń szarpnął i sanki stoczyły się w jakiś dół.

Wpadliśmy w głęboki śnieg... Helenka śmiała się z tej przygody, ale ja uczułem dziwny niepokój... Podniosłem sanki i zacząłem rozglądać się dokoła... rozglądać! jak gdyby można było widzieć co w ciemnościach, podczas wichury miotającej śnieg w oczy... Zdołałem jednak dojrzeć jakieś drzewa i ogarnęło mnie jeszcze większe przerażenie... Przy drodze prowadzącej do domu drzew niema, — więc zbłądziliśmy... Jesteśmy niewiadomo gdzie, wśród zamieci... Próbowałem szukać drogi. Zwróciłem konia na prawo, to na lewo; za pół godziny znowu znaleźliśmy się przy tych drzewach fatalnych.

— Dlaczego tak długo jedziemy? — pytała Helenka — pośpiesz, bo tam w domu Jaś płacze.

— Zkąd możesz wiedzieć, że płacze?

— Ja zawsze wiem — odpowiedziała.

Pocieszałem ją, że już niedaleko. Znowu szuka-

łem drogi i znów, po długim błędzeniu, znalazłem się przed temi samemi drzewami. Helenka drżała coraz bardziej — zdawało mi się, że płacze. Już nie mogłem dłużej ukrywać położenia, bo sama wiedziała, że błądzimy, że nas zaskoczyła śnieżycy... Zdałem się na instynkt konia... puściłem mu lejce swobodnie... Poszedł i znowuż to samo... znowu te drzewa przeklęte! Jakaż siła wpędza mnie w to błędne koło? jakież złe duchy sprzysięgły się na naszą zgubę?! Czy to te postacie tajemnicze a straszne, te duchy pokutujące, o których mi podczas nocy letniej w lesie chłop opowiadał... Ogarnął mnie zabobonny przestrah. Koń zatrzymał się... Wyszedłem z sanek, z załamanemi rękami, bezsilny, drżący z obawy o mój skarb, o moje szczęście całe... Żeby można przynajmniej ognisko rozniecić, ogrzać ją... Wyrzuciłem z sanek garść słomy — podpaliłem zapalką. Buchnęła jasnym płomieniem... Sądziłem, że przy tém świetle rozejrzę się w miejscowości, poznam gdzie jestem... ale gdzie tam! Widziałem tylko płatki śniegowe unoszące się w powietrzu... Garść słomy spłonęła w jednej chwili i ogarnęła nas zupełna ciemność... Rozpacz mnie porywała. Zacząłem bluźnić.

— Czyż niema Boga! — wołałem łamiąc ręce — czy on nas opuścił?!

— Cicho, nie mów tak, nie grzesz — rzekła Helenka; a po chwili, chwytając mnie za rękę za-

wołała z radością. — Słuchaj, Leonardzie, słuchaj... pomoc nadchodzi.

Istotnie, z oddalenia dolatywał dość wyraźnie odgłos myśliwskiego rogu.

— Szukają nas, szukają! To Bartłomiej... On nas znajdzie... Krzyczymy! krzyczymy ile mocy w piersiach, może usłyszą!...

Przypomniałem sobie, że mam strzelbę w san-kach... Strzeliłem w powietrze... Na strzał odpowiedział jeszcze donioślejszy dźwięk rogu... Niebawem zamigotały światła jaskrawe, czerwone... to Szymon i parobcy z Pustelni szukali, przyświecając sobie pochodniami... Strzeliłem powtórnie; zapaliłem resztę słomy wyrzuconej z sanek... Ludzie przyszedli i wyprowadzili nas na drogę.

.

Smutne były święta, bardzo smutne. Poznałem doktora Kalińskiego, owego dziwaka, o którym tyle opowiadał mi Jojna; przyjechał na pierwsze wezwanie. Wprowadziłem go do pokoju, w którym leżała ukochana moja chora... Krótco bardzo zabawił, zapisał lekarstwo, zalecił co było potrzeba i odjechał, tłómacząc się, że do chorych spieszy; ale wieczorem, nad wszelkie moje spodziewanie przyjechał najętymi końmi, przywiózł z sobą jeszcze jakieś leki i całą noc wraz ze mną czuwał nad Helenką. Przewidywał zapewne, że obecność jego będzie potrzebna... że może pogorszenie nastąpi... Rano powrócił do

domu i znów przyjechał do nas i bywał codzień po dwa, trzy razy — aż do dziewiątego dnia...

Czy mam opisywać tę walkę życia ze śmiercią, czy potrafię odmalować rozpacz moją, boleść pocziwój ciotki i smutek, jaki w całym domu panował? Nie potrafię... nie mogę...

Najdroższa moja wydała ostatnie tchnienie, może nawet nie wiedząc o tém, że umiera. Była nieprzytomna, nie ucałowała Jasia, nie pożegnała mnie... nie usłyszałem jej głosu... Kiedy już zamknęła śliczne swoje oczy na zawsze, przypadłem ustami do jej ręki stygnącej, a potem, potem nie wiem co było... Mówił mi później Kaliński, że m rwał odzież na sobie, rozbijał głowę o ściany, że m nie płakał, lecz wył... Pobiegłem jak opętany do lasu, z gołą głową, w ubraniu poszarpaném, myśleli, że m obłądu dostał. Kaliński z Szymonem sprowadzili mnie przez siłę do domu... Co dalej było nie wiem, straciłem przytomność i trzy tygodnie przeleżałem w gorączce.

Nie widziałem... Nie byłem świadkiem jak moją ukochaną z domu wynieśli, jak ją złożyli na wieki w podziemiach kaplicy, obok tej trumny wielkiej, która na mnie czeka. Nie słyszałem żałobnego odgłosu dzwonów, ani jęków ciotki, nie...

Gdym zaczął po trochu do przytomności przychodzić, gdy się myśli uśpione, czy zamroczone przez tak długi czas, przebudziły, a pamięć była w stanie

minione obrazy odtwarzać, to mi się zdawało, że się ze snu długiego obudził, że jestem w dawnym moim mieszkaniu w Warszawie, że sukcesya moja, Pustelnia, trumna po dziadkach, Szymon, stary żyd, Helenka i Jaś były tylko senne widziadła, niepochwytne postacie długiego marzenia. Tak mi się zdawało... ale oto do pokoju weszła ciotka z Kalińskim... A więc to nie sen — to rzeczywistość... prawdziwa, faktyczna... Więc było szczęście w istocie... było i przeszło jak sen, jak marzenie, pozostawiwszy po sobie smutek i żalobę... Wpadłem w stan apatyi, nie chciałem odpowiadać na pytania ciotki, odsuwałem ze wstrętem pożywienie, które mi przynosiła, aż dopiero Kaliński, ten lekarz mój i przyjaciel, przyniósł małego Jasia... Obląłem gorącemi łzami główkę sieroty i zapragnąłem żyć dla niego...

.

Ostatnie to zapewne kartki mego pamiętnika... bo i cóż więcej mam pisać?... Życie płynie cicho jak strumyk po łące, jednakowo, bez zmian... Orka, siew, żniwo i znów orka, siew, żniwo; — zimową porą las, czytanie, rozpamiętywanie chwil minionego szczęścia... a ciągle zimą i latem, dniem i nocą myśl o nim, o Jasiu..

Kaliński czasem przyjedzie i rozwesela moją samotność, bo samotny jestem zupełnie i opuszczony. Nie ma już dobrej ciotki Barbary, spoczęła obok Helenki pod kaplicą. Nie ma Bartłomieja, bo jak

się jednego roku powlókł na wędrówkę o wiosnie, tak nie powrócił już więcej. Pewnie się zmarło dziadowi.

I starego Jojny także nie ma — także nie żyje. Ze wszystkich dawnych domowników Pustelni jeden tylko Szymon pozostał. Przygarbiony, ze zbielełymi zupełnie włosami; żali się, że go wszystkie kości bołą, ale pomimo tego chodzi koło gospodarstwa jak dawniej.

Jaś na pięknego młodzieńca wyrasta, szkoły skończył, teraz za granicą się kształci na rolnika. Do domu rzadko przyjeżdża, ale skoro się pokaże w Pustelni, to mi jakoś raźniej i weselój się robi. Cieszę się moim jedynakiem... kocham go. O! Helenko, czemuż cię tu niema!?!...

.
Jasiu, synu mój, dziecko moje! Niezadługo z zapasem sił młodzieńczych i wiedzy przyjdiesz do tego ustronia i zaczniesz pracować na tych zagonach szarych, po których ongi pradziadowie twoi stąpali. Nie wątpię, że znajdziesz dobrą towarzyszkę życia... Daj Boże taką, jak była matka twoja. Bądź szczęśliwy!

Mój kres się zbliża, siły nikną — czas... czas! Gdy zamknę oczy na zawsze, włożysz ciało moje do wielkiej trumny dębowej, która czeka na mnie od lat tylu i pochowasz pod kaplicą obok Helenki. Taka jest moja ostatnia wola. Sukcesyę, którą

wziąłem po Gozdawach oddaję ci w całości, za wyłączeniem jedynie owęj trumny, co tak długo na mieszkańca swojego czekała. Tę biorę dla siebie. Zostawiam ci nawet więcej niż wziąłem — w budowlach, w dobytku, w pieniądzach. Weź to wszystko synu mój i pracuj. Ukochaj te zagony szare, z umiejętnością i starannością chodź koło nich. Nie rozpraszaj ich, z rąk nie puszczaj, a kiedy przyjdzie czas na ciebie, oddasz je w całości dzieciom twoim, wraz z tą miłością, którą zaszezepisz w ich sercach.

Czemuż cię nie ma, Helenko moja? wszak powiedziałabyś to samo Jasiowi...

K O N I E C.

CUD NA KIRKUCIE.

Berek Guzik mówił, że uczoność to jest największy majątek, że jest skarb, w porównaniu z którym najwspanialsza fortuna znaczy tyle, co nic.

— Niech pan dobrodziej sam uważy, niech weźmie na delikatny rozum! Znasz pan zapewne naszych bogaczy? Kto ich nie zna? To są wielkie osoby! wieley ludzie! Oto, naprzykład taki Dawid Jojne, ma dom—i gdzie on ma dom? w samym rynku! ma karczmę! i gdzie ma karczmę? na samym rogu! Może pan miarkować, co to jest dom w rynku i karczma na rogu! To bogactwo! na moje sumienie bogactwo — ale to jeszcze nie koniec. On się ożenił bogato, sześćset rubli za żoną wziął, on szczęście miał w handlu! on jedną dużą sprawę wygrał, on się dorobił na zbożu, dorobił się na drzewie— on dziś jest pan! Proszę pójść do domu i zobaczyć jego bogactwo! On samowar ma, on lichtarze ma, on ma najzylbrowe łyżki — a jego żona nosi kol-

czyki z brylantami, aż oczy bolą patrzeć! I co mu z tego wszystkiego?

— Jakto co? bogaty jest.

— To prawda. On pierwszy bogacz na okolicę. Jedź pan do Lubartowa, do Firleja, do Kocka, do Kamionki, za Kamionkę, do samych Łysobyk — nie znajdziesz pan takiego bogacza — ale niech-no pan zajrzy jemu w głowę! ha! ha! co tam jest w jego głowie! całkiem nic. Jedno z drugim nic!

— Musi jednak coś być — kiedy się dorobił i przyszedł do majątku.

Berek się rozśmiał.

— Nie, panie, ja widzę, że pan dobrodziej nie zna się na takich interesach...

— Być może.

— Przepraszam, bez urazy godnej osoby — ja panu to wytłomaczę. Do interesu głowa wcale nie potrzebna jest.

— Więc cóż?

— Szczęście! Kto ma szczęście, temu każdy interes pójdzie jak najlepiej — a kto nie ma szczęścia, temu i dziesięć głów nie pomoże. Takie było prawo od samego początku świata, takie teraz jest i takie będzie do samego końca.

— W takim razie, niechże mi Berek wytłomaczy, do czego służy głowa?

— Ha! ha! głowa! Głowa służy do uczoności. Głowa to jest kufer, to jest tłomok, to jest cała sza-

farnia! A wiesz pan, dlaczego głowa twarda jest? Dla tego, że w niej chowają się drogie rzeczy. Pomyśl pan: jeżeli człowiek na pieniądze, funduje sobie tęgi kufer albo żelazną skrzynię—więc na takie bogactwo, co w głowie może być, Pan Bóg dał także dobry, mocny kuferek.

— Wytłomacz-że mi jednak, mój Berku, czém się to dzieje, że są na świecie ludzie całkiem głupi — a przecież każdy człowiek ma głowę.

— Prawda. Prawda. Ale widzi pan, głowa a głowa to jest dyferencya. Ja nie chcę mówić o wszystkich głowach, ale powiem o żydowskich. Jak się panu zdaje, czy żydek, taki zwyczajny żydek, mały bachórek, przychodzi na świat mądry czy głupi?

— Cóż za pytanie!

— Ha! pan myśli, że głupi! Ha! ha! Nie — proszę pana, on wcale nie jest głupi, bo on przed urodzeniem nie próżnował, on darmo czasu nie tracił...

— A cóż u licha robił?

— Uczyl się; — przy nim był anioł i tłumaczył mu pismo — i tak go wyuczył wszystkiego, jak najlepszego rabina. Całą mądrość mu dał, pełną głowę mu nakładł.

-- A dlaczego posyłacie dzieci do szkoły?

— Bo tak trzeba, tak musi być. Ja panu wytłomaczę. Człowiek jest człowiek, ma szczęście

i nieszczęście. Pan Bóg daje mu dobre rzeczy — dyabeł (wiesz pan, taki paskudnik!) chce te dobre rzeczy od człowieka odebrać, chce mu wydrzeć, chce go całkiem zniszczyć. W każdym interesie lubi brzydki figiel zrobić. On starym ludziom dokucza, a dzieci! Żeby mógł, toby wszystkie (nie w złą godzinę powiedziawszy) pozjadał. To cały gałgan jest i przez niego nasze dzieci muszą do szkoły chodzić...

— Przez niego?

— Właśnie tak. Widzisz pan: taki mały żydowski chłopaczek, zanim przyjdzie na świat, to już jest mądry, uczony w piśmie jak cały rabin. On Torę zna, on Gemorę zna, on całe pismo zna! — ale co z tego?! Zaledwie na świat przyjdzie, dyabeł czeka na niego i daje mu, na pierwsze przywitanie prztyczka w nos! Nie wierzysz pan?! to proszę zobaczyć, że każdy człowiek, w tym miejscu, gdzie mu djabeł prztyczka dał — ma dołek.

— Ale cóż ztąd?

— Jakto co? Nie wiesz pan co? Takie dziecko to przecież delikatne jest, ono się boi. Jak zobaczy tego paskudnika, to krzyknie, a jak dostanie od niego prztyczek, to się tak zestraszy, tak przelęknie, że wszystko co tylko umiało, czego się od anioła nauczyło — odrazu zapomni! W tym cała sztuka jest! Żeby nie on, żeby nie ten gałgan, to nie trzebaby było dzieci uczyć — wszystkie odrazu

byłyby bardzo mądre. Pan się śmieje, pan nie wie-
rzy, że to prawda jest. Ja wiem... państwo macie
swoje zabobony. Może pan powiesz, że dyabła nie
ma? Oj! żebym ja tak nieszczęścia więcej nie wi-
dział — jak ja go sam widziałem na moje własne
oczy! Niewiadomo z kąd wlażł do izby.

— A jak wyglądał?

— Niech on zginie! niech jego moje oczy nie
widzą! On wyglądał całkiem jak czarny kot! Tfy!
tfy! Nie śmień się pan, bo broń Boże, może się zro-
bić nieszczęście!

— Ja się też nie śmieję — ale odeszliśmy od
przedmiotu. Nie wytłómaczyłeś mi Berku, dla cze-
go chociaż każdy człowiek ma głowę — jednak głu-
pich ludzi nie brak na świecie.

— Nie brak?! Ha! ha! żebym ja w swoim ma-
jątku tyle groszy miał, ile głupich ludzi się zdybie —
to jabym się pytał ile cały Lublin kosztuje?

— Więc?

— Nu, więc ja byłbym bardzo bogaty. Co się
tyczy mądrych i głupich, ja panu zaraz wytłómaczę.
Żeby na świecie byli sami mądrzy, toby nie było
głupich — a żeby byli sami głupi, toby nie było...

— Mądrych.

— Nie, toby także nie było głupich, bo każde-
mu głupiemu zdawałoby się że jest mądry. Weź
pan na delikatny rozum, każdy towar potrzebuje
mieć swoją miarę. Ocet mierzy się kwartą, cukier

ważą na funty—sukno, albo biały towar, idzie na łokcie. No —jaki pan łokieć znajdzie do zmierzenia mądrości? Właśnie głupi człowiek to jest taki łokieć! Jak pan postawisz mądrego przy głupim i każesz im żeby obydwu gadali, to będzie miara. Przepraszam pana, niech-no pan słucha jeszcze. Na świecie wszystko potrzebne jest — i różne głowy są potrzebne. Zwyczajnych trzeba dużo, wielkich nie wiele, bo wielka głowa ma pomyslenie za małe głowy. Ja panu nie powiadam o pruskich głowach, ani o żadnych zagranicznych głowach — ja mówię tylko o żydowskich. Państwo się śmieją — ale żydowskie głowy, to wszystko fajny gatunek głowy jest! Na moje sumienie! Tylko nie do każdej głowy może wleźć wielka mądrość, są niektóre trochę niezdatne...

— Ciasne?

Berek się skrzywił.

— Są i ciasne... ale od tego szkoła żeby próbować. Zaraz z małości widać już czy głowa zdatna czy nie zdatna. Jak która zdatna, to szczęście, to takie szczęście, że dziesięć majątków mu nie wyrówna.

— Przepraszam za niedyskretne pytanie — ale powiedz mi Berku, co ty myślisz o twojej własnej głowie?

Zawahał się żyd.

— Co ja myślę? — rzekł po chwili, — co ja myślę? Co mam myśleć? ja nic nie myślę.

— Ale przecież.

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć... ja jestem z mojej głowy kontent. (Niech ona zdrowa będzie!) Mnie ją Pan Bóg dał, a ja — dodał z dumą — nie żałowałem kosztu...

— Jakto?

— Ja pakowałem w tę głowę co tylko wlaźło, i jeszcze w nią kładę. Ja ciągle czytam, jak tylko czas mam to czytam, jak przyjdzie szabas czytam, jak pójdę do szkoły to także czytam, albo słucham co mądre ludzie gadają.

— Może dla tego właśnie nie masz do interesów szczęścia?

— Prawdę pan powiedział — ja nie mam szczęścia! Nie jestem bogaty, trochę nawet biedny jestem — a nawet cały kapcan jestem — ale za to mam swój honor. Mnie ludzie znają.

— Być może, ale robota nie tego ci idzie.

— Co ja mam na to poradzić! Komu teraz idzie robota? kto ma kawałek chleba? Temu lat dziesięć, może piętnaście... tak! piętnaście lat temu, to ja powiedziałem, że nasze miasto całkiem zbie-dnieje, że wszystkie nasze żydy będą mieli gorzkie życie... Kto nie wiedział co w mojej głowie jest, ten się śmiał i nie chciał wiary dać — ale byli tacy co wierzyli, i niech się pan spyta, czy się wszystko

nie sprawdziło? Całkiem się sprawdziło... a kto powiedział, że tak będzie? ja powiedziałem, bo dziękować Bogu głowę mam! Teraz wszyscy wiedzą, że nasze miasto upadło, że zarobku nie ma, że handlu nie ma! Teraz widzą, ale kto piętnaście lat temu widział? Jeden Berek!

— Zkądżeż mogłeś wiedzieć co się stanie w przyszłości.

— Zkąd? Były takie znaki. Chce pan posłuchać—to powiem. Temu będzie piętnaście lat, akurat w nasze święta jesienne, ja sobie szedłem ze szkoły. Ja się tam trochę zasiedziałem i już było późno jakem wracał. Było późno ale nie było ciemno; owszem widno było, bo miesiąc świecił. Ja sobie trochę śpiewałem. Dla czego ja nie miałem śpiewać? przecie święto? Tymczasem kolo mnie coś przeleciało! Ja się zląkłem. Ktoby się nie zląkł w nocy? miasto całkiem puste, na ulicy nikt nie idzie. Ja się zląkłem! Obejrzałem się — nie ma nic; spojrzałem do góry... Aj waj! myślałem, że już mój koniec przyszedł. Znasz pan dom Gdali furmana?

— Znam.

— No to ja zobaczyłem (niech moje wrogi to zobaczą), ja zobaczyłem, że on siedzi na Gdali domu, na dachu!

— Co za on?

— Nu — on! Nie potrzebuję dużo powiadać:

czarny kot! Cały czarny, a oczy to się jemu paliły jak świece. Ja chciałem krzyknąć gwałtu — ale nie mogłem. Mój język zrobił się jak drewniany kulek, moje gardło było ściśnięte, moje zęby tłukły się, jak grosze w puszcze. Ja nie miałem siły stać — ja siadłem; ja nie miałem siły siedzieć — ja przewróciłem się całkiem, ja leżałem!...

— A kot?

— On sobie poszedł! Gdzie on poszedł, to ja nie chcę wiedzieć! Po co ja mam wiedzieć gdzie taki paskudnik chodzi? Ja zobaczyłem, że jego już niema i wstałem. Na drugi dzień poszedłem między naszą starszyzną, i powiedziałem, że będzie nieszczęście. Radziłem, żeby zobaczyć czy się gdzie przykazanie nie popsulo (wiesz pan, takie przykazanie w blaszanej rurce, co musi być na każdej futrynie przybite); radziłem żeby pilnować czy która żydówka nie przyprawiła sobie fałszywych włosów? (myślisz pan, że między naszymi żydówkami nie znajdują się takie gałganice?); radziłem, żeby uważać czy Gdala furman robi wszystko co w piśmie przykazane? Bo dla czego kot nie siedział na innym dachu, tylko na jego dachu? Prosiłem, mówiłem, że będzie nieszczęście, że całe miasto zginie. Nie słuchali. Powiedzieli: co Berek znaczy! Berek nic nie znaczy!

— No?

— Nu, i tak przeszło. Tymczasem pokazał się drugi znak.

— Znowuż kot.

— Nie... dla czego kot? Kto jemu zabroni zrobić się kozłem?! Oj, nieszczęście moje! To także było wieczór, nawet późno już było, całkiem późno. Miesiąc także świecił. Wolałbym żeby nie świecił, bo możebym nie był widział, tego co widziałem. Ja szedłem od burmistrza. Zawołał mnie, jak zwyczajnie, kazał sobie zrobić piękną kamizelkę. Wziąłem miarę, pogadałem z burmistrzem i wracam. Musiałem wracać do domu. Tymczasem znowuż koło Gdali domu zobaczyłem! Niech on zginie! Stał z rogami, z brodą i całkiem czarny jak smoła...

— Kto stał?

— Pan się pytał! Wiadomo kto stał. Czarny kozioł!

— Wielka rzecz!

— Właśnie że wielka rzecz. W całym mieście był tylko jeden kozioł i to całkiem biały—więc z kąd się czarny wziął? Nie, proszę pana, to nie był zwyczajny kozioł—ale był znak, drugi znak, że w mieście nieszczęście się stanie...

— Znak?

— Pewnie że znak. Ja znów narobiłem gwałtu. Znów chodziłem do naszej starszyny. Ale co ta nasza starszyna warta! Oni tak dbają o miasto, jak i o ten piasek co na gościńcu leży. Aby sa-

mi mieli pieniądze, to dla nich dość. Ja mówiłem, prosiłem, płakałem nawet!

— A oni?

— Oni śmieli się! Oni powiedzieli, że ten koziół to był koziół; że spał w takim miejscu, na które sadze wysypują i przez to zrobił się czarny. Ja wiedziałem, że to nie prawda, ale co miałem robić? Czekałem trzeciego znaku.

— I był?

— A jakże. Nie wyszło dwa miesiące i już był.

— Jakież?

— Był całkiem pfe! Ja panu nie powiem o tém dużo i nie powiem mało, powiem jedno słowo: Gdala furmana córka uciekła!

— To znak?

— To był bardzo brzydki znak... taka dziewczynka! zaręczona już była. Pfe! a z kim ona uciekła? Ze stolarza Dzieciołkowskiego synem... z katolikiem! i ożeniła się z nim. Pfe! Zrobił się wtedy gwałt. Starszyczna się zawstydzila— a ja mówiłem: a co? Oni powiedzieli: — nieszczęście! Berek miał rację, już jest nieszczęście! Ja powiedziałem:—Nie! to jest tylko pfe! ale nie nieszczęście, to znak, to trzeci znak! Bo proszę pana, przed każdym nieszczęściem, to jak na licytacyi, do trzech razy jest krzyk, a potrzecim razie przybicie. Proszę pana, nie wyszło od tego czasu dwa miesiące—i zaraz się zaczęło...

— Co się zaczęło?

-- Nieszczęście! Przyjechali geometry, inżynierzy, zaczęli mierzyć... krótko mówiąc, za dwa lata już była kolój żelazna.

— Alboż to nieszczęście?

Berek uśmiechnął się ironicznie.

— Proszę pana,—to właśnie jest cała zguba, od tego miasto upadło, a my wszyscy skapcianieli. Teraz weź pan na delikatny rozum. Ja nie chcę sądzić Gdali furmana, ale mnie się zdaje, że on musiał dużo grzeszyć. Na jego domu pokazał się czarny kot, koło jego domu stał czarny koziół, z jego domu uciekła dziewczyna—i patrz pan, kto najpierwszy skapcianiął? kogo najpierw kolej zgubiła?—Gdale furmana! Kogo zaraz za nim zgubiła—drugich furmanów. Ja się też tak spodziewałem; bo proszę pana, furmany to grube ludzie są; oni ciągle w drodze—a gdzie najłatwiej można zgrzeszyć?—w drodze! Skapcianieli furmany, skapcianieli kupcy, krawcy i szewcy... wszyscy skapcianieli. Jeden tylko Dawid-Jojna bogacz jest, ale co nam z tego? Żle jest na świecie, bardzo jest źle, przez to, że ludzie bardzo dużo niedobrych rzeczy robią...a czarny kot ciągle pinuje żeby im zrobić zgubę.

To rzekłszy Berek, zwiesił głowę i zamyslił się.

Było to na gościńcu prowadzącym do Lublina. Berek przysiadł się na mój wózek, ponieważ Berek w ogóle miał taki system podróžowania. Jak mu

wypadło puścić się w drogę, to nie kłopotał się wcale o furmankę — wychodził pieszo za miasto i szedł, czekając czy nie będzie mógł przysiąść się do kogo. Jest to system taki dobry jak inne, a przytém niekosztowny. Zresztą, względnie do swojej sytuacji majątkowej, myślący ten człowiek nie mógł podróżować ani własnym ekwipażem, ani ekstrapocztą; furmanów żydowskich, jako ludzi grubych i nieuczonych, nie lubił i wszelkich z nimi stosunków unikał. Wolał jeździć na przysiadanego. Przytém jadąc na cudzym wózku, czuł się w obowiązku uprzyjemniać właścicielowi konia podróż miłą i pouczającą rozmową. Pod tym względem był niezmordowany, mógł mówić kilka godzin z rzędu, bez wytchnienia...

Wybór przedmiotu do rozmowy także mu był obojętny. Chętnie mówił o polityce, o handlu o różnych płoteczkach z okolicy, o panu burmistrzu i o sekretarzu, o czém kto chciał. Najbardziej wszakże przypadająca mu do gustu rozmowa o takich przedmiotach, które nastęrczały mu sposobność do popisania się głęboką uczonością. Wtedy olśniewał słuchacza głębią erudycyi.

A jaka to była erudycya! Istny groch z kapustą, prawdziwy bigos! Legendy, podania, przepisy wyznaniowe, imiona proroków dawnych, uczonych i rabinów współczesnych, przesady, zabobony, gusła najszczególniejsze — wszystko było w tój głowie.

Berek zaś nosił ją wysoko, z dumą, że takie skarby w niej posiada. Nie miał szczęścia do handlu, nie miał majątku, ale uczoność miał i honory?

Pytałem go jakie mianowicie honory?

Uśmiechnął się i brodę pogładził.

— Pan się na tém nie zna, — mówił, — do tego trzeba mieć inszą głowę.

Wytłómaczyłem mu, że nie mogąc swęj głowy na inną zamienić, postaram się nateżyć wszystkie siły umysłu, aby zrozumieć, chociaż w części, znaczenie tych splendorów jakie na Berka spływają.

— Niech pan nie myśli, — mówił, — że ja chodzę do téj wielkiej szkoły, gdzie dużo żydów się zbiera. Nie, na co mi to? Tam chodzą more-morejne i wszystkie z wielkiem fanaberyem — ja między nimi byłbym ostatni. A na co ja mam być ostatni? My mamy małą krawiecką bóżniczkę — tam jestem piérwszy! Do mnie schodzą się przyjaciele w szabas, albo w święto, my sobie śpiewamy. Ja jestem znawca na koszerne wino — ja byłem dwa razy w Biały u rabina — ja znam różne sposoby na dyabła... No, czy to jeszcze mało honoru! A prócz tego to ja ciągle czytam.

— I naturalnie, Berek rozumie wszystko co czyta?

— Ha! ha! co pan dobrodziej powiada! Kto może rozumieć wszystko co w książkach jest? Mało kto. Chyba wielkie rabiny, którzy mają taki spo-

sób od Pana Boga, ale prosty człowiek dobrze że choć czyta.

— Cóż za przyjemność w czytaniu, jeżeli się nie rozumie tego co napisane?

— Aj, aj! Jakie to między państwem są zabobony! Ja nie umiem panu opowiedzieć dobrze, jaki jest w tém czytaniu smak — ale to jest wielki smak! Wierz mi pan ja czytałem wczoraj i jeszcze mam pełną gębę tego smaku!

— A o czémże Berek czytał?

— Jakto o czém? O czém można czytać w nabożnej książce, o nabożnych rzeczach!

— Ale przecież. Czy Berek czytał o jakim proroku, czy o historii dawniej?

— Na co mam panu to opowiadać? Ja czytałem — niech będzie dość na tém, że ja czytałem...

— Więc nie powiesz?

— Ny, co ja mam opowiedzieć? Nie każda rzecz da się opowiedzieć, nie każda się da powtórzyć i nie z każdym człowiekiem pasuje o takim interesie mówić. Państwo trzymają się swojego zakonu, my żydy swojego. Na co jeden drugiemu ma zaglądać do głowy?

— No, mój Berku, bardzo się zapędziłeś. Przecież u nas nawet małe dzieci uczą się starego zakonu. O stworzeniu świata, o Locie, o Egipcie, o patriarchach, królach żydowskich i prorokach...

— Ja wiem, ja słucham o tém, ale z przepro-

szeniem pana to nie jest żydowska nauka, i zawsze w niej jakiś feler musi być.

— Najmniejszego.

— Co o tém gadać... niech każdy swoje trzyma.

— Przecież u nas nie uczą, że Goliat zabił Dawida, ale na odwrót.

— Pan zna tę historję?

— Powiadam ci, że nawet małe dzieci ją znają.

— Aj, aj... to była kimedyja! Powiadają że żydy nie są odważne — no, a kto zabił tego grubiana? Kto jemu głowę urznął? Niechby się kto inny poszedł z nim próbować! Ja to wszystko wiem, dobrze wiem, tak jakbym sam przy tém był!

To rzekłszy Berek pogładził się po brodzie i oczy mu błysnęły radością, że mógł się z erudycją swoją popisać.

Koń zwolnił biegu, bo droga szła pod górę, turkot kół nie przeszkadzał rozmowie.

— A pan wie jak to naprawdę było? — zapytał Berek,—pan wie jak się ta cała historia zrobiła? Pewnie pan nie wie, ale ja panu opowiem. Ja wiem, że pan lubi słuchać o żydowskich interesach ja to wiem...

— Owszem, bardzo lubię.

— Pewnie pan wie i to, że żydy dawno nie byli takie biedne kapcany jak dzisiaj, ale mieli żydowskiego króla, mieli żydowskie urzędniki, żydowskie wojsko... a jakie wojsko! . ha! ha! Same gwardye,

z pikiem, z pałaszem, z bębmem, z armatem, jak potrzebuje być wielkie wojsko! Byli jednoręcy i zwyczajne proste żołdacy, jak się należy. Oni wojowali. Oni ciągle wojowali, a najbardziej z Felistyanem. Bardzo paskudny naród był te filistyany, a między nimi zdybał się jeden bardzo wielki, bardzo mocny, poprostu cham, parobek nieuczony, grubian!

— Goliat!

— To cały rozbójnik był. On ciągle chodził koło naszego wojska i szukał zaczepki, nawet pewnie trochę pijany był i lubił zrobić awanturę, ale nasz król nie kazał z nim robić żadnej awantury, bo król żałował wojska psuć — a taki cham mógł któremu wojakowi rękę złamać. On wymyślał, on krzyczał, on zrobił zaczepkę — ale nasze siedzieli sobie cicho, nie zważali. Nareszcie zdybał się jeden młodzik — może miał całkiem szesnaście lat, nawet nie zaręczony jeszcze — i myśli pan że jaka osoba?! Wcale nie osoba! Prosty pastuszek, taki co kozy pasł. On powiedział: puście mnie do tego grubiana! ja jemu pokażę sztukę! Wojaki śmieli się — aj waj! powiadali, chyba ty śmierci szukasz, Dawidku! A on taki zawzięty był że zaraz chciał lecieć... ale bez pozwolenstwa od króla jemu nie dali. Trzeba było do króla iść.

— I poszedł?

— Co pan mówi? U nas jak się do burmistrza

idzie, to też zaraz nie wpuszczą, tylko trzeba czekać — a tu do króla! I kto chciał z królem gadać? prosty pastuch! To akuratnie osoba do gadania z królem! Ale ten mały Dawidek (kto wtenczas mógł wiedzieć, że to będzie kiedyś wielki Dawid?) prosił jednego żydka, takiego poprostu faktora, żeby on królowi powiedział o tym interesie. Faktor jak wiadomo faktor — to wszędzie wlezie. On nie szedł na pokoje, tylko wlaź tyłem, przez kuchnię—no, dość że zobaczył króla i powiedział. Król, jak to usłyszał, za głowę się złapał. — Ja nie chcę! powiedział, ja nie chcę oddać takie dziecko na śmierć, na zgubę — ja nie potrzebuję nawet o tém słuchać! Faktor przeczekał, aż się król wysapil od złości i zaczęł znowu perswadować. Powiada tak i tak dzieciak młody jest, ale kiedy się podejmuje, to dla czego nie ma spróbować? Przecież nikt nie przymusza go, on idzie ze swojej własnej woli. A zresztą, co wielmożny król do tego interesu dołoży?

— Tak powiedział?

— O, oj — ja wiem, ja wiem, tak jakbym sam przytém był. Proszę pana, czego faktor nie przetłómaczy? on wszystko przetłómaczy, on od tego jest. Dość, że król się zgodził. Ny—powiada, niech on idzie. Kazał jemu dać pałaszów, pików, wszystkiego co do wojowania trzeba, ale pastuszek nie chciał. Na co powiada ja mam dźwigać taki ciężar—ja mam na niego lepszy sposób. On wziął kamień, porządny kawa-

łek kamień, zaczął się na tego grubiana i jak na niego rzucił! Aj waj! ten cały cham, ten ordynarny chłop, jak długi był, tak się przewrócił! Wtenczas ten mały Dawidek wyskoczył z za drzewa, siadł grubianowi na plecy i zaczął krzyczyć gwałt! Zaraz przylecieli wojaki, starszyzna, jednorąły żydowski, urznęli Goliatowi wielki łeb i zanieśli do króla. Było krzyk, gwałt, muzykanty grali jak na wielkim weselu, a ten Dawidek, ten maleńki Dadek, ten pastuszek, później sam królem został. Tak jemu Pan Bóg dał. Aj było, było na świecie smak! honor był, wojsko było! Dziś co jest? dziś żydy grzeszne są przeciwko Pana Boga — to mają za to sam cymes. Oj mają! czarnego kota — i żelazną kolęj. Niech moje wrogi to w sukcesyi dostaną! Żle teraz jest, całkiem źle jest i żeby nie to, że między wszystkimi żydami zdybuje się zawsze trzydzieści i sześć sprawiedliwych, co zakon trzymają i modlą się — to ja nie wiem coby z nami było.

— Dla czegoż tylko trzydziestu sześciu?

— Albo ja wiem, tak musi być — tak od Pana Boga jest.

— A gdzież oni są ci sprawiedliwi?

— Tego, proszę pana, nikt nie może wiedzieć — dość na tém że oni są...

— Eh, mój Berku pleciesz sam nie wiesz co.

— Ja plotę! ha... niech tak będzie że ja plotę — a ja swoje wiem. Pan myśli że na świecie są tylko

te rabiny, co ich ludzie znają? Są i takie, których nikt nie zna, a które można powiedzieć, utrzymują świat. Czy ja wiem w jakich osobach ich dusze siedzą? Czy ja wiem? Czasem zdaje się, że to idzie biedny woziwoda i komu się może zdawać, że to jest naprawdę woziwoda, a to właśnie może być człowiek mądrzejszy niż rabin i nabożniejszy niż sam rabin! W Boskiem ręku wszystko jest i takie rzeczy — takie interesa, co człowiek nawet pomyśleć nie potrafi, także się dzieją na świecie. Pan myśli, że może Eljasz prorok nie był przeszłego roku na jarmarku w Lubartowie? Na moje sumienie był!

— Ale!

— Pan nie wierzy! Dalibóg mnie dziwno. Przecież i małe dzieci wiedzą, że Eljasz prorok ciągle chodzi po świecie.

— Po co?

— Już on wie po co on chodzi? Pan myśli, że mało biednych żydów on żywi. On wielki miłośnik jest, on sam wyszukuje różnych kapcanów, biedaków i on im pomaga. Wielki miłośnik jest. Pan nie wierzy?

— Skoro Berek powiada...

— Ja powiadam, ja wiem co ja powiadam.

— Berek wierzysz w cuda?

— Co nie mam wierzyć, albo mało cudów było

na świecie? Mojżesz, przecież pan wie co robił Mojżesz?

— Wiem... ale teraz?

— I teraz także się praktykuje. Mógłbym panu dużo powiedzieć, ale lepiej nie gadać—bo na co gadać, jak kto wiary nie daje.

— Przecież słucham.

— Aj panie dobrodzieju! Cudów jest moc, co dzień to się może zrobić cud i dużo się robi, choć my o tem nie wiemy, bo kto wszystko może wiedzieć? I to już jest cud, że Pan Bóg życie daje biednym ludziom, i to cud, że słońce koło ziemi chodzi... co pan chcesz to wszystko jest cud!

Berek umilkł.

Byliśmy już blisko Lublina. Wieże kilkunastu kościołów rysowały się na niebie. Bramy Krakowską i Jezuicką można było wyraźnie rozróżnić. Miasto rozrzucone na wzgórzu, wygląda bardzo malowniczo, a dokoła krajobraz piękny, szeroki. Srebrna wstęga Bystrzycy wije się wśród łąk, a gdzie rzucić okiem widać wioseczki białe, czyste, tulące się pod wzgórzami, lub też rozsiane po wzgórzach.

Na drogach do miasta prowadzących ruch ciągly, turkoczają powozy, bryczki i wózki chłopskie. Lud dorodny, w burych sukmanach z samodziału, suto wyszywanych czerwonymi lub niebieskimi sznurkami, zdradza dobrobyt i względną zamożność nawet.

— Wysokie wieże miasta rysują się zdaleka, imponująco wyglądają mury stare, stare bo już od wielu wieków stoją i dzielnie bronią się niszczącym zębom czasu.

Od tej strony zwłaszcza, z której przybywaliśmy z Berkiem, wjazd do Lublina bardzo jest ładny. Po prawej ręce, na wyniosłym wzgórzu wznosi się piękny kościół, niegdyś Augustyanów, z zabudowaniami klasztorными— po lewej liczne domki, drewniane przeważnie, stare i zniszczone. Niektóre z nich niby jaskółcze gniazda poprzyczepiane na wzgórzach, inne rozrzucone dokoła wielkiego placu, przypominającego rynki takich sławnych miast jak Firléj, Łysobyki, lub Kamionka.

Jest to przedmieście, Kalinowszczyzną zwane, zamieszkałe przeważnie przez najbiedniejszą ludność żydowską, a w części przez biedniejszych rzemieślników i wyrobników.

Daléj droga skręca w głęboki parów i oczom podróżnego odsłania nowe widoki.

Starożytny kirkut żydowski na wysokiéj, stromościéj z jednego boku górze—pełen drzew starych i nagrobków kamiennych przeważnie, postawionych obyczajem wschodnim, prostopadle.

U stóp stroméj góry, przy kirkucie samym, ruiny starożytnego kościoła Franciszkanów, dziś fabryka mydła; daléj kopuła dawnéj cerkiewki Bazylikańskiéj, a daléj już zgiełkliwa, żydowska część miasta.

Ów kirkut starodawny, na górze Grodzisko zwanój, jak historia miasta świadczy, sięga roku 1554, ale to jest data aktu nadania. W rzeczywistości istnieć on już dawniej musiał, bo nie masz śladu, żeby żydzi lubelscy gdzieindziej jeszcze cmentarz swój mieli, a przecież mieszkali w Lublinie od wieków.

Ruiny kościoła, w których teraz mydlarnia się mieści, nie mają tak dawniej historyi. Wprawdzie Franciszkanie siedzieli na tém miejscu w r. 1619, ale mieli tylko kapliczkę drewnianą, a gmach klasztorny dopiero w r. 1700 został wzniesiony. W roku 1826 Franciszkanie opuścili swoją siedzibę, a gmach przeszedł na własność prywatną.

Niejeden przejeżdżający tamtędy zastanawia się dla czego góra od strony kościoła tak stromo jest ścięta, czy do tego przyczyniła się ręka ludzka, czy też stało się to przez jakiś dziwny kaprys natury?

— Patrz Berku,—rzekłem jak to dziwnie wygląda...

— Co dziwne?—zapytał,—co tu jest dziwne?

— Naprzód to sąsiedztwo szczególne, kościół tuż przy żydowskim cmentarzu...

— No, to jest miasto, proszę pana,—odrzekł,—to i dawniej było miasto, a w mieście, jak zwyczajnie, gdzie kto ma plac to sobie buduje. Żydy mieli kawałek placu, zrobili sobie kirkut—księża mieli kawałek placu, zrobili sobie kościół! Co się dziwo-

wać? — każdy potrzebuje podług swojego zakonu. Ten kirkut to już bardzo stary jest.

— Trzysta lat ma z górą.

— Kto to panu powiedział niech zwróci pieniądze! Kto te lata rachował, kto pamiętać może takie dawne rzeczy?

— W książkach jest.

— Aj, co to znaczy! niby to każda książka prawdę powiada? Książki też pewnie powiadają, że i ta góra dawno była i ten plac, na którym kościół stał, także dawno był!

— A tak.

— Ha! ha! to oni dużo powiadają! oni dużo wiedzą! Oni wiedzą tyle co nic, albo i całkiem nic.

— Ale przecież, to co jest w książkach historycznych, opiera się na dokumentach.

— Niech moje wrogi takie oparcie w plecach mają, jak to prawda! Książki piszą, że była tu góra i był dół, a ja panu powiadam, że tu ani góra nie była, ani dół także nie był.

— Więc cóż było?

— Pytaj się pan książki, — rzekł ironicznie Berrek, — kiedy książki takie mądre są, to niech powiedzą co było?

Nie mogłem z niego więcéj wydobyć, tém bardziej, że już wjeżdżaliśmy do miasta i towarzyszy mojej podróży miał wielką ochotę zeskoczyć z wóz-

ka i wpaść odrazu w miasto, do którego różne interesa go sprowadzały.

— Kiedy pan dobrodziej wraca?—zapytał.

— Jutro, o samym zachodzie słońca.

— Ny—to ja jutro o samym zachodzie słońca będę sobie stał przy starym kirkucie. Pan mnie znów podwiezie kawalek?

— Zobaczymy.

— Aj waj, pan podwiezie—ja jestem już podpadły całkiem na nogi, i, jak tylko prędko idę, to zaraz mnie koło serca pika! Niech Bóg broni jak pika!

— Dobrze więc, podwiozę cię dokąd zechcesz, ale musisz mi powiedzieć o tej górze, o tém co było wtenczas kiedy jęj nie było.

— Nu—dalibóg, pan zawsze ciekawy! dla czego pan taki ciekawy jest?

— Chciałbym wiedzieć.

— Ny, ny, do widzenia panu,—rzekł zeskakując z wózka i zniknął w bramie kamienicy, obok której przejeżdżaliśmy.

Nazajutrz opuszczałem Lublin. Zachodzące słońce złociło wysmukłe wieżyce, odbijało się w szynbach, starym murom nadawało czerwonawą barwę.

Koło dawnego kirkuta oczekiwał Berek z tłoczkiem pod pachą.

— Dobry wieczór, dobry wieczór pana dobrodzieja!—wołał.—Widzi pan jaki ja jestem słowny!

Ha! znajdź pan drugiego człowieka żeby był taki punktualny jak Berek! Powiedział pan zachód słońca! Patrz pan, teraz akuratnie jest zachód słońca, a Berek stoi *pinkt!* jak na zegarku. Ny—ja myślę, że mnie pan kawalek podwiezie. Dla czego pan by mnie nie podwiózł? Przecież nic złego nie zrobiłem.

— A jakże będzie z górą?

— Ja myślałem, że pan już zapomniał, na moje sumienie! Góra jest góra! niech ona sobie stoi, bo ona jest góra, a my jedźmy, bo na to jesteście ludzie. Góra nie może jechać, nam nie pasuje stoć. Patrz pan, nawet kuń to rozumie, on już rucha nogami, już pokazuje, że czas jechać. Mądry kuń, dalibóg!

Mówiąc to, Berek wgramolił się na wózek. Ruszyliśmy.

Na starym kirkucie szumiały drzewa, minęliśmy je niebawem, minęliśmy przedmieście i most na Bystrzycy i ogromne karczmiśko murowane przy drodze—a słońce zaszło już zupełnie, zaś z łąk podnosiły się fantastyczne tumany mgły i rozwiewały się w kształty dziwne, nieokreślone, zmieniające się ciągle.

Gwiazdy zaczęły się już ukazywać na niebie, złociste, mrugające figlarnie—wiatr przynosił z łąk zapach świeżo skoszonego siana.

— Jakże, Berku, — spytałem, — powiadasz że kirkut ma więcej niż trzysta lat?

— Ha! ha! i wiele więcej!

— Naprzykład?

— Ja nie wiem, ale on bardzo stary jest. On taki stary jak i sam Lublin, może nawet jeszcze starszy. Czy pan tam kiedy był?

— Nie.

— To pan nie widział jakie tam stare kamienie są?

— A Berek widział?

— I ja nie widziałem—ale ludzie gadają. Ludzie gadają, że tam już wszystkie pismo, co było na kamieniach wykute, wiatr wydmuchał i woda wymyła! Pomyśl pan sam wiele to trzeba było wiatru i wiele wody, żeby wytrzcć z kamienia pismo—a jakie pismo? Co wykute jest! Każda literka przynajmniej na pół cała głęboko. Powiadają, że niektóre kamienie już tak w ziemię powłaziły, że mało ich co znać. Weź pan na delikatny rozum, wiele trzeba czasu żeby sam kamień w ziemię wlaźł i żeby się w niej schował—to nie bagatela jest!

— Na tym kirkucie zapewne wielu sławnych i uczonych żydów spoczywa?

— Aj! sławnych, uczonych, nabożnych rabinów, wielkich bogaczyw moc! Cały kahał ich tam jest. Aj, aj, żebym ja miał jeden procent od tysiącznej części tej zasługi co oni mają przed Panem Bogiem,

to jabym bardzo, bardzo szczęśliwy był! Tam wielkie ludzic są pochowane, wielkie głowy! Tam nawet zdybuje się jeden kamień, na którym napisane jest nie dużo i nie mało, tylko jedno imię! A wiész pan jakie imię? Ha! Ester! A wiész pan czyje to imię? To była żydówka, z prostego stanu nawet, biednego krawca córka—ale później to ona została żydowską królową...

— Żydowską? Żle jesteś poinformowany mój Berku, gdyż ona wcale królową nie była.

— Tak?! Pan może powie, że i ten król wcale nie był król i ta żydówka nie była żydówka, że on koło niój nie siedział, a ona koło niego tóż nie była. U państwa to wszystko jest na wywrót!

— Ale owszem, przyznaję, że była i że koło króla siedziała.

— Nu — a kto może koło króla siedzieć?! To kimedia jest, dalibóg!—koło krawca siedzi krawcowa, a koło króla... królowa. Małe dziecko nawet zrozumie taki interes.

— Ona niedaleko Krakowa jest pochowana—to wiadomo.

— Niech będzie i tak! Ja na jój pogrzebie nie byłem. Dla mnie dość, że ludzic powiadają, że jest taki kamień i że na nim stoi napisane to imię Ester—i że ta Ester była żydowska królowa. Na co mnie wiedzieć więcej? Mnie to dość. Kto chce

niech daje wiarę, kto nie chce niech nie daje. Na to nie ma żadnego przymuszenia, żadnego gwałtu.

Widocznie Berek rozgniewał się. Jak można podawać w wątpliwość jego słowa? Przecież on nie jest prosty cham, on nie jest grubijanin, ale uczony człowiek, który dużo czytał, a jeszcze więcej słyszał — i słyszał nietylko o zwyczajnych przygodach i wypadkach, ale i o cudownościach najrozmaitszych, o wydarzeniach takich, których głowa ludzka, choćby najtęższa, objąć ani wytłómaczyć nie może; słyszał jak wyglądają różni aniołowie i jakie zasadzki dyabeł urząda... tyle, tyle słyszał, a tu, znajduje się ktoś co wierzyć mu nie chce. I kto? pfe, dalibóg!

Trzeba było jakoś udobruchać uczonego męża.

— Zapal-że Berku cygaro i dotrzyмай słowa.

— Cygaro? dla czego ja nie mam sobie zapalić cygaro? Ja zapalę — a co się tyczy słowa, to ja nie wiem o jakim słowie pan mówi...

— Miałem coś usłyszyć o owęj górze.

Machnął ręką, jakby przez to chciał dać do zrozumienia, że szkoda tracić słów napróżno.

— Co to dużo gadać — rzekł — nie warto!... Pan niewierzy, pan powiada, że wszystko nieprawda...

— Jesteś niesprawiedliwy — opowiadałeś o królu Dawidzie — czy przeczyłem? O trzydziestu sześciu sprawiedliwych — czy powiedziałem, że to fałsz?

— Ny — prawda.

— Są takie rzeczy, o których wszyscy wiedzą i są takie książki, w których jest napisane to co było — i nikt nie może powiedzieć, że tak nie było. Przecież musiał Berek słyszyć, że w Lublinie nau czali kiedyś wieley rabini.

— Ha! ha! i jacy rabini, same nabożniki, uczone!

— Myślisz Berku, że o nich nie ma w książkach?

— Ja wiem, wiem — w różnych żydowskich książkach to jest.

— Nietylko w żydowskich, jest i w polskich...

— To nie może być!

— Jest, jest — bo dla czego nie miałyby być? O wielkich uczonych zawsze się świat dowie i szanuje ich.

— To prawda! ma pan recht! Ja sam byłem świadkiem jak raz do powiatu przyszedł rabin, nawet nie żaden wielki rabin, ale taki zwyczajny — to jemu postawili krzesło, żeby on sobie siadł! I urzędniki miarkowali, że dla duchownej osoby należy się krzesło...

— Czemuż się więc dziwisz, że o prawdziwie wielkich rabinach ludzie coś wiedzą. Słyszałeś coś pewnie o rabi Salomonie Loria? rabi Salomonie ben Jehuda.

— Aj waj! ktoby nie słyszał?

— Przecież to lubelski rabin, wielki uczony. Umarł tu w Lublinie, temu z górą lat trzysta. Za-

łożyćby się można, że na starym kirkucie jego prochy leżą. A rabi Joel?

— Joel!... oj, oj, ja wiem, ja o nich wszystkich słuchałem — dla czego ja nie miałem słyszyć?

— Rabi Joel Sirkes, ben Salmon.

— Sirkes! Kto nie słuchał o Sirkes?! Wielka głowa! wielki nabożnik! — on też leży na starym Kirkucie.

— Nie, on leży w Krakowie.

— Może w Krakowie — nie będę się sprzeczał, ale mnie się zdaje, że nie. Jakby labelskie żydy mogli od siebie puścić taką osobę?

— A jednak puścili, jest już temu więcej niż dwieście lat — on pojechał do Krakowa; tam był rabinem i tam umarł, a pochowali go obok sławnego rabina Mosze Iserles. Słyszałeś Berku, koło tego sławnego rabina, którego nazywają Ra-mo!

— Ramo! kto nie wie o Ramo! Wiary trudno dać, żeby takie rzeczy mogły stać w nieżydowskich ksiązkach! Ny — ny... ale ja myślę, że to musi być inny gatunek ksiązek.

— Tak, tak! a rabi Jehuda Wiga, rabi Meier...

— Teraz to ja panu powiem!... ja panu wszystko powiem, a dlaczego powiem? Czy pan zna takich mechaników, co robią nie żydowskie książki?

— Znam.

— Ale nie te zwyczajne książki... tylko takie,

wiesz pan... ten najlepszy gatunek, co w nich o samych rabinach stoi?

— Znam.

— To dobrze... bo to co ja panu powiem powinno być pisane w takich książkach. Ja panu powiem wszystko jak było—jak cała prawda jest... niech oni to napiszą! Słuchajno pan dobrodziej... Co się stało na starym kirkucie, a co ja panu chcę powiedzieć, to był wielki interes! to była taka rzecz, takie zdarzenie... no! — obaczysz pan. Przekonasz się pan co znaczy Rabin, jaka w nim jest moc, jaka siła jest!

— O którym-że Rabinie Berek chce mówić.

— O którym? Ja nie wiem jak on się nazywał i nawet powiem prawdę, nie potrzebuję to wiedzieć. On był rabin—dość na tém, a czy on był mały rabin, czy wielki rabin, to pan zaraz zobaczy! U nas powiadają o tém i dużo powiadają—a co u nas powiadają, to najprawdziwsza prawda jest. Pan widziałeś tę górę?

— Widziałem.

— I kościół także pan widziałeś?

— Naturalnie.

— Kościół stoi całkiem w dole. Pan mówiłeś do mnie, że to się panu pokazuje dziwne, a to wcale nie dziwne. Dawniej na tém miejscu nie było ani góry, ani dołu.

— Cóż więc było?

— Zwyczajny mały pagórek, taki jak te, któ-

rych pan widzi tyle dokoła Lublina. Ten pagórek cały, może prawie cały, zawsze należał do żydów. Tylko nie duży kawałek placu był w innych rękach. Żydzi na pagórku zrobili sobie kirkut—a ten katolik, do którego drugi kawałek placu...

— Ksiądz Zuziewicz.

— Ksiądz Zuziewicz! Niech mu będzie Zuziewicz—dość, że postawił kościół. Na jednym pagórku był kirkut i kościół. Co to szkodzi? Pan zapewne słyszał o tém, że Pan Bóg stworzył siedmdziesiąt narodów i siedmdziesiąt wiar, i wszystkie te narody i wszystkie wiary od Pana Boga są. Każdy powinien swoją szanować. Ja panu nawet powiem jeszcze coś. Naprzykład, jak mi się przytrafi w drodze być, ja często w drodze bywam, czasem wieczór, czasem w nocy... trafi się przysiąść na wózek z chłopem!..

— Ale Berek miał mówić o górze.

— Czekaj pan—ja próżno nie gadam, moje każde słowo właśnie idzie do góry, ono ma taki chód. Więc jak ja siadam na furę do chłopca, to ja się trochę boję. Boję się, bo teraz różny naród jest i trudno po chłopie zmiarkować, czy on człowiek spokojny, czy gałgan. Więc ja uważam sobie na niego. Po drodze figury stoją, jeżeli chłop zdejmuje przed figurą czapkę—to ja się nie boję, ja z nim jadę. Jeżeli on nie zdejmuje—to ja boję się i uciekam, bo myślę, że taki chłop nie jest dobry człowiek, myślę

poprostu, że to gałgan—a może i zbójca! Teraz miarkuje pan do czego idzie moja mowa?

— Niebardzo.

— Ha! przecież idzie do góry! Dla czego nie miał kirkut być koło kościoła, albo kościół koło kirkuta? Były oba na tym wzgórku; żydzi chowali swoich nieboszczyków, chodzili płakać na groby, chodzili modlić się, jak się godzi, jak trzeba podług starego zakonu. Po naszymu należy się modlić za umarłych, a zasługi, które umarli mają przed Panem Bogiem dużo znaczą dla tych żydów, co żyją na świecie. Żywe i umarłe żydy mają między sobą kompanię, i jedni drugim są pomocni. Więc ja powiadam, że było wszystko dobrze, git, całkiem git; żydy sobie, katoliki sobie, jedni drugim wcale nie przeszkadzali. Czasem tylko robiły się kwestye.

— Jakie kwestye?

— Może nie tak kwestye—jak poprostu nieprzyjemność. Widzisz pan, w każdym kościele są dzwony. Rano dzwonią, wieczór dzwonią, a jak święto jest to nawet bardzo dzwonią... więc jak w kościele dzwonili, a na kirkucie akurat wtedy żyda chowali—to była nieprzyjemność dla żydów, nawet powiem prawdę—było całe zmartwienie...

— Dla czego?

— Byłoby o tém dużo gadać.. i nie wiem nawet czyby pan to dobrze zrozumiał. Różnie jest. Pan myślisz, że umarły nie ma cierpienia? Umarły ma

cierpienie. Jego dusza także ma cierpienie. Ona się boi—na co ją jeszcze straszyć? na co jej dzwonić? Powiadam panu, że było zmartwienia dość. Nabożni i uczeni żydzi powiadali, że będzie z tego nieszczęście—ale nie było. Nie dziwuję się, że nie było, dopóki chowali prostych żydów, zwyczajnych krawców, szewców, handlarzy—ale raz zdarzyło się, że umarł jeden wielki, bardzo wielki rabin!

— Nie wie Berek jak on się nazywał?

— Nie wiem, na moje sumienie—dość że rabin, wielki rabin! Jak umarł, to żydzi musieli jego zaraz pochować, bo jak pan wiesz u nas nie godzi się umarłego trzymać—trzeba go prędko włożyć do ziemi. Akuratnie ten wypadek zdarzył się przed południem w niedzielę! Miarkuje pan sobie co to znaczy? ha!?

— O tój porze odbywa się u nas nabożeństwo i w każdym kościele dzwonią.

— W tém właśnie było całe nieszczęście! Jak tylko wnieśli rabina na kirkut, w kościele zaczęli dzwonić. Rozumie pan! Wszyscy żydzi przelekli się—oni drżeli, oni sobie trzęśli ze strachu, bo miarkowali, że tu się coś zrobi. A wiesz pan, że co się tylko na świecie robi, to zawsze dla żydów będzie źle! Oni się bali! Rozumie pan dla czego się bali? Presty interes. Rabin jest rabin. Jeżeli dzwony zrobią jemu przeszkodę, to dzwony mogą się popsuć, mogą się oberwać, mogą się zrobić niezdatne do

dzwonięcia! a jak się dzwony zrobią niezdatne, to ludzie powiedzą, że żydy czarownicy są—no i wiiesz pan, zaraz będzie krzyk, gwałt i gzojres.

— Cóż to jest gzojres?

— Nie wiiesz pan?! Gzojres to jest takie prawo na żydów, żeby nie handlowali wódką, żeby trzymali umarłego przez trzy dni w izbie. Gzojres to jest całe paskudztwo, całe pfe! Żydy to miarkowali, bali się i sami niewiedzieli co robić, czy stać, czy iść, czy czekać... ale przyszła taka siła, co jēj nie widać i taka moc, co jēj nie widać i popchnęła żydów żeby oni szli — i oni szli. A tymczasem dzwony dzwoniły coraz lepiej, tak dzwoniły jak zawsze dzwonią przy niedzieli. Wszyscy spodziewali się, że coś będzie. Nie mogli zmiarkować co, ale wiedzieli, że coś się zrobi.

— No?

— I zrobiło się! Aj! co się zrobiło! słuchaj pan! Z wielkiego strachu żydzi nie szli, ale lecieli jak ptaki... Tymczasem naraz zrobiło się cicho... całkiem cicho. Kto to zrobił niewiadomo, dość, że nawet małe ptaszki, co na drzewach siedzą uci-chły — a dzwony dzwoniły. Rabin podniósł się na marach, siadł i powiedział: stać! stać! Słyszałeś pan! wszyscy ludzie stanęli jak martwi, jakby ich kto w ziemię zakopał! Myślisz pan, że to bagatela jak umarły przemówił! Wszyscy stali. Rabin popatrzył, popatrzył i nareszcie pokazał palcem na

jednego chłopaczka... na takiego małego, małego bachurka, co miał pięć, może sześć lat — i powiedział do niego—chodź-no tutaj! Chłopak przyszedł; dla czego nie miał przyjść? Stary się boi, a to taki dzieciak, on się nie nie boi, bo nie nie zna. On przyszedł, stanął przy marach i czekał co jemu rabin powie...

— I cóż powiedział?

— Bardzo niewiele. Powiedział: mój kochaneczku, pójdź ty do mego domu, do mojej stancyi, tam jest szafa. W szafie książki są. Uważaj tylko dobrze, przystaw sobie stólek, żebyś dostał do najwyższej półki. Jak zobaczysz tam książki, to masz je rachować od prawej strony do lewej, tak jak się czyta. Rachuj, raz, dwa, trzy, cztery, pięć i sześć — jak narachujesz sześć, to weź siódmą książkę i tu przynieś. Pamiętaj tylko nie omyl się, pamiętaj dobrze — idź. Ten bachur nie poszedł, ale poleciał, poleciał jak wiatr. A żydzi stali w wielkim strachu i słowa nikt nie mógł przemówić. Dzwony trochę ucichły, ale nie na długo, zaraz zaczęły dzwonić jeszcze z większym gwałtem. Oj! pan rozumie jak musiało żydom serce pikać... kiedy tak stali, jakby obrócenie w kamień, bez ducha... Tymczasem dzieciak niedługo bawił — i przyniósł książkę. Rabin wziął ją do ręki, otworzył w samym środku i zaczął czytać. Wtenczas, wtenczas,

panie, zrobiło się takie zdarzenie, co trudno sobie pomiarkować, trudno nawet pomyśleć...

— Cóż się stało?

— Cały pagórek zaczął się ruhać!...

— Niepodobna!

— Żle powiadam cały! pół pagórka, źle powiadam pół! ten kawałek placu, na którym kościół był. Pomaleńku, pomaleńku, jak rabin czytał, ten plac z kościołem, z dzwonami, z ludźmi, opuszczał się coraz niżej, niżej, niżej... powoli, ale ciągle niżej — a żydzi stali na kirkucie i bali się ruszyć, bo wszystkich taki strach ogarnął, jakby już koniec świata przyszedł; jakby cała ziemia miała się, broń Boże, zapaść, zginać, polecieć w głębie, w przepaść, jakby już ze światem miał być koniec...

— A dalej? cóż dalej się stało?

— Co się miało stać? Zrobił się krzyk, gwałt, lament! Ktoby nie robił lamentu, kto chce włązić w ziemię, jak na ziemi ma żonę, dzieci, interesa! Oni wszyscy tak myśleli no i wie pan co się stało?

— Co?

— Ny — najpiérwsze panowie, szlachta, dzie-dzice, same hrabie, księża, poszli co najprędzej na kirkut do rabina i powiedzieli tak i tak: Niech pan rabin nie robi komu taką przykrość, niech pan rabin sobie uspokoi! Za co ma być między nami sprzeczka? Jak wiadomo panu, w takim interesie to już się nie można kłócić... trzeba prosić.

— I cóż rabin, dał się przebłagać?

— Ha? Rabin? Rabin nie potrzebował dać się przebłagać, bo on naprzód, jeszcze nim go mieli chować, nim umarł — to wiedział co będzie. On jeszcze za życia wiedział — on wszystko wiedział! A przez to, że wiedział, to nie trzeba go było długo prosić. Czy mało zrobił? on uważał, że dość! Jak go zaczęli prosić, nie powiedział ani słowa, tylko przestał czytać, a skoro tylko przestał — ziemia też przestała się ruszać — i plac z kościołem, z ludźmi, z całym zabudowaniem, pozostał w tém miejscu jak dzisiaj stoi. No, widział pan przecie.

— A rabin?

— Rabin zawołał tego samego bachurka, co książkę przyniósł. Kazał mu, żeby ją odniósł napowrót i postawił w tém samym miejscu gdzie stała — a potem... potem rabin położył się napowrót na mary i znów nieżywy był. Ta sama moc co zatrzymała żydów w miejscu, pchnęła ich znowu naprzód żeby szli i oni szli; pochowali rabina z wielkim żalem, płaczem, lamentem... I później poszli każdy do swojego domu i opowiadali dzieciom co było, a te dzieci znów, jak urosły, opowiadały swoim dzieciom, i tak to szło, szło i będzie szło, albo ja wiem dokąd będzie szło? zapewne póki się świat nie skończy.

Berek westchnął.

— Był panie czas, dalibóg ładny czas był, lu-

dzie widzieli wielkie interesa —dzisiaj, powiedz pan co dzisiaj kto widzi? To co ja panu powiadam to prawda jest. Jeżeli książki pokazują inaczej — to pokazują nieprawdę. Powiadasz pan historia! powiadasz pan dokument! wielka mecyja dokument? a gdzie te świadki co byli przy podpisywaniu?

— A gdzie ci co widzieli cud na kirkucie?

— Ich nie ma, ale oni byli, na moje sumienie byli—tylko że już pomarli. Przecież człowiek nie może żyć pół tysiąca lat.

— Więc przed pięciuset laty to się stało?

— Aj, co pan tak się pyta o lata! Żyd tak nie rachuje pieniędzy, jak pan chce te lata rachować. Co z tego? Po co rachować to co było, to się już nie wróci—było, dawno było i dość na tym—a pan pyta kiedy? którego roku? którego dnia? jak się rabin nazywał? Tak czy siak, to wszystko jedno jest. Z jednego pagórka zrobiła się góra i dół. Aj panie, dziwne rzeczy bywają na świecie. Strach mówić. Pan myślisz na przykład, że pole to jest pole, a las to las...

— A cóż ma być?

— To jest las i pole, człowiek widzi tylko las i pole, ale i w polu i w lesie pełno jest takich, co niech zginą, co ja ich imienia nie chcę powiedzieć! Oni tylko patrzą żeby człowieka zgubić.

Zamyślił się Berek.

Była już noc, gwiazdzista, pogodna, piękna.

Z ponad rzeki dolatywał turkot młyna, z wioski dochodziło szczekanie psów. Zastanawiałem się nad genezą legendy opowiadanej i przez Berka.

— Panie, proszę pana,—odezwał się.

— Co takiego?

— Niech pan powie, co pan myśli, o tym interesie?

— O jakim?

— O tym, co ja go panu opowiedziałem.

— Śliczna bajka.

— Bajka! to jest bajka! Ha... ładna bajka! Nie, panie, prawda to nie jest bajka—ale nie każdy chce prawdzie wierzyć...

— Trudno, widzisz.

— Trudno? dla czego trudno?—bo powiedział Berek, a jakby powiedziała książka, toby każdy wierzył — bo to książka. Berek nie ma wiary — a dlaczego Berek nie ma wiary?—bo jest Berek! Taki nasz los. My jesteśmy od całego świata pokrzywdzeni.

— W czém?

— We wszystkiém. Naprzód w majątku.

— Jakim sposobem?

— Niby pan nie wie!

— Nie wiem...

— Powiedz pan, przecież u państwa czytają biblię.

— Czytają.

— To pan wie, że stary Iechok miał dwóch synów, jeden się nazywał Jankiel (Jakób)—a drugi Ejsaw. Jankiel starszy był, jemu się należało dwie części majątku, a tamtemu tylko jedna. Od Jankla pochodzą żydy, bo on jest Isroel, od tamtego wszystkie inne ludzie—a majątek był ładny... piękny majątek był.

— Jaki?

— Cały świat! Weź pan teraz na delikatny rozum i miarkuj, jaka nam krzywda jest, i nawet nie dadzą się upomnieć—powiadają, że my łapserdaki jesteśmy. Sy git? to ładne procedura jest!.. to pfe jest!..

Tak gwarząc dojechalismy do miejsca, w którym się drogi rozchodzą. Berek zeskoczył z wózka i poszedł w swoją stronę ku rodzinnemu miasteczku, ja pojechałem dalej.

Legenda opowiedziana przez Berka stała mi ciągle na myśli. Zkąd się wzięła? Kto ją wytworzył? Oczywiście, jak wszystkie legendy, powstała w bujnej fantazyi, a przechodząc w ustnym podaniu z ojca na syna, z pokolenia w pokolenie, rosła i nabierała nowych kształtów.

Zkąd się wzięła, gdzie jej początek, kto pierwszy ją ułożył i kto kazał jej iść przez pokolenia?

Tego dojść trudno.

Wśród wiejskiego ludu, fantastyczne baśnie i podania wykwitają przeważnie na tle zjawisk natury, albo też na rumowiskach siedzib dawnych, na gru-

zach zamczysk, których dzieje, upiękzone przez fantazyę, zmienione przez lata, a w jakiejś cząsteczce przechowane w pieśniach, przeżyły wieki.

Złamane drzewo, głaz dziwacznej formy, przebiegający meteor, noc burzliwa, błędne ogniki na moczarach, stara baszta, zapomniany kurhan—oto mniej więcej źródła, z których bogata fantazyja ludu czerpie dla siebie motywy.

Legendy ludowe są mniej więcej znane, skrzętni zbieracze notują ich treść i utrwalają ją w drukowanym słowie.

Ta sfera ludności z której Berek pochodzi, także ma swoje podania i legendy—ma ich moc niezliczoną, lecz i fantazyja jej i charakter jest inny. Przeważa w nich pierwiastek nadprzyrodzony i mistyczny.

Zbieracz takich właśnie legend, ma zadanie bardzo trudne, jeżeli nie z książek, lecz z żywego słowa czerpać je pragnie.

Nieufność, niechęć, a wreszcie i mowa do zrozumienia niełatwa, stają wciąż na przeszkodzie.

Duchowa ojczyzna takich właśnie Berków, niezmiernie interesująca i ciekawa, przed obcym obserwatorem ma szczególnie zamknięte granice.

Jeżeli się uda coś z tego wynieść, to tylko zręcznym manewrem, przez kontrabandę, ukradkiem.

A świat to istotnie ciekawy, pełen osobliwości nieznaných nam zupełnie. Mieszkańcy jego obojętni

na piękności przyrody, nie znają szerokich przestrzeni, ani gór malowniczych, szmerów wód, ani tajemniczych szeptów lasu. Urodzeni w brudnych domostwach, tam przepędzają dzieciństwo, często-kroć nie wychodząc po za obręb mieściny. Brudna izba, brudna szkoła, brudna bóżniczka, oto cały ich świat, w tym świecie ściśle zamkniętym, odgro-dzonym, żyją i myślą. Niektórym zabiera trochę czasu liche rzemiosło—inni i tak, niewiadomo z cze-go żyją, w rozmyślaniach, w marzeniach...

Do tego ciasnego świata na skrzydłach fantazyi zbiegają się duchy różne, tysiące aniołów i szata-nów... Mieszkańcy jego opowiadają sobie legendy i podania, biegną myślą w przyszłość świetną, któ-rą nie znają dokłanie, powtarzają jedni drugim naj-dziwaczniejsze pojęcia o świecie, o krajach fanta-stycznych, rzekach osobliwych, o górach z czarnej mgły...

Lubią się z uczonością popisywać, szczycą się, nią, choć gdzież im do uczoności poważnej, wyma-gającej całych lat pracy ciężkiej i studyów!

Trochę wiadomości z biblii, trochę z historyi na-rodu — moc nieprzebrana formulek obrzędowych i nieprzebrana kopalnia legend i bajek, oto cały arsenał wielkich uczonych w rodzaju Berka.

A przecież ta „uczoność“ to jego cały świat!

W nim przestaje najchętniej, w nim się zamyka-

w nim zapomina o powszednich troskach życia— i tam jest niedostępny, niewidziany przez nikogo, prócz przez swoich.

Legendę o kościele po-franciszkańskim i starym kirkucie lubelskim usłyszałem wypadkiem i powtórzyłem tu, tak jak była opowiedziana, bez dodatków, bez zmian, lub autorskich upiększeń.

Berek zwierzył się później przedemną, że zna jeszcze dużo, bardzo dużo takich wielkich historyj, takich wielkich wydarzeń, ale nie każdą historję można opowiadać...

Berek niedarmo jest człowiek uczony—on dużo zna, bardzo dużo zna!

Ludzie prości, grubi ludzie, nie wierzyliby jego opowiadaniom, woli też te cenne skarby przechować dla umysłów wyższych i głów delikatnych, rozumiejących to, że największym skarbem na świecie jest wielka uczoność—a największą uczonością, to czego nikt nie może zrozumieć...

„NIE ODCHODŹ!...”

— Nie sądź mój kochany, że jestem bez praktyki, o nie! Wprawdzie tak utrzymują moi przyjaciele i współzawodnicy, ale to fałsz. Zaraz cię o tém przekonam. Mam pacjentkę jedną, jedyną, ale mam... Weź kapelusz, zaprowadzę cię do nięj. Powiadasz, że nie wypada? Dzieciństwo! Moja pacjentka już na formy towarzyskie nie zważa. Odwiedzam ją regularnie dwa razy tygodniowo, co środa i sobota, a dziś właśnie sobota, więc chodźmy.

Stary doktor przyglądał resztkę siwych włosów na głowie, przetarł okulary chustką czerwoną, a zarzuciwszy na ramiona „almawiwę“ odwiecznego kroju, wyszedł na ulicę.

Nie znacie zapewne tego staruszka, bo i zkądby? Dziwak ten, oryginał i mizantrop, dziś już nie żyje; zakończył doczesną pielgrzymkę w małym miasteczku, gdzie się zagrzebał i od lat Bóg wie ilu wege-

tował biedaczysko. Długie życie było dla niego nieszczęściem.

Przed wieloma laty bowiem doszedł on do pewnego punktu i stanął, a świat podążył naprzód, nie oglądając się na marudera, nie dbając wcale o niego.

Nauka, ciekawa, badająca wszystko, co na drodze swój napotyka, posuwała się olbrzymiemi krokami; za nią, niby ptaków przelotnych stada, niby sznury żórawi na jesieni, ciągnęły pojęcia; niejeden przesąd padał przy drodze i konał zapomniany, wysmiany, a nawet potrzeby i obyczaje zmieniały się potrosze!

Stary doktor pozostał samotny na tém samém miejscu, na którym się zatrzymał...

I ludzie odbiegali od niego stopniowo, coraz rzadziej po poradę ktoś przyszedł, aż wreszcie całkiem zapomniano o nim.

Zapewne gorzko mu to być musiało, ale nie skarżył się nigdy. Jako człowiek względnie zamożny, troski o chleb powszedni nie zaznawał, a na nową generację ludzi, na tych, co daleko już odbiegli od niego, spoglądał z lekceważeniem, wynikającym z przeświadczenia o wyższości osobistej i wyższości tych czasów, w których jego młodość upłynęła.

Ubierał się zawsze, jak piérwszy elegant z roku... 1829-go, a co wieczór, na fortepianie antyku, wygrywał te walce i polki, przy których dźwiękach

niegdyś poczciwe nasze babki puszczały się w płasy... z dziadkami.

Biedny, samotny doktor... Świat przed nim uciekł i tylko wspomnienia, najwierniejsze druby niedoli — zostały.

Szliśmy przez miasteczko, ciche i jakby uspione.

Sklepy były pozamykane, ulice puste, tylko przed wielką bóżnicą stało kilku żydów w odświętnych racimorach i sajetach.

Minęliśmy kilka okazalszych kamieniczek, piękny kościół, otoczony lipami, i dostaliśmy się na uliczkę boczną, niebrukowaną wcale, gdzie domki kryły się wśród ogrodów, po za którymi rozciągała się szeroka płaszczyna pól i łąk, ujętych w czarną ramę lasów...

— Zdaje mi się, że ta droga prowadzi na ementarz? — rzekłem, ujrawszy las krzyżów w ogrodzeniu.

Stary uśmiechnął się.

— Mój kochany — rzekł — wszystkie drogi prowadzą na ementarz, i dawna poważna nauka, i... szarlatanerya dzisiejsza, ostatecznie do tego powszechnego rezultatu dochodzą... ale oto jesteśmy u celu, wejdz, proszę.

To rzekłszy, otworzył skrzypiącą furtkę w parkanie i weszliśmy na terytorium, które nie było ani ogródkiem, ani dziedzińcem, ani podwórkiem nawet...

Badyle, osty i zielsko różne rozrastało się tam swobodnie. Kilka drzewek owocowych, opuszczonych i schorowanych, szemrało gałązkami, a krzaki dziczalego agrestu i malin przepychały się wzajem, walcząc o miejsce, niby chłopci o miedzę.

Jedynie kilka zagonów warzywa świadczyło, że ludzie na tém pustkowiu mieszkają...

Domowstwo również było opuszczone, jak i ten dziedziniec, czy ogród niegdyś...

Ściany ongi malowane, deszcz powymywał a czas potężnemi pazurami i zębami obgryzł komin, pokąsał okiennice, podrapał filarki, na których ganek się wspierał.

— Więc to tu pańska pacjentka!—zapytałem— w tój ruderze?!

— Tak, w ruderze, mój kochany, bo téż i ona sama istny obraz rudery... Ciało jeszcze jak ciało, rusza się niby wóz zdezelowany i skrzypiący... ale z duchem całkiem jest źle... Pierwsze podtrzymuję jako tako.. drugi... ano zobaczysz. Wojciechowa! Wojciechowa! — zawołał, stukając laską w podłogę ganku.

Na to hasło z pomiędzy kopru i maków, wybujających na grzędach, wychyliła się głowa staréj kobiety w żółtój chustce.

— O la Boga! anim widziała, kiedy wielmożny konsyliarz przyszedł.

— Cóż, pani?

— Siedzi se chudziątko, jako i zawdy siad uej
Panna Jantonina poszła do miasta...

— Więc pani sama została? — spytał tonem
wymówki.

— Gdzie zaś wielemożny konsyliarzu, gdzież
jabym bez pomocy samą mogła zostawić niebogę?

— A któż tam jest?

— Je kot, panie...

— Kot?

— A dyć kot... Sama go zaniiosłam do pokoju,
wyszłam trochę pietruszki narwać do obiadu.

— Chodźmy — rzekł do mnie staruszek...

W pokoiku zastawionym staremi, odwiecznego
fasonu meblami, siedziaia kobieta, szczupła, blada,
w czarnej sukni i w czepku, z pod którego wychyla-
ły się promienie białych włosów.

Spłoszony najściem naszym kot zerwał się z jój
kolan i wyskoczył przez okno...

W tój chwili staruszka powstała, wyciągnęła
ręce błagalnie, a w szeroko otwartych jój oczach
malowały się naprzemian rozpacz, gniew, prośba,
błaganie...

— Nie odchodź! — krzyknęła rozdzierającym
głosem, wyciągając ręce w stronę okna — nie od-
chodź!

Tyle bólu, żalu, tyle skarg i jęków mieściło się
w tych wyrazach, że mimowoli cofnąłem się prze-
rażony.

Doktór zbliżył się do niej, położył rękę na jej ramieniu i rzekł:

— Jestem, matko.

Ten jeden wyraz wywołał magiczny skutek. Odrazu uspokoiła się, uśmiechnęła i rzekła szeptem:

— Jesteś, Amelciu?! to ślicznie, to bardzo dobrze, że tu jesteś.

Twarz jej przybrała wyraz obojętny, apatyczny prawie.

Doktór usiadł przy niej, wziął za rękę i zaczął zadawać pytania, jak spała i co jadła, czy jej co nie dolega? czy nie życzy sobie świeżych owoców, albo kieliszka wina?

Odpowiadała krótko, jedném *tak* albo *nie*, patrząc w sufit, potém zaczęła głaskać rękę doktora i cichym, pieścizotliwym głosem szeptała:

— Bo ty nie myśl, że ja ciebie za mąż nie wydam... Nie myśl!... wyprawę już szyją, srebra dostaniesz i jedwabną suknię... Wyjdiesz, Amelciu moja, ale nie za niego, nie!... Bo jakże można? jak można?

Tak mówiła urywanemi wyrazami, bez zwiąku, nie patrząc ani na doktora, ani na mnie.

Utkwiła wzrok w sufit, wzrok przygasły i bezmyślny, zdawało się, że w tych źrenicach ani jedna iskierka życia nie tleje, że to są oczy umarłego...

Mój towarzysz podniósł się z krzesła...

W tej chwili przygasłe oczy zapaliły się i mignęły straszną błyskawicą gniewu.

I znów ten przeraźliwy, rozdzierający serce krzyk:

— Nie odchodź!..

Wojciechowa nadbiegła i wzięła nieszczęśliwą za rękę, wyrzekła magiczne „jestem“ i w tej chwili stan poprzedniej apatyi powrócił.

Wyszliśmy...

Nieodzywałem się wcale. Widziałem wciąż przed sobą te niebieskie oczy przygasłe, w których jedna myśl jakaś pioruny umiała zapalać; w uszach brzmiało mi ciągle przerażające:

— Nie odchodź!..

W milczeniu powróciliśmy do mieszkania doktora.

Stary zdjął płaszcz, złożył go bardzo starannie i schował do szafy; przetarł okulary chustką i zapaliwszy cygaro, zapytał:

— No, i cóż moja pacjentka? Jakże ci się podoba?

— Nieszczęśliwa!

— Mój kochany, ściśle biorąc, to dyabli wiedzą co jest szczęście i kto jest szczęśliwy na świecie? Ona bo widzisz...

— Obląkana jest—przerwałem—i już przez to jedno pozbawiona warunków szczęścia na ziemi...

Doktor się uśmiechnął.

— Obląkana—powtórzył—zapewne... Tak się to nazywa... Myśmy wszyscy potrosze obląkani... A ostatecznie, gdzie masz taki „mózgometr“, któryby wskazał, że dane indywiduum ma tyle a tyle stopni wyżej, lub niżej normalnego poziomu zdrowego rozumu? Jakże tę linijkę nakreślisz?

— Czy znana jest panu historia tej biedaczki?— spytałem.

— Naturalnie, że znana... Zwyczajna to historia, i jeżeli sądzisz, że znajdziesz w niej coś bardzo szczególnego, to się grubo zawiedziesz... Tam szło wszystko w logicznym porządku, skutki wynikały z przyczyn tak samo, jak starość z młodości, śmierć z życia...

— Ależ przyczyna, jaka była przyczyna?— spytałem

— Naturalnie, że była przyczyna, bo cóż bez niej? Otóż ja tę moją pacjentkę znam oddawna, od bardzo dawna ją znam. Panną ją jeszcze pamiętam, bywałem w domu jej rodziców. Mieli oni mały folwarczek. Nie fortuna to była, nie majątek, ale żyli jakoś... W dworku u nich było czysto i powiem nawet, że dostatnio. Ojciec napoleończyk, kochał się w książkach historycznych i w sztychach, któremi wszystkie ściany poobwieszał... Matka lubiła znów nadewszystko pieśni i te jedynaczce swojej śpiewała... Cóż tak patrzysz na mnie? chcesz zapewne powiedzieć, że nudzę i od przedmiotu odbiegam?...

— Ależ bynajmniej.

— Wiem ja co mówię i dlaczego mówię. Chciałś poznać przyczynę, do niej właśnie idziemy. Książkami, sztychami, pieśnią i t^ęm żywym słowem, co bywało wieczorami przy kominku z ust ojca płynęło, karmiła się dusza dziewczyny, a obecnie zła-man^ęj cierpieniem staruszki... Lata szły, dziewczyna rosła i wyrosła na pannę co się zowie. Dziś już takich nie ma...

— Trochę to za śmiałe twierdzenie.

— Nie ma! powiadam, że nie ma i dosyć... Już cię są na świecie jakieś cudaki, ale ani się umywały do panien z przed lat pięćdziesięciu...

To rzekłszy zamyślił się stary.

— Więc mówi pan, że ładna była?—odezwałem się, chcąc go do dalszego opowiadania zachęcić.

— O tak! Nic t^ęż dziwnego, że prędko za mąż poszła... Za naszych czasów panny nie starzały się mój dobrodzieju... Poszła panna Franciszka za mąż i doskonale poszła, ale cóż, nie cieszyła się długo swoim szczęściem... straciła męża. Biedny człowiek zginął w pełni życia i sił—zmiotła go burza, jak liść z drzewa.. Już wtenczas obawiałem się o jej umysł, ale jakoś przeboleła ten cios, przeniosła. Zresztą i to ci trzeba wiedzieć, że człowiek to bardzo wytrwale zwierzę, nieraz więcej zniesie, więcej udźwignie, niż sobie wyobraża nawet... Moja pacjentka miała dla kogo żyć.

— Zostały dzieci?

— Jedna tylko córka... Ta była dla matki szczęściem, skarbem, celem życia, światem całym... Wszystko co miała w duszy matka kochająca, starała się w córkę przelać, chciała w niej widzieć wcieloną cnotę, pragnęła, aby jej własne wierzenia, przekonania, ideały, jak droga spuścizna rodzinna, przeszły na dziecko. Niezbadane jest serce ludzkie, niezbadane...

— Zamaż powtórnie nie wyszła?

— Ani słyszeć nie chciała, choć trafiali się ludzie dobrzy i zacni. Ona żyła dla córki. Kupiła oto ten dworek, któryś widział, kapitałik złożyła do banku i miała dość na życie i na kształcenie córki... Tak szło wszystko spokojnie, póki dziewczyna nie dorosła... Miasteczko nasze leży blisko granicy, trakt duży przez nie przechodzi, więc też mnóstwo obcych ludzi włóczy się tutaj; otóż przywłókł się za innymi jakiś niemiec, wojskowy podobno, i tu się osiedlił czasowo... Zaczął bywać, panna mu się po dobała... i romans! Matka nie wiedziała o niczém, bywali młodzi ludzie, bywał i ten, trudno było drzwi przed nim zamykać... Zresztą tej nieszczęśliwej na myśl nawet nie przyszło, żeby jej córka chciała porzucić kraj, matkę, kąt rodzinny i pójść z obcym człowiekiem gdzieś nad Ren, czy nad Bałtyk, a jednak...

— Poszła?

— A poszła—rzekł, machnąwszy ręką niechętnie. Obecnie, o ile mi wiadomo, mieszka ze swoim szwabem gdzieś na Pomorzu, robi mu bawełniane szlafmyce i nie pamięta nawet, jak się jej rodzinna wioska nazywa... Mamże ci opowiadać co tam było naówczas pomiędzy matką i córką...? Dość, że w ostatniej chwili, w chwili rozstania, z piersi matki wyrwał się ten fatalny okrzyk: „nie odchódź!” i powtarza się ciągle, aż po dzień dzisiejszy... Wszystkie myśli w tej głowie umarły, zabite zostały nagle, w jednej chwili, jak od uderzenia piorunu... to tylko nieszczęsne: „nie odchódź“ zostało. Tak mówi ona do sługi, do kuzynki, do kota, do mnie... i aby jej ktokolwiek powiedział tylko: „jestem”, wnet się uspokaja, i wpada w stan apatyj. . Probowalem badać, czy rozumie swoje położenie i kiedyś spytałem czy ma córkę...?

— I cóż?

— Odpowiedziała, patrząc w sufit, że nie.

Zamyślił się stary. Po chwili zerwał się nagle z krzesła, położył mi rękę na ramieniu i wybuchając śmiechem, rzekł:

— Słuchaj, czy ty wiesz, że oni ją leczyli!

— Któż to oni?

— Ano... ci... doktorzy tutejsi. Jeden mieszka w rynku, drugi w Lejzora domu — mądrzy ludzie!...

— Dlaczegoż? Próbowali. .

— Ha! ha! a wiesz-że ty, że i serce, i mózg ludzki krajano na drobne kawałeczki po dziesięć tysięcy razy, że nie masz tam odrobiny najmniejszej, któraby nie była opisana, wystudyowana, nazwana, po sto razy odrysowana w książkach i atlasach; a pomimo tego, czyż poznał kto sferę ducha i uczuć ludzkich, czy znalazł te struny tajemnicze z których życie częstokroć piekielne akordy dobywa? Delikatne struny, nawiązane w sercu tej biednej obłąkanej, brutalna ręka losu, szarpnęła tak silnie, że pękły wszystkie odrazu, wszystkie, prócz jednej, w której zaklęta jest nuta wiecznie drgająca żalem i boleścią niezmierną... Ha! cóż na to poradzić... co zrobić?... Słuchaj! — rzekł po chwilowej przerwie—oni mi zabrali wszystkich chorych... lecz tej nie trzymali długo w opiece, oddali mi ją po kilku niefortunnych próbach. Zwątpili o swoich siłach widocznie — lecz w tym razie i ja w swoje siły nie wierzę.

— Panie!—rzekłem—nauka idzie naprzód, może przyszłość...

Uśmiechnął się gorzko.

— Mój drogi—odrzekł zanim jaki mędrzec rozwiąże te niezbadane zagadki, moja pacjentka zmieni mieszkanie i przeniesie się o kilkaset kroków dalej... na cmentarz.

.

Miał rację dziwak. Jego jedyna pacjentka umarła, krzyknawszy po raz ostatni: „nie odchódź!”

Nie długo poszedł za nią także stary doktor. Wyprzedzony przez rówieśników w gonitwie do grobu, prześcignięty przez młodszych w wyścigu życia, a przez to właśnie smutny i osamotniony, przestał cierpieć i spoczął pod płaczącą brzozą cmentarną.

K O N I E C.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat 72

00-000 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

F

1301